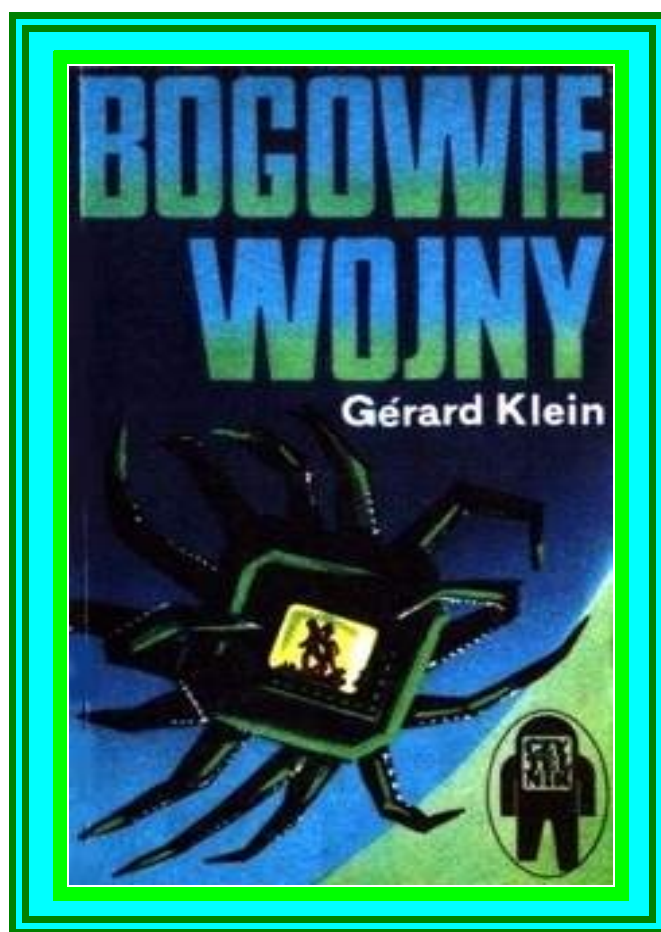




Bogowie Wojny

Przełożył Andrzej Pruszyński



redakcja: **Wujo Przem**
(2011)

1.

Bestia płakała jak małe dziecko. Nie z powodu wyrzutów sumienia, że zabita trzy tuziny ludzi, lecz dlatego, że znajdowała się tak daleko od rodzinnej planety. Corson –rozumiał tę rozpacz. Musiał włożyć wszystkie siły w to, by jej nie podzielić.

W ciemności ostrożnie obmacywał ziemię, obawiając się zranienia o trawę, ostrą, według Instrukcji, jak brzytwa. Wyczuł wolną przestrzeń i dopiero wtedy, nieskończenie powoli, posunął się nieco do przodu. Dalej trawa była miękka jak futro. Corson, zdziwiony, cofnął rękę. Trawa POWINNA być twarda i ostra. Uria była planetą wrogą i niebezpieczną. Według Instrukcji miękka trawa MUSI oznaczać pułapkę. Uria była w stanie wojny z Ziemią.

Najistotniejszą jednak sprawą było to, czy tubylcy wykryli już przybycie Bestii i Georges'a Corsona. Bestia mogła stawić im czoła. Corsonnie. Po raz dwudziesty powtórzył tę samą kalkulację. Tubylcy widzieli, jak statek rozpada się w oceanie ognia, i pewnie uznali, że załoga nie żyje. Nie podjęliby poszukiwań w nocy, gdyby dżungla Urii była tylko w połowie tak niebezpieczna, jak to określała Instrukcja.

Corson dochodził ciągle do tego samego wniosku. Musi stawić czoła trzem śmiertelnym niebezpieczeństwom: Bestii, tubylcom i faunie Urii. Wążąc ryzyko, postanowił wstać. Na czworakach nie zaszedłby daleko. Gdyby znajdował się w pobliżu Bestii, kosztowałoby go to życie. Mógł określić kierunek, w którym znajdowała się Bestia, ale nie mógł ocenić dzielącej ich odległości. Noc pochłania dźwięki. A może też ogłuszał go strach. Podniósł się powoli, nie chcąc dotykać trawy i hipotetycznego listowia. Nad jego głową spokojnie świeciły gwiazdy, obce, lecz wcale nie wrogie, gwiazdy podobne do tych, które widział dziesiątki razy z powierzchni planet rozsianych w różnych częściach galaktyki. Rozgwieżdżone sklepienie było widokiem pocieszającym, ale pozbawionym sensu. Kiedyś na Ziemi ludzie ukuli nazwy dla konstelacji sądząc, iż są niezmiennie, a było to tylko arbitralne i tymczasowe uporządkowanie ciał niebieskich obserwowanymi z chwilowo uprzywilejowanego punktu. Zniknęła przywilej i razem z nim odszedł religijny porządek przyznawany gwiazdom.

Sytuacja jest beznadziejna, myślał Corson. Dysponował dobrą, lecz prawie wyładowaną bronią. Tuż przed wypadkiem jadł I pił, co dawało mu kilkunastogodzinną autonomię. Powietrze było rześkie, a to chroniło go przed zaśnięciem. A najważniejsze, że był jedynym ocalałym członkiem trzydziestosiobowej załogi i dlatego też jemu tylko przypadło w udziale niewiarygodne szczęście. Ponadto nic nie krępowało mu ruchów, nie był ani ranny, ani kontuzjowany.

Zawodzenia Bestii rozległy się ze wzmożoną siłą, co skierowało uwagę Corsona na najbliższy z problemów. Gdyby nie znajdował się w bezpośredniej bliskości klatki Bestii w chwili, gdy ta zaatakowała, dryfowałby prawdopodobnie w stanie pary w górnych warstwach atmosfery Urii. Jak tego wymagał jego zawód, próbował porozumieć się z Bestią. Z drugiej strony niewidzialnej ścianki Bestia wpatrywała się w niego sześcioma z osiemnastu oczu Otaczających to, co przyjęto nazywać jej talią. Te pozbawione powiek oczy zmieniały kolor w zróżnicowanym rytmie, będącym jednym ze sposobów porozumiewania się Bestii. Sześć długich, uzbrojonych w pazur palców każdej z jej sześciu nóg rąbało po podłodze klatki w rytm drugiego sposobu porozumiewania się, a długa i monotonna skarga wydobywała się z

najwyższego otworu Bestii, którego Corson nie mógł dostrzec. Bestia była przynajmniej trzykrotnie od niego wyższa, a jej pysk otoczony był lasem włókienek, które z daleka mogły uchodzić za grzywę, lecz z bliska były dosyć podobne do tego, czym były w istocie: do mocnych jak stal, cienkich witek, mogących rozciągać się z zastraszającą szybkością i służyć także jako czułki.

Corson nigdy nie wątpił, że Bestia jest inteligentną. Zresztą twierdziła tak również Instrukcja. Może nawet była Inteligentniejsza od człowieka. Wielką słabością rodzaju, do którego Bestia należała, było ignorowanie – może był to wyraz pogardy – tego wielkiego wynalazku, który uczynił potężnym człowieka i kilka Innych ras społeczeństwa. Instrukcja wspominała, że nie był to jedyny przypadek, Nawet na samej Ziemi, przed erą kosmiczną i systematyczną eksploatacją oceanów, istniał w morzu wyjątkowo indywidualistyczny, inteligentny gatunek, który nigdy nie zdobył się na zbudowanie cywilizacji: gatunek delfinów. Jego wymarcie było ceną tego zaniedbania. Ale zbudowanie społeczeństwa wcale nie było wystarczającym warunkiem przetrwania jakiegoś gatunku. Nieustanna wojna między Urią a Ziemią była tego dowodem. Oczy, palce i głos Bestii z drugiej strony niewidzialnej ścianki mówiły jedną i tę samą rzecz, jasną i oczywistą, chociaż Corson nie mógł zrozumieć języka Bestii: *"Zniszczę cię, gdy tylko będę mogła"*. Z przyczyn Corsonowi nie znanych nadarzyła się okazja. Nie mógł uwierzyć, że generatory statku przestały działać. Było bardziej prawdopodobne, że siły Urii wykryły ich i otworzyły ogień. Podczas ' pikosekundy potrzebnej komputerom do uruchomienia ekranów, w ciągu której obniżył się też potencjał energetyczny klatki, Bestia dokonała niebywale gwałtownej –agresji. Wykorzystując ograniczoną zdolność kontroli czasu i przestrzeni, wysłała część swego otoczenia daleko w przestrzeń, co spowodowało katastrofę. Było to dowodem, o ile dowód jest tu potrzebny, że Bestia była najwspanialszą bronią Ziemiaków w wojnie przeciw Urii.

Ani Corson, ani Bestia nie zostali zabici podczas pierwszego wybuchu, gdyż ją chroniła klatka energetyczna, a jego zabezpieczała podobna strefa, choć mniejsza, mająca go osłaniać przed ewentualnym atakiem Bestii. "Archimedes" zanurkował w skłębione głębiny atmosfery Urii. Z całej załogi najprawdopodobniej jedynie Corson i Bestia ocaleli na pokładzie statku. Corson miał dosyć refleksu, by złączyć swą strefę z klatką. Kiedy wrak znalazł się paręset metrów nad ziemią, Bestia wydała przeraźliwy ryk i zareagowała na oczywiste niebezpieczeństwo. Pociągając za sobą część otaczającej ją przestrzeni, przemieściła się o parę ułamków sekundy w czasie. Częścią tej przestrzeni był Corson. Znalazł się nagle w towarzystwie Bestii, poza wrakiem, wyrzucony w atmosferę. Emanacja jego strefy energetycznej złagodziła upadek. Bestia, dbając o własne bezpieczeństwo, zrobiła resztę. Corson wylądował u jej boku i wykorzystując zamieszanie szczęśliwie oddalił się w ciemnościach, po omacku.

Cała sprawa była przykładową demonstracją możliwości Bestii. Corson znał niektóre z nich i domyślał się innych, nigdy jednak nie odważyłby się wykazać w raportach, że była ona tak trudna do zabicia.

Proszę sobie jednak wyobrazić zwierzę ścigane i otoczone przez zgraję napastników, którzy wahają się przez moment. Wydaje się, że od ściganego zwierza dzieli ich niewidzialna bariera. Ruszają. I nagle znajdują się jedną sekundę wcześniej. Albo dwie. W tej samej

pozycji, w jakiej znajdowali się przed przekroczeniem nieuchwytnej granicy. Nigdy nie osiągną zdobyczy, gdyż ta bez wytchnienia odrzuca ich w przeszłość. A kiedy są już wystarczająco zdezorientowani, ona z kolei przystępuje do ataku.

Proszę sobie teraz wyobrazić, iż zwierzem tym jest Bestia, posiadająca inteligencję przynajmniej równą ludzkiej, z refleksem szybszym niż węgorz elektryczny, przejawiająca zimne okrucieństwo i niepokromioną nienawiść do wszystkiego, co do niej niepodobne.

A będzie to skromny obraz Bestii.

Może ona kontrolować wokół siebie około siedmiu sekund czasu lokalnego, zarówno w przyszłość jak i w przeszłość. Może wyrwać przyszłości okrucuch Wszechświata i rzucić kilka sekund w przeszłość. Albo odwrotnie. I przewidzieć, co wydarzy się za kilka sekund, zanim zdarzy się to rzeczywiście, przynajmniej dla ślepego obserwatora, na przykład dla człowieka.

Stąd jej nagły atak na pokładzie statku kosmicznego. Bestia wiedziała przed ludźmi i maszynami, kiedy wejdzie do akcji flota Urii czy też naziemne baterie albo zdarzy się wypadek. Z wystarczającą precyzją usytuowała pikosekundę, podczas której pręty jej klatki z czystej energii stały się słabsze. Uderzyła w odpowiednim momencie i wygrała.

Albo przegrała. To zależy od punktu widzenia.

I tak Bestia przeznaczona była dla Urii. Po trzydziestu latach bezskutecznej walki przeciw Imperium Urii, Mocarstwo Słoneczne obrało taktykę, która miała zniszczyć dumnych Książąt. Dokładniej, dziesięć lat wcześniej znalazło sprzymierzeńca, który kosztował je jedną flotę, potem pewną liczbę pojedynczych statków, bazę kosmiczną, Jedną planetę, którą trzeba było ewakuować, plus jeden układ planetarny, który trzeba było odizolować i nadzorować, i jeszcze bliżej nie znaną liczbę ofiar, co jest tajemnicą wagi państwowej. Krótko mówiąc, był to eksperyment naprawdę ogromny, chociaż efekty tej chwilowo ostatecznej broni tak naprawdę nie były nigdy do końca zbadane. Zastosowanie: rozpętać na jednej planecie Imperium, najlepiej na planecie–stolicy, najgorszą ze znanych w historii plag. Zastrzeżenie: nie pogwałcić oficjalnie trwającego zawieszenia Broni, które położyło kres gorącemu okresowi wojny, a milcząco przestrzeganemu od przeszło dwudziestu lat przez obie strony. Sposób wykorzystania: wysadzić Bestię w określonym miejscu Urii unikając wykrycia i pozwolić jej na działanie.

Sześć miesięcy później Bestia dałaby życie około osiemnastu tysiącom istot jej podobnych. Najwyżej w rok później stolicę Imperium Urii ogarnęłaby panika. Książęta Urii, by pozbyć się Bestii, musieliby pokonać odrazę i prosić o pomoc Mocarstwo Słoneczne. I odbudować. Od pięciu czy sześciu tysięcy lat była to nieuchronna konsekwencja wojen. Zwycięzca odbudowuje dla zwyciężonego. Na swój sposób.

Za wszelką cenę nie zdradzić pochodzenia "Archimedes". Gdyby Książęta Urii mogli ustalić, że Bestia wypuszczona została na ich teren ze statku słonecznego, Mocarstwo miałoby niejakie trudności z aprobatą własnego punktu widzenia przez Kongres Galaktyczny. Mocarstwo ryzykowało banicją.

Banicja: przerwanie całego międzygwiazdowego handlu, konfiskata statków handlowych spoza sieci lokalnej, zniszczenie spotkanych okrętów wojennych, wyjęcie spod prawa obywateli. Czas trwania: nieograniczony.

Z tych wszystkich powodów misja "Archimedes" była samobójcza. Z tego też punktu widzenia zakończyła się całkowitym sukcesem. Z jednym wyjątkiem: przeżyciem Georges'a Corsona. Ze statku nie pozostała ani jedna drobina, pozwalająca na jego identyfikację. Księżęta Urii musieliby przyznać, że Bestia przybyła na planetę–stolicę na pokładzie własnego statku. Jedynie Ziemianie znali dokładne współrzędne jej rodzinnej planety i technologiczne, niewielkie zresztą, możliwości tego gatunku. Jedynym śladem pozwalającym Księżętom Urii rozpoznać pochodzenie Bestii, był sam Corson. Gdyby tubylcom udało się go złapać, mieliby ważki dowód winy Ziemian. Logicznym dla Corsona rozwiązaniem było samobójstwo. Był o tym przekonany. Jednakże nie znał żadnego sposobu, który pozwoliłby mu zniknąć zupełnie. Ładunek jego pistoletu wystarczyłby mu tylko do zabicia się. Bestia rozszarpałaby go no kawałki, lecz na miejscu zostałyby dosyć pamiątek, by przekonać Kongres Galaktyczny. Żadna przepaść tej planety nie byłaby wystarczająco głęboka, aby tropiciele nie mogli znaleźć tam jego ciała. Jedyną szansą, by zostać niedostrzeżonym, było pozostanie przy życiu.

W końcu Bestia została dostarczona do miejsca przeznaczenia.

2.

Noc chroniła Corsona przed Bestią, której oczy nie reagowały na podczerwień ani nawet na czerwień, za to widziały dosyć dobrze w ultrafiolecie. Posiadała też zdolność kierowania się w ciemnościach wydając ultradźwięki. Ale zbyt mocno zajęta była rozczulaniem się nad sobą, by tropić Corsona.

Corson rozpaczliwie próbował zrozumieć przyczynę lamentów Bestii. W zasadzie pewny był, że Bestia nie wie, co to strach. Na jej rodzinnej planecie nie istniał żaden wróg, który mógłby poważnie zagrażać jej życiu. Nie znała niepowodzenia i niewątpliwie nie wyobrażała sobie przeciwnika potężniejszego od niej, dopóki nie napotkała ludzi. Jedyną granicą demograficznej ekspansji Bestii był głód. Mogła ona rozmnażać się tylko wtedy, gdy dysponowała wystarczającą nadwyżką pożywienia. W innym przypadku pozostawała jałowa. Podczas realizacji projektu jedną z zasadniczych trudności, na jaką napotkali zoologowie Ziemi, było nakarmienie Bestii.

Corson nie mógł również uwierzyć, że Bestia jest głodna lub że odczuwa chłód. Jej organizm był potężną machiną mogącą zaspokoić łaknienie większością substancji organicznych lub mineralnych. Obfite prairie Urii mogły dostarczyć jej wybornego pokarmu. Klimat przypominał w pewnym stopniu klimat najlepszych rejonów jej rodzinnej planety. Inny był skład atmosfery, ale nie do tego stopnia, by zaszkodzić istocie, która, jak wynikało z doświadczeń, mogła bez widocznego uszczerbku przeżyć wiele dziesiątków godzin w próżni i nurzać się w kwasie siarkowym. Samotność nie mogła doprowadzić Bestii do rozpacz. Eksperymenty badające ich zachowanie, a polegające na wypuszczeniu Bestii na niezamieszkane planetoidy wykazały, że jedynie w niewielu przypadkach potrzebują one towarzystwa. Choć gromadziły się w hordy, by zrealizować zadanie przekraczające siły

jednostki, czy też dla zabawy albo dla wymiany zarodników zawierających ekwiwalent genowy, to nie wydawało się, by były one w jakiś sposób towarzyskie.

Nie, nic tu nie pasowało. Głos Bestii przypominał łkanie niemowlęcia zamkniętego przez nieuwagę lub za karę w ciemnej szafie, które czuje się zagubione w szerokim świecie, niezgłębnym i przerażającym, zaludnionym koszmarami i fantastycznymi siłami, w pułapce, z której sarno nie potrafi się wydostać. Corson chciałby wejść w kontakt z Bestią, aby dowiedzieć się, co ją dręczy. Lecz było to niemożliwe. Podczas całej podróży próbował się z nią porozumieć. Wiedział, że są jej dostępne różnorakie sposoby rozumowania, ale podobnie jak jego poprzednicy nigdy nie mógł poprowadzić z nią sensownej rozmowy. A to najwidoczniej z powodu nieuleczalnej wrogości, jaką żywiła ona do gatunku ludzkiego. Przyczyny tej wrogości nie były znane. Mogła to być sprawa zapachu, koloru, dźwięków. Zoologowie usiłowali oszukać ją na różne sposoby. Na próżno. Dramatem Bestii było posiadanie wystarczająco dużej inteligencji, by nie dać się oszukać, gdy wykorzystywano do tego jej instynkty, i za mało tejże, by odgadnąć i zapanować nad głuchymi, kłębiącymi się w niej siłami, dzięki którym uznawano, że należy ją bezwzględnie tępić.

Próbując przejść parę kroków Corson potknął się i dalej już czołgał, kilkaset metrów na kolanach, aż wreszcie zmordowany postanowił się przespać, obiecując sobie nie rezygnować całkowicie z czujności. Poderwał się, jak mu się wydało, po kilku zaledwie minutach. Zegarek wskazywał jednak, że spał cztery godziny. Nadal panowała noc Bestia uspokoiła się.

Po niebie najwidoczniej przesuwiała się duża chmura, gdyż z całej jego części znajdującej się po lewej ręce Corsona zniknęły gwiazdy. Chmura przesuwiała się szybko. Miała wyraźny brzeg. Jakieś olbrzymie ciało, niewątpliwie aparat latający, o którym Corson nigdy nie słyszał, mimo że studiował zagadnienia budowy maszyn wojennych stosowanych przez Księżąt Urii, przelatywał nad nim bezgłośnie. Ponieważ urządzenie było prawie niewidoczne, wszelka ocena jego wysokości i szybkości była utrudniona. Lecz kiedy było już nad Corsonem, czarna plama, jaką tworzyło na firmamencie, szybko się powiększyła i Corson ledwie miał czas zdać sobie sprawę, że obiekt za chwilę go rozgniecie.

Pojawienie się aparatu uciszyło Bestię i właśnie cisza obudziła Corsona. Z kilkusekundowym wyprzedzeniem. Bestia wiedziała, co się stanie, o czym niechący ostrzegła swego przypadkowego ludzkiego sprzymierzeńca. Corson poczuł, jak krew stygnie mu w żyłach i kurczą się mięśnie brzucha. Bez złudzeń ścisnął swą broń. Nie miał wątpliwości, że statek przybył, by go ująć. Wiedział też, że jego determinacja niewiele znaczy wobec tej olbrzymiej maszyny. Jedyną taktyką, jaką mógł przyjąć, to, jeśli zostanie uwięziony, sprowokować załogę statku do wprowadzenia Bestii do środka. Następnie nie miałby już nic do roboty, tylko pozwoliłby jej działać, bez względu na to, w jaką klatkę czy więzienie byłby wyposażony statek. Trochę szczęścia i obcy obiekt będzie równie dokładnie zniszczony jak "Archimedes", a Księżęta Urii nie znajdą śladu pobytu na tej planecie Georges'a Corsona.

3.

Z nicości wyłoniły się szczegóły statku. Z jego czarnego i wypolerowanego kadłuba trysnął strumień światła i przebiegł zarośla, w które wślizgnął się Corson. Zatem Książęta Urii byli tak pewni siebie, że nie używali nawet projektora czarnego światła. Corson instynktownie wycelował broń w latarnię. Spód statku był gładki i wypolerowany jak powierzchnia jakiegoś cacka. Jego konstruktor wzorował się Zapewne na estetyce geodezyjnej, co przejawiało się w sposobie klejenia płatków metalu. Statek ten w niczym nie przypominał okrętu wojennego.

Corson spodziewał się jakiegoś wyładowania albo zapachu gazu czy też spadającej na jego ramiona stalowej statki. Spodziewał się usłyszeć gdaczący głos jakiegoś uriańskiego żołnierza. Ale wiązka światła tylko spoczęła na nim i już go nie puściła. Statek obniżył się jeszcze i znieruchomiał. Nawet nie podnosząc się, Corson mógłby go dotknąć. Dookoła maszyny rozbłysły wielkie iluminatory. Mógłby spróbować zniszczyć je przy pomocy swej broni. Lecz nie zrobił tego. Drżał i jednocześnie bardziej był zaintrygowany niż zaniepokojony dziwacznym, przynajmniej z wojskowego punktu widzenia, zachowaniem się pasażerów statku.

Zgięty wpół obszedł konstrukcję wokół. Przez okna usiłował zajrzeć do środka, lecz widok był rozmazany. Z rozmieszczenia wnętrza uzyskał tylko zniekształcony, nieprecyzyjny obraz. Wydało mu się, że dostrzega humanoidalną sylwetkę, co go zresztą nie zaskoczyło. Tubylcy, oglądani z pewnej odległości, mogli uchodzić za humanoidów. Zaskoczony światłem, zamknął na moment oczy. Jasno oświetlone drzwi otwierały się w kadłubie ponad zawieszonymi w powietrzu rozkładanymi schodkami. Corson przysiadł i skoczył do środka. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie. Ale ponieważ spodziewał się tego, nie zwrócił na to uwagi.

– Niech pan wejdzie, panie Corson – odezwał się młody kobiecy głos. – Nie widzę żadnego powodu, aby miał pan czekać na korytarzu.

Był to ludzki głos. Nie jakiś naśladowany, ale prawdziwy ludzki głos. Urianie nie umieliby naśladować go z taką doskonałością. Może potrafiłaby to maszyna, lecz Corson wątpił, by jego wrogowie trudzili się do tego stopnia przy zastawianiu pułapki, skoro on już w nią wpadł. Walczący rzadko przyjmują napastników w roli turystów.

Corson usłuchał. Popchnął uchylone drzwi, które zniknęły w ścianie. Przed nim znajdowała się obszerna sala, a jej podłogę zajmował gigantyczny iluminator. Wyraźnie dostrzegał ciemne kontury lasu, nad którym przelatywali, i jaśniejszą, błyszczącą linię oceanu, nad którym wstawał dzień. Zrobili zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Przed nim stała młoda kobieta. Otaczał ją rodzaj delikatnej jak mgielka zasłony. Uśmiechniętą twarz okalały blond włosy. W jej szarych oczach nie wykrył żadnej wrogości. Najwyraźniej była panią siebie. Upływało pięć lat, odkąd Corson nie widział niczego podobnego do kobiety, nie licząc plastoidów zajmujących ich miejsce na pokładzie okrętów wojennych. Zbyt wysoka była zdolność reprodukcji gatunku, by wazono się ryzykować obecnością w kosmosie kobiety w wieku nadającym się do reprodukcji. Ta była wyjątkowo ładna. Odzyskał oddech,

przeanalizował szybko sytuację i stłumił wyuczone refleksy walki. Obudziła się w nim jakby druga osobowość. Zapytał:

– Skąd pani wie, że nazywam się Corson?

Wyraz twarzy młodej kobiety zdradzał zdziwienie pomieszane z lękiem. Corson wiedział już, że położył palec na pulsie wydarzeń. Fakt, iż kobieta знаła jego nazwisko, mógł oznaczać, że Książęta Urii dysponowali szczegółowymi informacjami na temat misji "Archimedes" i znali nazwiska wszystkich członków załogi. Z drugiej strony kobieta należała do rodzaju ludzkiego, tak ludzkiego jak f jej głos, I już jej obecność na Urii była niewyjaśnioną zagadką. Żaden chirurg nie mógłby wyposażyć Urianina w podobną aparycję. Żadna operacja nie pozwoliłaby na zastąpienie rogowego dzioba przez te słodkie usta. Gdyby młoda kobieta była ubrana, Corson wątpiłby nadal. Lecz wszystkie szczegóły anatomii zdradzały jej pochodzenie. Wyraźnie dostrzegał pępek. Był to szczegół, którego Urianie, rodzący się w jajkach, nie posiadali. A plastoidy nigdy nie osiągały takiego stopnia doskonałości.

– Przecież przed chwilą pan mi to powiedział – odparła.

– To pani najpierw zawołała mnie po nazwisku – rzekł z uczuciem dreptania w miejscu. Jego mózg pracował szybko, ale bezskutecznie. Poczul silny impuls, by zabić kobietę i zawładnąć statkiem, lecz na pewno nie była sama na pokładzie i przede wszystkim musiał się czegoś więcej dowiedzieć. Może wtedy nie będzie musiał jej zabijać.

Corson nigdy nie słyszał, by ludzie przeszli na stronę Książąt Urii. Zawód zdrajcy nie istniał w wojnie, u której podstawy jako jedyny chyba powód leżała różnica biologiczna połączona ze zdolnością życia na tych samych typach planet. Nagle przypomniał sobie, że wkraczając na statek nie poczul charakterystycznego zapachu – Urian. A wyczułby zapach chloru nawet wówczas, gdyby choć jeden Urianin znajdował się na pokładzie. Tymczasem...

– Czy jest pani uwięziona?

Nie miał nadziei, że się przyzna, lecz że dostarczy mu przynajmniej jakiegoś tropu.

– Zadaje pan dziwne pytania.

Otworzyła szeroko oczy. Jej usta zaczęły drżeć.

– Pan jest obcy. Sądziłam... Dlaczego miałabym być uwięziona? Czy na pańskiej planecie więzi się kobiety?

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się. W jej spojrzeniu odczytał nagłe przerażenie.

– Nie !

Krzyczała i cofała się szukając przedmiotu, którym mogłaby się bronić. Wiedział już, co powinien zrobić. Przeszedł przez salę, uchylił się przed słabym uderzeniem, który w niego wymierzyła, zatkał jej ręką usta i przycisnął do Siebie unieruchamiając ręce. Kciuk i palec wskazujący odnalazły na szyi vitalne punkty. Przestała walczyć. Gdyby nacisnął mocniej, już by nie żyła. Wystarczyło mu jej omdlenie. Chciał mieć trochę czasu do namysłu.

Obszedł cały statek i przekonał się, że są sami na pokładzie. Wydało mu się to niewiarygodne. Obecność młodej kobiety na pokładzie wycieczkowego statku – na pokładzie nie było żadnej broni – unoszącego się nad lasami wrogiej planety, była dla niego czymś niezwykłym. Odkrył pulpity nawigacyjne, lecz systemu sterowania nie zrozumiał. Czerwony punkt, przedstawiający z pewnością statek, przesuwiał się po ściennej mapie. Ale nie

rozpoznał ani kontynentów, ani oceanów Urii. Czy komendant "Archimedes" pomylił planety? Bzdura. Flora, słońce, skład atmosfery wystarczały do zidentyfikowania Urii, a przeprowadzony atak rozwiewał ostatnie wątpliwości.

Spojrzał przez okno. Wehikuł leciał na wysokości około trzech tysięcy metrów i, według oceny Corsona, z szybkością około czterystu kilometrów na godzinę. Za "jakieś dziesięć minut będą przelatywali nad oceanem.

Wrócił do pierwszej sali i usiadł w barokowym fotelu patrząc na młodą kobietę, którą położył na podłodze podsunąwszy jej uprzednio poduszkę pod głowę. Rzadko można znaleźć poduszki na pokładzie okrętu wojennego. Haftowane poduszki. Próbował przypomnieć sobie dokładnie, co zdarzyło się od momentu, gdy wkroczył na statek.

Zawołała go po nazwisku.

Zanim otworzył usta.

Wydawała się przerażona.

Zanim przyszło mu do głowy rzucić się na nią.

W pewnym stopniu to odczytane w jej oczach przerażenie pchnęło go do działania.

Telepatka?

A więc znała jego nazwisko i jego zadanie oraz istnie nie Bestii i powinna umrzeć, zwłaszcza jeżeli pracowała dla Księżąt Urii.

Lecz ona cofnęła się, zanim nawet pomyślał o tym, by ją uspokoić.

Poruszała się. Zaczął ją związywać, odrywając od tapety długie taśmy materiału. Związał jej ręce i nogi w kostkach. Ale jej nie zakneblował. Próbował zorientować się w rodzaju okrycia, które ją otaczało. Nie była to ani tkanina, ani gaz. Coś w rodzaju świecącej mgiełki, tak lek kiej, iż myliła wzrok. Tylko kątem oka można było dostrzec jej kontury. Rodzaj pola, tyle że na pewno nie pola ochronnego.

Język, którym do niego przemówiła, był czystym pangalem. To jeszcze niczego nie oznaczało. Urianie używali go równie dobrze jak Ziemianie. Sam nawet próbował nauczyć podstaw pangalu – języka szczycącego się tym, że jest łącznikiem wszystkich istot rozumnych – Bestię, lecz na próżno. Tak jak i wszystkiego innego.

Tymczasem klucz do rozwiązywania zagadki dała mu Bestia.

Młoda kobieta miała przynajmniej jeden punkt wspólny z Bestią. W pewnych granicach zdolna była przewidzieć przyszłość. W chwili, gdy przybył na pokład, wiedziała, że postawi jej pytanie: „Skąd pani wie, że nazywam się Corson?”. Fakt, iż jej przerażenie pchnęło Corsona do zaatakowania jej, nic nie zmienia, powstaje jedynie problem, kto zaczął. Jak w większości paradoksów czasowych. A ci, którzy obcowali z Bestią, uczyli się czegoś na ten temat, najczęściej własnym kosztem. Mógł zatem ocenić apercpcję czasową młodej kobiety na około dwie minuty. To lepiej niż Bestia. Nie wyjaśniało to jednak tajemnicy jej pobytu.

4.

Dzień trwał już od ponad godziny. Przelatywali nad Oceanem daleko od wszelkiego lądu. Gdy Corson zaczął się zastanawiać, na co czeka uriańska flota i czemu nie Interweniuje, młoda kobieta rozbudziła się zupełnie.

– Jest pan brutalem, panie Corson – odezwała się. – Od barbarzyńskich czasów Mocarstwa Słonecznego nie widziano równie godnego pogardy łajdaka. Żeby zaatakować kobietę, która pana gościnnie przyjmuje!

Przyglądał się jej z uwagą. Chociaż wierciła się w pętach, nie widział żadnego niepokoju na twarzy, jedynie złość. Wiedziała zatem, że w bliskiej przyszłości nie zrobił jej nic złego. Jej delikatne rysy rozluźniły się i złość ustąpiło miejsca zimnej determinacji. Była zbyt dobrze wychowana, by napluć mu w twarz, ale moralnie właśnie to zrobiła.

– Nie miałem wyboru – powiedział. – Taka właśnie jest wojna. – Spojrzała na niego zbita z tropu.

O jakiej wojnie pan mówi? Pan zwariował, panie Corson.

– Georges – rzekł. – Georges Corson.

Tego przynajmniej nie przewidziała, tego słowa będące go jego imieniem, albo też nie starała się go użyć. Powoli zaczął ją rozwiązywać. Zrozumiał, że to dlatego jej twarz rozluźniła się. Bez słowa pozwoliła mu dokończyć, po czym podniosła się jednym ruchem, roztarła przeguby, zbliżyła się do niego i zanim się poruszył, dwukrotnie go spoliczkowała. Nie zareagował.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała z pogardą. – Nie jest pan nawet zdolny przewidywać. Zastanawiam się, skąd wzięła się taka regresja. I do czego może się pan nadawać. Tylko mnie zdarzają się takie rzeczy.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się, a jej szare spojrzenie powędrowało ku morzu, nad którym bezszelestnie –przelatywał ich statek.

Zupełnie jak bohaterka ze starych filmów, pomyślał Corson. Z przedwojennych filmów. Zabierały one różnych facetów ze skraju drogi i zdarzały im się rzeczy mniej lub bardziej przerażające. Najczęściej zakochiwały się w nich. Mitologia. Tak jak tytoń czy kawa. Albo jak statek taki jak ten.

– Będę miała nauczkę na przyszłość, jeżeli chodzi o zabieranie ludzi, których nie znam – ciągnęła, jak gdyby grając swą rolę w jednym z tych mitycznych filmów. – Zobaczmy, kim pan jest, gdy przybędziemy do Dyoto, Do tego czasu niech pan będzie spokojny. Mam potężnych przyjaciół.

– Książąt Urii – sarkastycznie powiedział Corson. – Nigdy nie słyszałam o żadnych książętach. Może w legendarnych czasach...

Corson przelknął ślinę.

– Czy na tej planecie panuje pokój?

– Od tysiąca dwustu lat, o ile wiem, i mam nadzieję, że pozostanie do końca świata.

– Czy zna pani tubylców?

– Tak, to rodzaj inteligentnych i nieszkodliwych ptaków spędzających czas na filozoficznych dyskusjach. Mają lekko dekadenskie poglądy. Ngal R'ndó jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. A pan sądził, że z kim ma pan do czynienia?

– Nie wiem – przyznał. Była to szczerza prawda. Złagodniała.

– Jestem głodna – powiedziała. – Przypuszczam, że pan także. Zobaczę, czy jestem jeszcze w stanie przygotować dla nas cokolwiek, po tym, co mi się od pana dostało.

Nie wyczuwał w jej głosie najmniejszego lęku. Raczej sympatię.

– Jak się pani nazywa? – zapytał. – W końcu pani zna moje nazwisko.

– Floria – odpowiedziała. – Floria Van Nelle.

Pierwsza kobieta, która przedstawiła mi się od pięciu lat. Nie, naprawdę – monologował – czy aby nie snię, czy to wszystko nie jest jakąś pułapką albo złudzeniem czy też trójwymiarowym delirium w kolorze przeżywanym przez majaczącego na łożu śmierci, od tysiąca dwustu czy może dwóch albo trzech tysięcy lat?

Omam nie upuścił szklanki, którą mu podała.

Kiedy się posilił, jego mózg zaczął pracować normalnie. Podsumował sytuację. Nie rozumiał, co mogło się stać na planecie Uria, jeżeli prawdą było, iż między kilkoma milionami mieszkających tu ludzi a niewiele liczniejszymi tubylcami panuje pokój. Wiedział, że udaje się do Dyoto, do dużego miasta w towarzystwie najpiękniejszej dziewczyny, Jaką kiedykolwiek widział.

I że Bestia błędziła w lasach Urii, gotowa rozmnożyć się i dać życie osiemnastu tysiącom małym Bestii, które szybko staną się równie niebezpieczne jak ona i to w czasie sześciu miesięcy, może nawet mniej, jeżeli Bestia bez trudu znajdzie pokarm.

Miał pewien pogląd na temat tego, co się wydarzyło. Kiedy tuż przed eksplozją Bestia oddaliła się od statku, nie skoczyła do przodu w czasie o kilka tylko sekund, lecz odbyła podróż trwającą tysiąclecia. i pociągnęła za sobą Ceorges'a Corsona. Nie istnieli już Książęta Urii ani Mo carstwo Słoneczne. Wojna była wygrana lub przegrana, ale niezależnie od tego była zapomniana. Mógł się uważać za zdemobilizowanego i zdjąć mundur żołnierza. Albo też mógł uchodzić za dezertera mimo woli, rzuconego w Przyszłość. Teraz był tylko człowiekiem zagubionym wśród miliardów obywateli jakiejś Galaktycznej Federacji, zajmującej całą gwiazdną soczewkę i przelewającej się na Mgławicę Andromedy, jednoczącej światy, których na pewno nigdy nie zobaczy, a pomiędzy którymi komunikację zapewniała transprzestrzenna sieć pozwalająca niemal natychmiast przenosić się z planety na planetę. Nie miał już tożsamości, przeszłości ani żadnego zadania. Nic już nie wiedział. Z Dyoto mógł dotrzeć do dowolnej gwiazdy błyszczącej na nocnym niebie i wykonywać tam jedyny za wód, który potrafił – wojnę, albo wybrać inny. Mógł odejść, zapomnieć o Ziemi, zapomnieć o Urii, zapomnieć o Bestii i Florii Von Nelle i zgubić się na zawsze na szlakach kosmosu.

I zostawić nowym mieszkańcom Urii kłopoty z Bestią i jej osiemnastoma tysiącami małych.

Lecz nie był na tyle naiwny, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że już od dłuższego czasu nurtuje go pewne pytanie.

Dlaczego Floria Van Nelle przybyła właśnie w tym momencie, aby zabrać go na pokład? Dlaczego sprawiała na nim wrażenie odgrywania, i to złego, roli znanej na pamięć? Dlaczego jej nie udawana złość zmieniła się w serdeczność, gdy tylko przyszła do siebie?

5.

Z daleka Dyoto przypominało ogromną piramidę, o podstawie zawieszoną w powietrzu na wysokości ponad jednego kilometra, sprawiając jednocześnie wrażenie poszarpanej chmury,

której pociemniałe kłęby nakrapiane błyszczącymi punktami piętrzyły się jak warstwy geologiczne w otwartym boku góry. Corsonowi zaparło dech. Piramida zdała się rozsypywać. Chmura stała się labiryntem. Budynki czy też urządzenia tworzące miasto rozmieszczone były w dużej odległości od siebie. Z ziemi pionowo tryskała podwójna rzeka i przecinała miasto niby kolumna zamknięta w niewidzialnej tubie. Wzdłuż trójwymiarowych arterii miasta przelatywały różne aparaty. W chwili, gdy statek unoszący Corsona dotarł do przedmieść, dwa duże bloki w kształcie sześciątów uniosły się w atmosferę i odleciały w stronę oceanu.

Dyoto, tłumaczył sobie Corson, jest pięknym przykładem urbanistyki opartej na antygravitacji, lecz noszącym piętno anarchicznej koncepcji społeczeństwa. Dla niego do tej pory antygravitacja istniała tylko na pokładach okrętów wojennych. Jeżeli chodzi o anarchię, była ona tylko kategorią historyczną, którą wojna całkowicie wykluczała. Każdy człowiek i każda rzecz miała swoje miejsce. Ale w ciągu tysiąca dwustu lat, a może przez wiele tysiącleci, to wszystko miało czas się zmienić. Antygravitacja stała się na pierwszy rzut oka zjawiskiem równie powszechnym jak energia łączenia jąder atomowych. A może nawet stała się źródłem energii? Corson słyszał o pewnych niejasnych projektach tego rodzaju. Na pokładach okrętów wojennych maszyny anty-G zużywały przerażające ilości energii, lecz to nic nie znaczy. Siły wzajemnego oddziaływania mas stanowią także znaczną energię potencjalną.

Miasto to, w przeciwieństwie do znanych mu, nie było stałym zbiorem różnych konstrukcji. Był to zbiór stale się zmieniający. Można było zarzucić lub podnieść kotwicę. Jedynie zasadnicza funkcja miasta została zachowana, to znaczy gromadzenie jednostek dla wymiany dóbr i idei.

Okręt Florii wspinał się powoli wzdłuż jednej z fasad piramidy. Rozmieszczenie budynków było takie, zanotował Corson, że nawet niższe piętra mogły korzystać ze znacznego nasłonecznienia. Wynikało z tego, że istniała centralna władza, której rolą było kierowanie cyrkulacją i przyznawanie miejsc nowo przybyłym.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała nagle Floria Van Nelle. – Co pan zamierza robić?

– Wydawało mi się, że chce mnie pani wydać w ręce policji.

Floria okazała zainteresowanie.

– Czy to właśnie zdarzyłoby się w pańskiej epoce? Gliniarze sami łatwo pana znajdą, jeśli będą mieli na to ochotę. Chociaż wątpię, czy wiedzą jeszcze, w jaki sposób przystąpić do aresztowania. Ostatnie miało miejsce dziesięć lat temu.

– Zaatakowałem panią.

Wybuchnęła śmiechem.

– Powiedzmy, że pana sprowokowałam. A spotkać człowieka, który nie może przewidzieć z minuty na minutę, co zrobię lub powiem, to pasjonujące doświadczenie.

Podeszła prosto do niego, pocałowała w usta i wymknęła się, zanim zdążył ją objąć. Corson stał z osłupiałą miną. Zaraz też doszedł do wniosku, że mówiła prawdę. Podnieciło ją to spotkanie. Nie знаła tego typu mężczyzn, ale on znał ten rodzaj kobiet. Odkrył to w jej oczach, gdy użył przeciw niej siły. Zasadnicze rysy ludzkości nie zmieniają się w tysiąc dwieście lat, nawet jeżeli ewoluują pewne powierzchowne charakterystyki.

Mógł skorzystać z sytuacji.

Coś się w nim cofnęło. Chciał uciec. Rodzaj instynktu popychał go do stworzenia możliwie największego dystansu między nim a tym światem. Instynkt ten znajdował solidne oparcie w obrazie przyszłości, jaki sobie wytworzył. Być może gatunek ludzki w ciągu tych tysięcy dwustu lat (a może więcej) dokonał wystarczającego postępu, by bez trudności pozbyć się osiemnastu tysięcy Bestii, lecz wątpił W to. A więzy, które powstałyby niewątpliwie między nim a Florią Van Nelle, poważnie ograniczyłyby mu wolność.

– Dziękuję za wszystko – powiedział. – Gdybym któregoś dnia mógł się pani odwzajemnić...

– Jest pan bardzo pewny siebie – odparła. – A dokąd zamierza się pan udać?

– Na inną planetę, mam nadzieję. Ja... dużo podróżuję. Na tej planecie pozostawałem o wiele za długo.

Floria zrobiła wielkie oczy.

– Nie pytam pana, dlaczego pan kłamie, panie Corson, lecz zastanawiam się, dlaczego kłamie pan tak źle.

– Dla przyjemności – odpowiedział.

– Nie widzę, żeby pan się dobrze bawił.

– Próbuję.

Płonął chęcią zadania jej tysiąca pytań, lecz hamował się. Trzeba będzie samemu odkryć ten nowy wszechświat. Nie zależało mu na tym, by już w tej chwili zdradzić swoją tajemnicę. Musiał się zadowolić tą niewielką ilością informacji, jaką uzyskał podczas rozmowy przeprowadzonej tego ranka.

– Miałam nadzieję, że będzie inaczej – powiedziała. – No cóż, jest pan wolny.

– Niemniej jednak mogę oddać pani pewną przysługę. Wkrótce opuszczę tę planetę. Niech pani zrobi to samo. Za kilka miesięcy może być tutaj nie do wytrzymania.

– Z panem? – zapytała ironicznie. – Nie potrafi pan przewidzieć, co stanie się za minutę, a bawi się pan w prorocstwa. Ja także dam panu dobrą radę. Niech pan zmieni ubranie, inaczej będzie pan śmieszny.

Corson, zażenowany, wepchnął ręce do kieszeni swego wojskowego munduru. Lecz po chwili przebrał się w rodzaj tuniki, którą mu podała. Na Marsie kracz jak Marsjanie... Statek przybijał do kei. W nowym ubraniu Corson czuł się naprawdę śmiesznie. Zatrzymali się.

– Gdzie tu jest śmietnik? Floria zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem?

– Zagryzł wargi.

Urządzenie, które usuwa odpadki.

– Ścieracz? Oczywiście.

Pokazała mu, jak funkcjonuje ścieracz. Zwinął swój mundur i wrzucił do aparatu. Fruwająca odzież, w którą się przebrał, dosyć dobrze ukrywała pistolet pod lewą pachą. Był prawie pewny, że Floria zauważyła broń, ale nie miała pojęcia o jej zastosowaniu. Mundur zniknął mu z oczu.

Podszedł prosto do drzwi, które w tym samym momencie otworzyły się. Już wychodząc zapragnął coś powiedzieć, lecz nie znalazł słów. Na pożegnanie uczynił tylko nieokreślony znak ręką. W tej chwili myślał tylko o jednym.

Znaleźć spokojne miejsce i pomyśleć.
I opuścić jak najszybciej Urię.

6.

Peron pod jego butami, nie, teraz pod sandałami, był miękki. Spłynęła na niego drobna fala lęku. Powinien pozostać dłużej z dziewczyną i zebrać możliwie najwięcej Informacji. O ile mógł to ocenić, jego pośpiech miał źródło w starym żołnierskim refleksie. W prowizorycznym schronieniu nie pozostawać dłużej ani minuty, niż potrzeba. Poruszać się, poruszać bez wytchnienia.

Jego aktualne zachowanie zdominowane było przez wojnę sprzed ponad tysiąca lat, a z którą rozstał się wczoraj. Ponadto była jeszcze jedna rzecz, z której zdawał sobie sprawę. Floria była młoda, ładna i chętna. Corson przybywał z wojny, z epoki, w której niemal cała energia ludzka skierowana była na walkę lub wysiłek ekonomiczny mający ją podtrzymać. I nagle odkrył istnienie świata, gdzie indywidualne szczęście wydawało się prawem. Za duży kontrast. Corson opuścił statek, ponieważ lękał się o swą wojskową skuteczność tak długo, jak długo znajdował się w pobliżu Florii.

Dotarł do końca peronu i z nieufnością patrzył na wąskie, pozbawione relingów i ponadto mocno nachylone kładki. Obawiał się, że to wahanie może go zdradzić, ale wkrótce zorientował się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. W jego świecie człowiek obcy byłby niewątpliwie podejrzany o szpiegostwo, chociaż absurdem było przypuszczenie, że Urianin pokusiłby się o spacer po mieście zbudowanym ludzkimi rękami. Słowo "szpiegostwo" miało inny cel niż zapewnienie bezpieczeństwa. Zająć umysły. Był wystarczająco cyniczny, by zdawać sobie z tego sprawę.

Mieszkańcy Dyoto okazywali wiele odwagi. Przeskakiwali z jednego poziomu na drugi, nawet wtedy, gdy różnica wynosiła kilkadziesiąt metrów. Przez chwilę Corson myślał, że wyposażeni są w niewielkie anty-G, ukryte w odzieży, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że tak nie jest. Podczas pierwszej swej próby skoczył z wysokości trzech metrów, wyładował na ugiętych nogach i o mało nie upadł. Oczekiwał o wiele gwałtowniejszego zetknięcia z podłożem. Ośmielony, zanurkował na odległość około dziesięciu metrów i zauważył pędzący wprost na niego mały statek powietrzny. Aparat wykonał unik, a jego pilot odwrócił w kierunku Corsona twarz pobladałą z gniewu czy też ze strachu. Corson pomyślał, że pewnie złamał jakiś przepis ruchu, i oddalił się szybko w obawie przed jakąś służbą porządkową.

Przechodnie na ogół wydawali się nie mieć określonego celu. Krążyli jak owady, opadali trzy poziomy niżej, następnie poddawali się działaniu niewidocznego prądu wstępującego, który zostawiał ich sześć piętér wyżej, zatrzymywali się na krótką rozmowę ze spotkaną osobą, po czym udawali się w dalszą drogę. Od czasu do czasu ktoś wchodził do jednego z masywnych budynków, tworzących szkielet miasta.

Samotność stała się uciążliwa jakieś trzy godziny później. Był głodny. I nadeszło zmęczenie. Pierwotne podniecenie zniknęło. Sądził na początku, że bez trudu odkryje jakąś restaurację lub zbiorową sypialnię albo oba zakłady razem, jak to było na wszystkich planetach

utrzymywanych przez Mocarstwo Słoneczne, dla żołnierzy i podróżnych, lecz rozczarował się. Zapytać przechodnia nie miał odwagi. W końcu postanowił wejść do jednego z wielkich budynków. Za drzwiami była obszerna sala. Na olbrzymich półkach porozkładane były artykuły. Tysiące ludzi krążyło tutaj i obsługiwało się.

Czy wziąć jakąś rzecz to kradzież? Kradzież była surowo karana przez Mocarstwo Słoneczne i Corson miał to głęboko wpojone. Społeczeństwo w stanie wojny nie może tolerować tak oczywiście aspołecznych postaw. Gdy odkrył sektor spożywczy, sprawa została rozstrzygnięta. Wybrał raczej podobne do tych, jakie dostał od Florii, wpakował je do kieszeni, podświadomie oczekując na sygnał alarmu i ruszył ostro w kierunku wyjścia, klucząc po drodze dla zmylenia tropu. A także dobrze uważając, by nie przechodzić tą samą drogą, którą tutaj dotarł.

W chwili, gdy już miał przechodzić przez drzwi, usłyszał głos i podskoczył. Był to niski głos o ciekawym zabarwieniu i raczej przyjemnym tonie.

– Proszę pana, czy pan niczego nie zapomniał?

Corson rozejrzał się wokół siebie.

– Proszę pana? – nalegał bezcielesny głos.

– Corson – powiedział. – Georges Corson.

Po co ukrywać swoją tożsamość w świecie, gdzie dla nikogo nic ona nie znaczy?

– Być może zapomniałem jakiejś formalności – przyznał. – Jestem tutaj obcy. Kim pan jest?

Najbardziej uderzyło go to, że przechodzący obok niego zdawali się tego głosu nie słyszeć.

– Jestem księgowym tego zakładu. Czy życzy pan sobie rozmawiać z dyrektorem?

Zlokalizował miejsce, z którego zdawał się wychodzić głos. Punkt na wysokości ramienia, dobry metr od niego.

– Czy przekroczyłem jakiś przepis? – zapytał Corson. – Przypuszczam, że zamierza mnie pan zatrzymać.

– Na pańskie nazwisko nie jest otwarty żaden kredyt, panie Corson. Jeśli się nie mylę, przychodzi pan po raz pierwszy do tego magazynu. Dlatego też pozwoliłem sobie pana zapytać. Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał tego za złe.

– Obawiam się, że nie posiadam żadnego kredytu. Naturalnie mogę panu zwrócić.

– Ależ po co, panie Corson? Wystarczy, że zapłaci pan gotówką. Przyjmujemy walutę wszystkich zrzyszonych planet

Corson drgnął.

– Zechce pan powtórzyć, co pan przed chwilą powiedział?

– Przyjmujemy walutę wszystkich zrzyszonych planet. Mogą być każde dewizy.

– Nie... nie mam pieniędzy – odpowiedział Corson przybity.

Słowo to raniło mu usta. Pieniądze były dla niego pojęciem czysto historycznym, w jakimś sensie znieawidzonym. Wiedział, jak wszyscy, że na długo przed wojną posługiwano się pieniędzmi jako środkiem wymiany na Ziemi, ale też nigdy ich nie widział. Armia wyposażała go zawsze we wszystko, czego potrzebował. Praktycznie nigdy nie odczuwał chęci otrzymania więcej albo innej rzeczy niż ta, którą mu przydzielono. Jak wszyscy jemu współcześni uważał, że zwyczaj wymiany pieniężnej stał się bezużyteczny, barbarzyński, nie do pomyślenia w

rozwiniętym społeczeństwie. Gdy opuszczał statek Florii, myślał, iż mógłby potrzebować pieniędzy, nawet przez sekundę nie pojawiła się w jego umyśle.

– Mógłbym... hmm...

Odchrząknął.

– Może mógłbym odpracować w zamian za... hmm... za to, co wziąłem.

– Nikt nie pracuje dla pieniędzy, przynajmniej na tej planecie, panie Corson.

– A pan? – zapytał z niedowierzaniem Corson.

– Ja jestem maszyną, panie Corson. Jeśli pan pozwoli, to zasugeruję pewne rozwiązanie. Na razie, zanim otrzyma pan kredyt, być może mógłby pan wskazać nam osobę, która mogłaby za pana poręczyć?

– Tutaj znam tylko jedną osobę – powiedział Corson. – Floria Van Nelle.

– Doskonale, całkowicie nam to wystarcza, panie Corson. Proszę wybaczyć, że pana fatygowałam. Mam nadzieję, że jeszcze nas pan odwiedzi.

Głos zamilkł. Definitywnie. Corson wzruszył ramionami, wściekły, iż czuje się tak nieswojo. Co pomyśli Floria, gdy odkryje, że jej kredyt doznał uszczerbku? Ale nie to go obchodziło. Wstrząsnął nim głos. Był on wszechobecny, mógł rozmawiać jednocześnie z tysiącem klientów, informować ich, radzić i udzielać nagany.

Czy niewidoczne oczy, ukryte w fałdach powietrza, szpiegowały go bez przerwy? Ponownie wzruszył ramionami; Przecież był wolny.

7.

Poszukał względnie spokojnego miejsca i otworzył puszkę. Po raz wtóry była to z jego strony reakcja żołnierza. Jedząc, próbował pomyśleć. Lecz mimo wysiłków nie udało mu się wyobrazić sobie własnej przyszłości.

Problem pieniędzy. Bez pieniędzy będzie mu trudno Opuścić Urię. Podróże międzygwiazdne były zapewne drogie. Pułapkę w czasie dublowała pułapka w kosmosie. Chyba że na przestrzeni sześciu miesięcy odkryje sposób zarobienia pieniędzy.

Nie przez pracę, gdyż nikt nie pracował dla pieniędzy. Im dłużej myślał, tym problem wydawał się trudniejszy. Nie istniało nic, co mógłby robić i co zainteresowałoby ludzi z Urii. Gorzej, w ich oczach uchodzić będzie za inwalidę. Mężczyźni i kobiety spacerujący ulicami Dyoto mogli przewidzieć wydarzenia z własnego życia. On tej umiejętności nie posiadał. I wszystko przemawiało za tym, że nigdy jej nie zdobędzie. Pojawienie się tej zdolności podnosiło kilka kwestii, które przez chwilę rozważał. Czy chodzi w tym przypadku o mutację, która pojawiła się nagle i szybko się rozprzestrzeniła wśród rodzaju ludzkiego? A może była to zdolność ukryta, którą rozwinać mógł szczególnie rodzaj ćwiczeń?

Niezależnie od tego, istnienie tej zdolności oznaczało, że w jego kontaktach z ludźmi z Urii nigdy nie będzie mógł wykorzystać efektu zaskoczenia. Z jednym tylko wyjątkiem.

Znał odległą przyszłość planety.

Za sześć miesięcy rój Bestii rzuci się radośnie i drapieżnie do ataku na Dyoto, ścigając ofiary w labiryncie przestrzeni i czasu. Być może zdolność ta pozwoli ludziom na chwilę wytchnienia. I nic więcej.

Był to niezły element przetargu. Może ostrzec centralne władze planety, zalecić całkowitą ewakuację Urii albo też spróbować udoskonalić metody walki przeciw Bestii, wypróbowywane przez Mocarstwo Słoneczne. Broń obosieczna. Urianie mogli najzwyczajniej w świecie postanowić, że go powieszą.

Wyrzucił poza krawędź kładki puste opakowania I patrzył, jak spadają. Nic nie hamowało ich upadku. A zatem pole antygravitacyjne działało tylko na istoty ludzkie. Może podświadomie ich system nerwowy wydawał dyspozycje, jakie były do tego niezbędne. Corson nie wyobrażał sobie urzędzenia, mogącego spełnić takie zadanie. N Wstał i znowu zaczął się błąkać. Projekt: odkryć dworzec międzygwiazdny, miejsce, skąd wyruszały galaktyczne transporty czy też lądowały transprzestrzenne okręty, i dostać się na pokład, w razie potrzeby używając siły. Jeżeli zostanie zatrzymany, zawsze pozostanie mu jedno rozwiązanie – zacząć mówić.

W zarysach poznał już rozkład miasta, chociaż wydawał mu się wyjątkowo nieskładny. W jego epoce wszystkie bazy militarne wzorowane były na tym samym modelu. Pewne drogi przeznaczone były dla pojazdów, inne dla pieszych. Tutaj nie. Możliwość przewidywania wydarzeń na kilka chwil naprzód musiała wywrzeć wpływ na kodeks drogowy. Ponownie stanął mu przed oczyma wypadek, któremu kilka godzin wcześniej mało nie uległ. Kierowca nie przewidział jego pojawienia się na drodze. Zatem, aby przewidywać, Urianie musieli podjąć wysiłek, kierować tym dodatkowym zmysłem. A może też zdolność ta rozdzielona była nierównomiernie?

Spróbował się skoncentrować i wyobrazić sobie, co się wydarzy. Przechodzień. Może iść nadal prosto, skrócić w prawo, pójść w górę lub w dół. Corson przyjął, że ten zawróci. Człowiek szedł dalej. Corson ponowił doświadczenie. Bez powodzenia.

Jeszcze raz i jeszcze raz.

Niepowodzenie, może nawet za często I Czy też jakaś blokada systemu nerwowego uniemożliwiła mu poprawne przewidywanie i stałe zmuszała do przewidywania czegoś przeciwnego? Możliwe.

Powoli stanęły mu przed oczyma dawne doświadczenia, intuicje, zbyt pewne, brutalne, sprawdzające się. Jak błyskawice, które w decydującym momencie jakiejś walki rozbłyły w polu jego świadomości. Albo w ciszy wyczerpania. Nic rozpracowanego, nic przemyślanego. Przypadki, które wkrótce się zapomina i które nazywa się zbiegami okoliczności.

Zawsze miał opinię szczęściarza. Fakt, że był jeszcze przy życiu, zdawał się potwierdzać to, co jego towarzysze –nieżywi, co do jednego – mówili śmiejąc się z niego. Czy na Urii szczęście stało się czynnikiem wymiernym?

Lekki aparat zatrzymał się na jego wysokości i Corson zrobił instynktowny unik. Napięcie ścięła, ugięte kolana, – rękę podniósł do lewej pachy. Nie wyciągnął broni. W aparacie była tylko Jedna pasażerka. Z pustymi rękoma. Brunetka, młoda, ładna. Uśmiechała się. Zatrzymała się, żeby z nim porozmawiać. Nie znał jej.

Corson wyprostował się i otarł krople potu z czoła. Młoda kobieta gestem zaprosiła go do środka. – Georges Corson, prawda? Proszę, niech pan wejdzie.

Aby umożliwić mu wejście, brzeg aparatu załamał się, jakby był z tkaniny albo tworzywa sztucznego poddanego działaniu promieni termicznych. – Kim pani jest? Jak pani mnie znalazła?

– Antonella – odpowiedziała. – To moje imię. A powiedziała mi o panu Floria Van Nelle. Zaprawdę pana spotkać.

Zawahał się

– Wiem, że pan wejdzie, Corson. Nie traćmy czasu. O mało co nie odwrócił się. Czy zdolność przewidywania można było oszukać? Ale ona miała rację. Chciał wejść. Miał już dosyć samotności, odczuwał potrzebę porozmawiania z kimś. Później będzie czas na robienie doświadczeń. Wspiął się do aparatu.

– Witamy na Urii, panie Corson – powiedziała nieco ceremonialnie Antonella. – Mam obowiązek przyjąć pana u nas.

– To oficjalna misja?

– Może pan to tak nazwać, jeśli panu na tym zależy.

Ale czerpią z tego prawdziwą osobistą przyjemność. Aparat nabrał szybkości, poruszając się bez widocznego absorbowania uwagi młodej kobiety. Uśmiechnęła się odsłaniając olśniewające zęby. – Dokąd lecimy?

– Proponuję mały spacer nad brzegiem morza.

– Czy gdzieś mnie pani zabiera?

– Nigdzie tam, gdzie nie chciałby się pan znaleźć.

– Niech będzie – powiedział Corson opadając na poduszki.

A ponieważ opuszczali Dyoto:

– Pani się nie boi. Fioria powiedziała pani wszystko na mój temat.

– Powiedziała nam, że obszedł się pan z nią trochę brutalnie. Nie wie jeszcze, czy mieć to panu za złe, czy nie. Chyba najbardziej zabolalo ją to, że ją pan zosta wił. To bardzo raniące.

Uśmiechnęła się ponownie, a on się rozluźnił. Nie wiedział dlaczego, lecz miał do niej zaufanie. Jeżeli rzeczywiście miała obowiązek przyjmować cudzoziemców, musiała być starannie wybrana.

Odwrócił głowę i po raz drugi ujrzał olbrzymi piramidalny grzyb Dyoto, które wydawało się wspierać na dwóch lśniących kolumnach pionowych rzek. Morze, zdradzające wielkimi, powolnymi pulsacjami szeroki ocean, kąsało plażę bez końca. Niebo było niemal puste. Przezroczyista tęcza, jak unoszący się nad wodospadem obłok o zatartych konturach, otaczała szczyt miasta.

– Co pani chce o mnie wiedzieć? – zapytał gwałtownie.

– Nic z pańskiej przeszłości, panie Corson. Interesuje nas pańska przyszłość.

– Dlaczego?

– Niczego się pan nie domyśla?

– Zamknął na krótką chwilę oczy.

– Nie – odrzekł. – Nic nie wiem o mojej przyszłości.

– Papierosa?

Wziął do ręki podane mu owalne etui i wyłowił papierosa. Włożył go w usta i pociągnął, oczekując, iż zapali się sam. Lecz nic takiego się nie zdarzyło. Antonella podała mu zapalniczkę i w momencie, gdy zapłonął ogień, krótki błysk oślepił Corsona.

– Co pan zamierza robić? – zapytała go słodkim głosem.

Przetarł ręką oczy i wciągnął dym w płuca. To był prawdziwy tytoń, zupełnie niepodobny do alg, które palił w świetle w stanie wojny.

– Opuścić tę planetę – odparł impulsywnie. Zagryzł usta, lecz świecący punkt polatywał mu przed oczyma, jakby posłany na jego siatkówki przez metaliczną powierzchnię zapalniczki świecący refleks wyciął na nich maleńki i trudny do określenia motyw. Nagle zrozumiał i zgasił papierosa na pulpicie sterowniczym statku. Zamknął oczy i tak mocno przycisnął polce do powiek, że zobaczył startujące pęczkami rakiety i eksplodujące słońca. Jego prawa ręka powędrowała pod tunikę w kierunku broni. Błysk zapalniczki nie był zwykłym refleksem. Jego hipnotyczne oddziaływanie w połączeniu z narkotykiem zawartym w papierosie miało zmusić go do mówienia. Ale trening, jaki przeszedł, uczynił go zdolnym do opierania się tego rodzaju podstępom.

– Jest pan bardzo mocny, panie Corson – powiedziała

Antonella spokojnym głosem. – Wątpię jednak, czy jest pan na tyle mocny, by opuścić tę planetę.

– Dlaczego pani nie przewidziała, że ta sztuczka się nie powiedzie?

Głos nabrzmiał był gniewem.

– A kto panu powiedział, że się nie powiedziała, Georges? Uśmiechała się równie uprzejmie jak wtedy, gdy zapraszała go do wejścia do aparatu.

– Powiedziałem tylko, że zamierzam opuścić tę planetę. To wszystko, co chcecie wiedzieć?

– Może. Teraz jesteśmy pewni, że pan ma naprawdę taki zamiar.

– I zamierzacie przeszkodzić mi w tym?

– Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy to zrobić. Jest pan uzbrojony i niebezpieczny. Chcielibyśmy jedynie odradzić to panu.

– Oczywiście dla mojego dobra.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Aparat obniżył lot i zmniejszał szybkość. Znieruchomiał ponad niewielką zatoczką, powoli zaczął opadać i wreszcie łagodnie wylądował na piasku. Jego brzegi opadły jak stępiony воск. Antonella wyskoczyła na piasek, przeciągnęła się i ruszyła tanecznym krokiem.

– Czy to nie romantyczne? – zapytała.

Podniosła wieloboczną muszlę, która zapewne chroniła jeżowca. Jeżowca z innego świata, pomyślał Corson. Ważyła ją przez chwilę, po czym rzuciła w fale liżące jej nagie stopy.

– Nie lubi pan tej planety?

Corson wzruszył ramionami.

– Jak na mój gust, jest trochę zbyt dekadencja. Zbyt tajemnicza w spokojnych zakątkach.

– Domyślam się, że woli pan wojnę, działania brutalne i gwałtowne. Może znajdzie pan tutaj jakieś resztki tego wszystkiego, Georges.

– I miłość – powiedział z sarkazmem,

– Dlaczego nie?

Przymrużyła nieco oczy I jakby czekała, rozchyliwszy usta. Corson zacisnął pięści. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział równie uwodzicielską kobietę, nawet podczas swoich urlopów w ośrodkach wczasowych. Rozstał się ze wszystkimi wspomnieniami swej przeszłości, zbliżył się do niej I wziął w ramiona.

8.

– Nie przypuszczałam, Georges, że stać cię na tyle delikatności – powiedziała zduszonym głosem.

– Czy na waszej planecie jest zwyczajem przyjmowanie w ten sposób cudzoziemców?
Jego głos zdradzał głuchą irytację.

– Nie – odpowiedziała. (Na krawędziach powiek zauważył wzbierające łzy). – Nie, nasze obyczaje są niewątpliwie bardzo swobodne, w porównaniu do obyczajów twojego świata, ale...

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Musisz zrozumieć, Georges. Musisz mnie zrozumieć. Nie mogłam się oprzeć. Od tak dawna.

Zaczął się śmiać.

– Niewątpliwie od naszego ostatniego spotkania?

Uczyniła wysiłek I jej twarz przybierała powoli wyraz pierwotnego spokoju.

– W pewnym sensie tak, Georges – powiedziała. – Zrozumiesz to później...

– Jak będę duży?

Podniósł się i podał jej rękę.

– Teraz – powiedział – mam jeszcze jeden powód, aby opuścić tę planetę. Pokręciła głową.

– Nie możesz.

– Dlaczego?

– Po wyjściu z transprzestrzeni, niezależnie od planety, zatrzymają cię i poddadzą pewnemu zabiegowi. Och, nie zabiją cię, ale już nigdy nie będziesz taki sam. Nie będziesz już miał wspomnień. I wielu z twoich pragnień. To niemal tak, jak umrzeć.

– Gorzej – powiedział. – I poddają temu zabiegowi wszystkich międzygwiazdnych podróżników?

– Tylko przestępców wojennych.

Zachwiał się. Otaczający go świat zaszedł mgłą, tak że stał się nierozpoznawalny. Do jakiegoś stopnia mógł zrozumieć zachowanie tej kobiety, chociaż jej wypowiedzi były niejasne. Jej postawa nie była bardziej absurdalna niż te unoszące się w powietrzu miasta, te pionowe rzeki – albo to stuknięte społeczeństwo, spacerujące w powietrzu na pokładach powietrznych jachtów. Lecz słowa Antonelli były jednocześnie niezrozumiałe I nabrzmiałe groźbą.

Przestępca wojenny. Ponieważ brał udział w wojnie, która skończyła się ponad tysiąc lat wcześniej.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu.

– Uczyń wysiłek. Jest to jednak oczywiste. Urząd bezpieczeństwa nie sprawuje władzy na planetach. Interweniuje tylko wtedy, gdy jakiś przestępca przenosi się z jednej planety na inną. Jeżeli użyjesz jako środka transportu transprzestrzeni, choćby tylko po to, by dolecieć do księżycy tej planety, jesteś skończony. Jest tylko jedna szansa na milion, aby im umknąć.

– Ale dlaczego oni chcą się ze mną rozprawić?

Rysy Antonelli stwardniały.

– Powiedziałam ci. Sądzisz, że bawi mnie powtarzanie tego? Wydaje ci się, że przyjemnie mi nazywać przestępcą Wojennym człowieka, którego kocham?

Wziął ją za przeguby i ścisnął z całej siły.

– Antonella, błagam cię. Powiedz mi. o jaką wojnę chodzi.

Wyszarpywała mu się.

– Brutali Puść mnie. Jak możesz chcieć, żebym ci powiedziała! Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie. W przeszłości było tysiące wojen. Możesz przybywać z którejkolwiek.

Puścił ją. Pociemniało mu przed oczyma. Potarł ręką czoło,

– Antonella, pomóż mi. Czy słyszałaś o wojnie między Mocarstwem Słonecznym a Księżętami Urii?

Skupiła się.

– Niewątpliwie było to bardzo dawno. Ostatnia wojna, jaka dotknęła tę planetę, miała miejsce ponad tysiąc lat temu.

– Między ludźmi a tubylcami?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Na pewno nie. Tę planetę ludzie dzielą z tubylcami od ponad sześciu tysięcy lat.

– Zatem – powiedział spokojnie – jestem ostatnim człowiekiem uratowanym z wojny, która toczyła się ponad sześć tysięcy lat temu. Przypuszczam, że jest to przedawnione.

Podniosła głowę i utkwiała w nim pełne zdziwienia, wielkie brązowe oczy.

– Przedawnienie jest niemożliwe – rzekła bezbarwnym głosem. – To byłoby zbyt łatwe. W wyniku przegrywanej wojny wystarczyłoby skoczyć tak daleko w przyszłość, by uniknąć kary i być może zaczynać od początku. Obawiam się, że nie doceniasz urzędu.

– Chcesz powiedzieć... – przerwał.

Zaczął dostrzegać prawdę. Od wieków, a może od tysiącleci człowiek umie poruszać się w czasie. I pokonani generałowie, obaleni tyrani szukali systematycznie azylu w czasie, w przeszłości albo w przyszłości. Woleli to niż wystawianie się na ciosy wrogów. A spokojne wieki zmuszone były bronić się przed tymi najeźdźcami, gdyż w przeciwnym wypadku wojny ciągnęłyby się w nieskończoność, krzyżując się w nierozwikłanych sieciach przymierzy, tu i tam zrywanych przez nieokreślony los ciągle rozpoczynanych bitew. Urząd bezpieczeństwa strzegł czasu. Nie interesował się konfliktami mogącymi wybuchnąć na powierzchni planet, lecz zakazywał, kontrolując komunikację, rozprzestrzeniania konfliktu na skalę galaktyki i historii.

Było to zawrotne zadanie. Trzeba było wyobrazić sobie niewyczerpane zasoby nie kończącej się przyszłości, aby móc coś takiego wymyślić.

I Georges Corson, wyłaniając się gwałtownie z przeszłości, wojownik zbłąkany w wiekach, został automatycznie zaszufadkowany jako przestępca wojenny. Przed oczyma przemknęło

mu kilka obrazów z konfliktu między Mocarstwem Słonecznym a Książętami Urii. Z obu stron była to wojna bezlitosna, nieposkromiona. Niegdyś, nawet przez sekundę, nie pomyślałby, że człowiek może odczuwać litość wobec Urianina. Lecz upłynęło sześć tysięcy albo i więcej lat. Wstydził się za samego siebie, za byłych towarzyszy, za oba rodzaje, za tryumfującą radość, jaką odczuwał wiedząc, że Bestia dotarła do miejsca przeznaczenia.

– Nie jestem przestępcą wojennym, w ścisłym tego słowa znaczeniu – powiedział. – Owszem, brałem udział w dawnej wojnie, lecz nikt się nie pytał mnie o zdanie. Urodziłem się w świecie w stanie wojny, a w odpowiednim wieku przeszedłem odpowiednie przeszkolenie i musiałem wziąć udział w walkach. Nie próbowałem uciec przed odpowiedzialnością nurkując w czasie. W przyszłość zostałem przerzucony w wyniku... pewnego wypadku, pewnego doświadczenia. Chętnie poddam się wszystkim możliwym badaniom, aby tylko nie przyniosły szkody mojej osobowości. Myślę, że uda mi się przekonać każdego bezstronnego sędziego.

Dwie łzy pojawiły się w kącikach oczu Antonelli.

– Tak bardzo chciałabym ci wierzyć. Nie domyślasz się, jak cierpiałam, kiedy powiedziano mi, kim byłeś. Kochałam cię od pierwszej chwili. I myślałam, że nigdy nie starczy mi sił do wykonania tej misji.

Teraz pewny był jednej rzeczy. Zobaczy ją, odnajdzie ją w przyszłości, w której ona jeszcze go nie spotkała. W sposób, którego nie mógł jeszcze zrozumieć, ich losy skrzyżowały się. On widział ją po raz pierwszy, lecz ona już go znała. I któregoś dnia rozegra się scena dokładnie odwrotna do tej. Było to trochę skomplikowane, ale przynajmniej miało sens.

– Czy na tej planecie istnieje rząd? – zapytał. – Mam mu coś do powiedzenia.

9.

Zanim odpowiedziała, zawahała się przez chwilę. Pomyślał sobie, że była tak wstrząśnięta, iż nie mogła przewidzieć jego pytania.

– Myślisz o władzy centralnej? Nie, nic takiego nie istnieje na Urii od ponad tysiąca lat. Rządy należą do antycznego okresu historii ludzkości. Posiadamy maszyny spełniające niektóre funkcje, jak na przykład dystrybucja. Policję także, ale ona prawie nigdy nie interweniuje.

– A urząd bezpieczeństwa?

– On kontroluje jedynie komunikację i przypuszczam, że również kolonizację nowych planet.

– A kto zapewnia łączność między Urią a urzędem?

– Rada. Trzech ludzi i Urianin.

– Pracujesz dla nich? Wydawała się zaszokowana.

– Dla nikogo nie pracuję. Poprosili mnie, abym cię spotkała, Ceorges, i ostrzegła, co cię czeka, jeżeli opuścisz tę planetę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – powiedział Corson ostrym głosem.

– Ponieważ jeżeli spróbujesz opuścić planetę, stracisz całą osobowość, twoja przyszłość ulegnie zmianie i nigdy mnie nie spotkasz.

Usta jej drżały.

– Jest to powód osobisty – powiedział Corson. – Ale dlaczego interesuje się mną Rada?

– Tego mi nie powiedzieli. Przypuszczam, że uważają, iż Uria będzie cię potrzebowała. Obawiają się, żeby jakieś nieszczęście nie spadło na planetę, i sądzą, że tylko ty możesz temu zapobiec. Dlaczego? Tego nie wiem.

– Mam pewne przypuszczenie co do tego – rzekł Corson. – Możesz mnie do nich zaprowadzić?

Antonella wydała się przybita tym pytaniem.

– To może być trudne – powiedziała. – Oni żyją trzy sta lat w przyszłości, a ja osobiście nie mam żadnego sposobu podróżowania w czasie.

10

Corson z trudem przerwał ciszę.

– Chcesz powiedzieć, że przybywasz z odległej o trzysta lat przyszłości?

Przytaknęła.

– A jaką misję zamierza powierzyć mi wasza Rada?

Potrząsnęła głową. Włosy opadły jej na ramiona.

– Żadną. Życzą sobie tylko, abyś pozostał na tej planecie.

– I wystarczy moja obecność, aby oddalić burzę?

– Coś w tym rodzaju.

– Podnosi mnie to na duchu. A w chwili, gdy rozmawiamy, nikt nie jest odpowiedzialny za nic na tej planecie.

– Nie – powiedziała. – Aktualna Rada nadzoruje nieco ponad siedem wieków. Nie jest to zbyt dużo. Na innych planetach niektóre rady odpowiedzialne są za ponad tysiąc lat.

– To ma przynajmniej tę zaletę, że zapewnia ciągłość władzy – powiedział Corson. – A jak zamierzasz wrócić do twojego czasu?

– Nie wiem – odpowiedziała. – W zasadzie to ty powinieneś znaleźć jakieś rozwiązanie.

Corson zagwizdał.

– Coraz lepiej. Wreszcie to jedno przynajmniej mamy wspólnego, że obydwójce jesteśmy zagubieni w czasie.

Antonella wzięła go za rękę.

– Nie jestem zagubiona – powiedziała. – Wracajmy, dzień ma się ku końcowi.

Zamyśleni, z pochylonymi głowami, skierowali się do wehikułu.

– Co do jednej rzeczy jestem pewny – rzekł Corson. – Jeżeli mówisz prawdę, nie znanym mi jeszcze sposobem osiągnę tę datę w przyszłości, z której przybywasz, i wtedy spotkam cię, i ty zobaczysz mnie po raz pierwszy, a ja po raz drugi. Moje słowa będą dla ciebie niezrozumiałe. I być może u kresu tej podróży odkryję prawdziwy sens tej niezgłębionej niedorzeczności.

Corson zwał się na poduszki, głowa mu opadła i zasnął natychmiast, gdy lecieli już w kierunku powietrznego miasta, lizanego w swej piramidalnej glorii przez czerwone języki zachodzącego słońca.

11.

Został obudzony przez krzyki, zgrzyty, szuranie butów po nierównej powierzchni, ze złością rzucane rozkazy i jadowity szczęk broni. Noc była kompletna. Wehikuł chwia się. Obrócił się do Antonelli, której nawet rysów twarzy nie mógł dostrzec w zatapiającej ich atramentowej mgle. "Własny głos wydał mu się przygłuszony.

– Wypadek?

– Zostaliśmy zaatakowani. Przewidziałam tylko tę czarną chmurę, a dalej nic już nie mogłem wywnioskować.

– A teraz co się zdarzy?

– Nic nie potrafię przewidzieć. Ciemność, kompletna ciemność...

W jej głosie zabrzmiała rozpacz.

Wyciągnął w jej kierunku rękę. i dla dodania otuchy uściskał ramię, lecz w tej absolutnej czerni dystansu nie zlikwidowałby nawet najintymniejszy kontakt. Szepnął do niej:

– Jestem uzbrojony.

Ciągłym ruchem wy dobył broń z kabury i naciskając spust omiół przestrzeń. Zamiast znanego mu ostrego srebrnego promienia z lufy wy dobył się nieśmiało fioletowy promyk. W odległości dwóch dłoni zdawał się rozpląwać. Ta chmura była czymś innym niż zwykłą mgłą. Było to zapewne pole, rozwinięta w przestrzeni siatka energetyczna, wiążąca promieniowanie widzialne jak i promieniowanie najbardziej przenikliwe. Nawet w głębi ciała Corson odczuwał nieprzyjemne łaskotanie, jak gdyby komórki, z których był zbudowany, groziły rozdzieleniem się..

Głos tak głęboki i potężny, iż drżały wnętrzości, napłynął z jakiejś ogromnie odległej jaskini. – Nie strzelaj, Corson. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Kim jesteś? – zawołał, lecz jego głos zabrzmiał słabiotko, jakby słyszał go przez małą słuchawkę.

– Pułkownik Veran – odrzekł głos. – Nie znasz mnie, nie ma to jednak żadnego znaczenia. Osłońcie oczy, podniesiemy ekran.

Corson schował broń i w ciemności uściskał palce Antonelli.

– Posłuchaj, czy to nazwisko coś ci mówi?

Wyszeptała:

– Nie znam nikogo o nazwisku Pułkownik.

– Pułkownik to stopień. Nazywa się Veran. Nie znam go, tak jak i ty. Nie wiem...

Błyskawica. Między palcami Corson dostrzegł najpierw tylko jednolitą biel, która przemieniła się wkrótce w masę krwawych igiełek przenikających jego zaciśnięte powieki. Po chwili mógł już otworzyć oczy i zobaczyć, że aparat unosi się ponad jakąś polanką. Był dzień. Otaczali ich mężczyźni w szarych mundurach, uzbrojeni w nieznaną broń. Za rzędem

żołnierzy dostrzegł dwie maszyny albo dwa pagórki, których szczegóły z powodu oślepienia wydawały mu się nadal rozmazane. Po obu jego bokach były jeszcze po dwa i kiedy odwrócił głowę, dostrzegł również dwa z tyłu.

Straż przy nich pełnili żołnierze.

Czołgi.

Jeden z obiektów poruszył się i Corson omal nie wrzasnął.

Pagórki były Bestiami.

Dokładnie takimi samymi Bestiami jak Bestia, którą "Archimedes" miał za zadanie wysadzić na Urii. Istoty tak przerażające, że rodzaj ludzki w czasach Corsona, w okresie, gdy wojna zubożyła język, nie znalazł dla nich innej nazwy jak Bestia.

Corson rzucił okiem w kierunku Antonelli. Zaciskając usta, sprawiała dosyć dobre wrażenie. Człowiek w zielonym mundurze oderwał się od grupy ubranych na szaro żołnierzy i skierował się ku nim. Stanął na baczność trzy metry od aparatu i rzucił ostrym głosem:

– Pułkownik Veran. Ocalały cudem wraz ze szczątkami 623 regimentu kawalerii z klęski na Aergistalu. Dzięki wam, Corson. Wasz pomysł wyjścia z okrążenia ocalił nam życie. A ponadto udało wam się wziąć zakładniczkę. Dobrze.

Przesłuchamy ją później.

– Ja nigdy nie... – zaczął Corson. Po czym zamilkł.

Jeżeli ta niepokojąca osoba uznała, że jest jemu coś winna, to lepiej niech nadal będzie o tym przekonana. Corson zeskoczył z wehikułu. Wtedy dopiero zobaczył brudne, podarte mundury, ślady gwałtownych uderzeń na szerniałych maskach pokrywających twarze. Ciekawe, że żaden z obecnych ludzi nie wydawał się być ranny, nawet lekko. Corsonowi niemal automatycznie nasunęła się odpowiedź oparta na jego doświadczeniu z przeszłości. Wykończę ich. Nazwa Aergistal nic mu nie mówiła. Nie znał tych mundurów. Stopień pułkownika używany był przynajmniej przez piętnaście tysięcy lat. Pułkownik Veran mógł pochodzić z jakiegokolwiek bitwy między epoką Corsona a obecną. Fakt, iż jego ludzie wykorzystywali tresowane Bestie, skłaniał do przypuszczenia, że pochodził z okresu znacznie późniejszego niż Corson. Ile potrzeba było czasu, aby nawiązać kontakt z Bestiami, aby je wytresować, poczynając od pierwszych nieudolnych prób Mocarstwa Słonecznego? Dziesięć lat? Wiek? Tysiąc lat?

– Jaki macie stopień? – zapytał pułkownik Veran.

Corson instynktownie skorygował postawę. Lecz miał zaostrzoną świadomość groteskowości swego ubioru. I sytuacji. Veran i on byli tylko zjawami. Antonella jeszcze się nie urodziła.

– Porucznik – powiedział głuchym głosem.

– W imieniu Jego Wysokości Jaśnie Oświeconego Ptara Murphie – powiedział uroczyście Veran – mianuję was kapitanem.

Jego głos stał się nieco serdeczniejszy, gdy dodał:

– Naturalnie, kiedy wygramy wojnę, otrzymacie stopień marszałka. W tej chwili nie mogę wam przyznać wyższe go stopnia, ponieważ służyliście w obcej armii. Przypuszczam, że jesteście szczęśliwi odnajdując prawdziwą armię i solidnych ludzi. Tych kilka godzin spędzonych na tej planecie było chyba niewesołych.

Zbliżył się do Corsona i zapytał ciszej:

– Czy przypuszczacie, że znajdę rekrutów na tej planecie? Potrzebuję około miliona ludzi. I potrzebuję także dwieście tysięcy hippronów. Jeszcze możemy uratować Aergistal.

– W to nie wątpię – powiedział Corson. – Ale co to jest hippron?

– To nasze wierzchowce, kapitanie Corson.

Veran szerokim gestem wskazał osiem Bestii.

– Mam wielkie plany, kapitanie, i nie wątpię, że życzy pan sobie wziąć w nich udział. Tak naprawdę, gdy odbiję już Aergistal, zamierzam uderzyć na Naphur, zawładnąć zbrojowniami i obalić tego plugawego nikczemnika, jakim jest Ptar Murphie.

– Prawdę mówiąc – rzucił Corson – wątpię, czy znajdzie pan wielu rekrutów na tej planecie. Jeśli chodzi o hipprony, zostawiłem jednego, gdzieś tutaj w dżungli.

Ale on jest całkiem dziki.

– Cudownie – powiedział Veran. Zdjął czapkę. Na jego ogolonej czaszce zaczynały odrastać włosy, czyniąc ją podobną do poduszki na igły. Jego szare, głęboko osadzone oczy przypominały twarde kamienie. Twarz pokryta była patyną starego brązu z jaśniejszymi smugami w miejscu blizn. Na rękach miał rękawiczki z giętkiego błyszczącego metalu.

– Pokażcie mi swoją broń, kapitanie Corson – powiedział.

Corson zawahał się przez chwilę. Potem podał rękojeść broni Veranowi, który ujął ją krótkim ruchem.

Pułkownik przyjrzał się jej dokładnie i zważył w dłoni. Po czym uśmiechnął się.

– Zabawka.

Veran zastanawiał się. Następnie rzucił broń Corsonowi, który, zaskoczony, o mało jej nie upuścił.

– Biorąc pod uwagę stopień i znaczenie oddanej nam przysługi, sądzę, że mogę ją wam zostawić. Ma się rozumieć, będzie ona służyć tylko przeciw naszym wrogom. Lecz ponieważ obawiam się, że okaże się niewystarczająca, by was chronić, kapitanie, dam wam dwóch moich ludzi.

Dał znak.

Podeszli dwaj żołnierze i znieruchomieli w postawie zasadniczej.

– Od tej chwili jesteście na rozkazach kapitana Corsona. Czuwajcie, by nie wpadł w pułapkę opuszczając granice obozu. Ta zakładniczka...

– Pozostanie pod moją opieką, pułkowniku – powiedział Corson.

Na moment spoczął na nim twardy wzrok Verana.

– Chwilowo jest to niewątpliwie pożądane. Uważajcie, żeby nie kręciła się po obozie. Nie lubię łamania dyscypliny. Możecie odejść.

Obydwaj żołnierze wykonali zwrot na piętach. Czując się bezsilny, Corson zrobił to samo, dla formy ofukując Antonellę. Ruszyli.

– Kapitanie.

Twardy głos Verana osadził ich w miejscu. Przybrał ironiczny ton.

– Nie przypuszczałem, Corson, że natrafię na tyle wrażliwości u żołnierza pańskiego pokroju. Zobaczę się z panem jutro.

Ruszyli przed siebie. Żołnierze szli miarowym krokiem, jak automaty. Zmęczenie i dyscyplina. Mimo woli Corson dostosował się do tego kroku. Nie miał żadnych złudzeń co do swej pozycji, posiadanej broni i eskorty, a raczej właśnie z jej powodu. Był więźniem.

Żołnierze prowadzili go ku grupie szarych namiotów, które inni stawiali precyzyjnymi i szybkimi ruchami. Przedtem starannie spalili ziemię polany. Teraz wysuszona, pokryta była cienkim dywanem popiołu. Tam, gdzie przechodziły oddziały Ptara Murphie, trawa odrastała z trudem.

Eskortujący ich żołnierz podniósł brzeg jednego z już wzniesionych namiotów i gestem nakazał wejść do środka. Wyposażenie wnętrza było regulaminowe. Nadmuchiwane siedzenia otaczały rozwiniętą metalową płytę, unoszącą się w powietrzu i spełniającą rolę stołu. Dwa wąskie łóżka uzupełniały całość. Lecz surowość tego miejsca podniosła Corsona na duchu. Tutaj czuł się lepiej niż w przepysznej dekoracji barokowych budynków Dyoto. Na chwilę puścił wodze wyobraźni. Jak mieszkańcy Urii zareagują na agresję? Chociaż oddziały Verana były nieliczne, niewątpliwie nie spotkają się one z żadnym poważniejszym oporem. Naturalnie, w taki czy inny sposób wiadomość o tym dotrze do Rady przyszłości, lecz nie będzie mogła ona wystawić żadnego oddziału. A może już została zgładzona. Pytanie: jak może przetrwać w przyszłości rząd, gdy przeszłość, która go stworzyła, jest teoretycznie wymazana? Może Urianie nigdy nie postawili sobie takiego pytania, lecz poznają odpowiedź, zanim zostaną ostrzeżeni o jego istnieniu. W jakimś sensie ta bezpośrednia groźba spychała na dalszy plan zagrożenie Bestiami, które cywilizacja Verana oswoiła i nazwała hippronami.

Zbieg okoliczności był wręcz niesamowity: wyłaniający się z nicości Veran, utrzymujący, iż go zna, i potrzebujący dwieście tysięcy hippronów. W czasie krótszym niż sześć miesięcy, jeśli wyłapie całe potomstwo Bestii, do której lądowania na Urii przyczynił się Corson we własnej osobie, będzie dysponował osiemnastu tysiącami hippronów. W niecały rok będzie miał więcej, niż żądał. Umieszczone w sprzyjających warunkach, Bestie rozmnażały się szybko.

I szybko osiągały pełny rozwój.

Nie było nawet jednej szansy na miliard, żeby Veran pojawił się przez przypadek w tym dokładnie momencie. Ale dlaczego potrzebował on dzikiego hipprona? Ponieważ...

Oswojone hipprony Verana nie mogły się rozmnażać. Na Ziemi przez tysiące lat część zwierząt pociągowych stanowiły woły. Ich łagodność wynikała z niewielkiego zabiegu, któremu je poddawano. Całe zwierzę, zwane bykiem, było prawdziwym dzikim zwierzem. Jest bardzo prawdopodobne, że hipprony Verana poddawane były podobnemu zabiegowi. Zatem potrzebna mu była dzika Bestia. Nietknięta.

Wreszcie Corson przeniósł uwagę na Antonellę. Siedziała na jednym z nadmuchiwanym foteli. Przyglądała się rękom, które położone płasko na stole lekko drżały. Podniosła oczy i spojrzała na Corsona czekając, aż się odezwie. Jej rysy były ściągnięte, lecz nie dawała po sobie poznać zdenerwowania. W ogóle zachowywała się lepiej, niż mógłby przypuszczać. Usiadł naprzeciw niej.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jesteśmy podsłuchiwani – zaczął gwałtownie. – Jednak powiem ci to. Pułkownik Veran wydaje mi się człowiekiem rozsądnym. Na tej

planecie trzeba przywrócić porządek. Jestem przekonany, że nic ci się nie stanie, jeśli tylko uznasz jego i moją władzę. Tym bardziej, że twoja obecność może ułatwić jego projekty.

Miał nadzieję, że zrozumiała, że jej nie zdradzi i zrobi maksimum, by wyciągnąć ją z tego całą i zdrową, lecz że nie może w tej chwili powiedzieć więcej. Veran miał inne zmartwienia niż szpiegowanie ich, ale nie był człowiekiem, który nie liczył się z ryzykiem. Jeden z jego pomocników niewątpliwie podsłuchiwał ich i nagrywał. Gdyby Corson znajdował się na miejscu Verana, postępowaliby w ten sam sposób.

Jakiś żołnierz podniósł materiał zamykający namiot i nieufnie zajrzał do środka. Drugi wszedł i bez słowa położył na stole dwie tace. Niemał natychmiast Corson rozpoznał zawartość. Wojskowe racje wcale nie zmieniły wyglądu. Po kilku próbach pokazał Antonelli, jak ogrzać konserwy łamiąc pieczęć i jak je następnie otworzyć, nie parząc sobie palców. Zjadł z apetytem, używając znajdujących się na tacy nakryć. Ku jego wielkiemu zdziwieniu, Antonella bez wahania poszła w jego ślady. Poczul respekt dla cywilów z Urii.

Po chwili pomyślał jednak, że ich uzdolnienie musiało pomagać im w zachowaniu zimnej krwi. Przed bezpośrednim niebezpieczeństwem byli ostrzegani. Może nawet więcej kłopotu sprawią oni żołnierzom Verana, niż ten sobie wyobraża.

Skończywszy jeść, Corson wstał. Udał się w kierunku drzwi namiotu i nim wyszedł, zwrócił się do Antonelli:

– Obejdę obóz i zobaczę, czy koncepcje pułkownika Verana w dziedzinie obrony zbiegają się z tymi, których mnie nauczono. Może przyda mu się moje doświadczenie. Nie wychodź stąd pod żadnym pretekstem. Nie pokazuj się. Nie kładź się przed moim powrotem. Hmm, potrzebne wygodny znajdują się pod łózkami. Wychodzę na niecałą godzinę.

Patrzyła na niego w milczeniu. Spróbował odgadnąć ten wyraz twarzy i upewnić się, że nie ma mu za złe tego, co robi. Ale zrezygnował. Jeśli grała rolę, warta ona była nagrody za interpretację.

Tak jak oczekiwał, przy wyjściu stali na straży dwaj żołnierze. Zrobił krok i kawałek tkaniny namiotu opadł, nie wywołując żadnej reakcji.

– Zamierzam pospacerować w granicach obozu – powiedział zaczepnym głosem.

Jeden z żołnierzy natychmiast strzelił obcasami i stanął u jego boku. W obozie Verana dyscyplina była faktem.

To go trochę uspokoiło co do najbliższej przyszłości Antonelli. Obóz rozbity został w warunkach wojennych i Veran nie pozwoli na najmniejsze rozluźnienie dyscypliny. Kierował się zdrowym rozsądkiem, zakazując Antonelli kręcić się po obozie i pozostawiając ją pod opieką Corsona. Miał inne zmartwienia niż zakładanie więzienia dla jednej osoby. Z drugiej strony, widok kobiety mógł spowodować pewne rozluźnienie w szeregach. Gdyby nie myśl, że można ją wykorzystać, Veran kazałby ją zlikwidować w pierwszej chwili. Później, gdy już obóz zostanie umocniony i ludzie odpoczną, sprawa będzie wyglądała inaczej.

Corson odpędzał tę nieprzyjemną myśl i rozejrzał się wokół siebie. Ziemia polany, dokładnie wypalona, tworzyła koło o średnicy wielu setek metrów. Na obwodzie żołnierze wbijali paliki i łączyli je lśniącym drutem. System wykrywania? Wątpliwe. Ludzie, którzy rozwijali drut, nosili ciężkie, izolujące ubiory. Raczej linia obrony. Pomimo swego delikatnego wyglądu była zapewne bardzo groźna.

Połowę w ten sposób zabezpieczonej powierzchni zajmowało około stu namiotów. Corson szukał wzrokiem namiotu obszerniejszego od innych, z chorągiewką, lecz na próżno. Stanowisko dowodzenia Verana w niczym nie różniło się od namiotów żołnierzy.

Nieco dalej, pod stopami, odczuł głuchą wibrację. Veran rozkazał drążyć podziemne kwatery. Niewątpliwie znalazł swój fach.

Po drugiej stronie polany Corson naliczył dwadzieścia siedem hippronów. Sądząc po liczbie namiotów, Veran dysponował ponad sześciuset żołnierzami. Jeżeli od epoki Corsona stopień pułkownika zachował to samo znaczenie, na początku kampanii Veran powinien mieć pod swoimi rozkazami od dziesięciu do stu tysięcy ludzi. Aergistał rzeczywiście musiał być klęską. 623 regiment kawalerii Ptara Murphie został niemal całkowicie unicestwiony. Veran musiał okazać nieludzką determinację, aby przywrócić porządek w szeregach ocalałych i zmusić ich do rozbicia tego niewielkiego obozu, tak jakby nic się nie stało. A ponadto objawiał fenomenalną ambicję, żeby nie powiedzieć przeraźliwe zarozumiałstwo, jeśli myślał o podjęciu walki.

Fakt, iż pozwalał mu spokojnie obserwować podejmowane środki obrony, dosyć jasno ukazywał charakter tego człowieka. Tak samo jak zamiar zaangażowania miliona ludzi, aby skompletować swoją widmową armię. Bluff? Możliwe. Chyba że dysponuje zasobami, których Corson nie podejrzewał. Te rozmyślenia doprowadziły go do postawienia pytania – aż dziwne, że nie postawił go sobie wcześniej. Przeciw komu bił się Veran na Aergistału?

12.

Hipprony nie były ranne. Były tak całkowicie nieruchome, że z nieco większej odległości można je było wziąć za ogromne, pstrokate pnie drzew. Ich sześć grubych łap, każda zakończona sześcioma palcami, przypominało korzenie. Przez otaczające tułów oczy, w połowie wysokości ciała, nieco ponad głową Corsona, przebiegały tylko zamglone błyski. Od czasu do czasu któryś z hippronów wydawał krzyk, po którym następowało chrząkanie świnki. Rzec by można: przeżuwacze. Nie mające nic wspólnego z dzikim zwierzem, którego badanie zaczął Corson przed katastrofą statku. Na ich bokach skomplikowana uprzęż pozostawiła głębokie blizny, jak żelazo na korze drzewa.

Jak one mogły być ujeżdżane? Pozornie żadne miejsce ich ciała nie nadawało się pod siodło. Ilu ludzi mógł unieść hippron? Wskazówek dostarczały zamiary Verana. Milion ludzi i dwieście tysięcy hippronów. Jeden hippron wystarczy do niesienia pięciu ludzi i ich wyposażenia. Jaką rolę spełniały one podczas bitwy? Do tej pory Corson przyjmował bez zastanowienia, iż mogły zastępować wozy bojowe. Ich ruchliwość i atawistyczne okrucieństwo winny czynić cuda w wojnie lądowej. Ich zdolność do przewidywania bezpośredniej przyszłości i przemieszczania się o sekundy w czasie sprawiała, iż były to cele niemal nieuchwytnie. Ale hipprony, które Corson miał przed oczyma, wcale nie wydawały się drapieżne. Mógłby przysiąc, że te były całkiem głupie w przeciwieństwie do osobnika dzikiego, który błąkał się w dżungli tej planety i szukał miejsca sprzyjającego reprodukcji.

Wykorzystanie żywego środka transportu w wojnie było koncepcją znaną Corsonowi. Podczas konfliktu między Ziemią a Urią miał okazję napotkać na planetach w stanie wojny barbarzyńców sprzymierzonych z Ziemianami, ujeżdżających gady, hippogryfy albo też pająki. Lecz on przyzwyczał się przede wszystkim do armii zmechanizowanej. To, co go tutaj zaskakiwało, to koegzystencja rozwiniętej techniki i zwierząt jako wierzchowców. Na jakim terenie bito się na Aergistalu?

Nie mógł sobie tego wyobrazić. Gdyby planety miały nazwy nawiązujące do wyglądu, to ta mogłaby być światem usianym ostrymi skałami o stalowym blasku. Ale Aergistal mógł być równie dobrze zieloną, radosną doliną. Nie na Urii, lecz gdzieś tam, na innej planecie. Ani Floria Van Nelle, ani Antonella nie mówiły Corsonowi o wojnie toczącej się na Urii, chociażby nawet na oddalonym kontynencie. Wręcz przeciwnie.

Nie, bitwa, w której Veran stracił większość swych sił, toczyła się na innej planecie. Veran załadował w pośpiechu niedobitki swoich oddziałów i zaczął szukać gościnnej planety, by zrekonstruować potencjał. Przypadkowo natrafił na Urię, wyładował ludzi i zwierzęta i wysłał krążownik na orbitę bojąc się, by nie został przygwożdżony do Ziemi.

Ale...

Tę bitwę Veran stoczył całkiem niedawno. Jego ludzie byli jeszcze w strojach bojowych w chwili przechwycenia Corsona. Byli brudni, zmęczeni. Niezależnie od położenia Aergistalu, niezależnie od szybkości krążownika Verana, trzeba było wielu godzin, a może nawet dni dla pokonania dystansu. Corson spróbował przypomnieć sobie budowę systemu słonecznego, w którym znajdowała się Urią. Planeta nie posiadała satelity. System zawierał jeszcze dwie planety, lecz były to gazowe olbrzymy, które nie mogły być polem bitwy, przynajmniej nie dla ludzi. Gęstość gwiazd w tej części nieba była niewielka. A zatem Aergistal znajdował się przynajmniej o sześć lat świetlnych od Urii. Prawdopodobnie o wiele dalej. Pomysł, by jakikolwiek krążownik mógł przebyć wiele lat świetlnych w kilka minut, był absurdalny. A jednak...

Corson był jedynym ocalałym człowiekiem z Wszechświata nie istniejącego od ponad sześciu tysięcy lat. W sześćdziesiąt wieków mogło powstać wiele wynalazków. Już to, co widział w Dyoto, wykraczało poza granice jego wyobraźni. Krążownik mogący osiągać szybkość niemal absolutną nie był bardziej absurdalny niż anarchiczne społeczeństwo czy też miasto całkowicie oparte na antygravitacji.

Podczas gdy kontemplował to widowisko wojennej aktywności, niepodzielnie panującej w obozie, spłynęła na niego głucha nostalgia. Chociaż sam nigdy nie był szczególnie wojowniczy, ponownie czuł się u siebie, w tym świecie napięcia i skuteczności. Spojrzał na człowieka, przechadzającego się przed hippronami z bronią na ramieniu. Rzucił okiem na swą osobistą ochronę. Żaden z nich nie wydawał się martwić szerokimi problemami wstrząsającymi Wszechświatem. Stracili w bitwie na Aergistalu przyjaciół, lecz nic w ich postawie nie pozwalało się tego domyślić. Dwa dni wcześniej Corson był jak oni. Ciekawe, co dwa dni potrafią zrobić z człowieka. Dwa dni albo sześć tysięcy lat. Nie, pomyślał gorzko Corson, dwa dni, sześć tysięcy lat i dwie kobiety.

Zatrzymał się przed swoim strażnikiem.

– No jak, ciężko było na Aergistalu?

Żołnierz nawet nie drgnął. Patrzył wprost przed siebie, na horyzont ustalony na sześć kroków przez wieczny regulamin. Corson przemówił ostrzejszym tonem.

– Odpowiadajcie, jestem kapitan Corson.

Wreszcie żołnierz odezwał się czystym głosem przez niemal zaciśnięte zęby.

– Pułkownik Veran sam pana poinformuje. To jego rozkaz.

Corson nie nalegał. Na następne pytanie żołnierz nie mógłby odpowiedzieć. Gdzie jest Aergistal? A trzecie nie miałyby więcej sensu. Kiedy to było? Gdyż Corson przekonany był, że bitwa rozegrała się w przeszłości. Krążownik Verana pokonał nie tylko przestrzeń, przebył on również czas. Pochodził z okresu, gdy toczyły się jeszcze wojny międzygwiazdne, kiedy urząd bezpieczeństwa nie strzegł jeszcze prawa.

Corson zastanawiał się, jak zareaguje urząd bezpieczeństwa, gdy odkryje obecność Verana na Urii.

Obszedł zagrodę hippronów. Zmierzch przechodził już w noc. Zachodzące słońce ubierało jeszcze szczyty drzew w płowe pióropusze. Podniósł się wiatr. Corson zadrżał. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze śmieszności swojej barokowej, fruwej odzieży. Strażnik miał zapewne trudności z uznaniem go za oficera. Corson żałował, że zdjął i zniszczył swój mundur. Choć nie był on podobny do ubiorów ludzi Verana, nadałby mu bardziej marsowy wygląd. Uśmiechnął się do siebie – nie na długo został zdemobilizowany. Zaledwie czterdzieści osiem godzin. Może przybycie Verana było opatrnościowe! Ponieważ wydawało się, że Veran potrzebuje go, Corson mógł podjąć pracę w jedynym zawodzie, jaki znał, zawodzie żołnierza. Ryzyko było nieważne. Niebezpieczeństwo było wszędzie, w lesie, gdzie włóczyła się Bestia, w kosmosie, gdzie on, Corson, był wyjętym spod prawa przestępcą wojennym. Równie dobrze można dokonać swoich dni wśród podobnych do siebie.

Skrzywił się, myśląc o Antonelli. Słusznie uczono żołnierzy, by trzymali się z daleka od prawdziwych kobiet, by nie spędzali z nimi więcej niż kilka chwil. One wszystko komplikowały. Tak jakby sytuacja nie była już wystarczająco zagmatwana.

Nie mógł zostawić jej na pastwę losu. Nie opuścił jej. Zaciśnął pięści w niepotrzebnym odruchu. Na ciemnym skraju lasu drut ogrodzenia promieniował purpurowym blaskiem. Myślenie o ucieczce nie miało sensu.

– Wracam – rzucił w pustkę Corson.

Żołnierze ruszyli w jego ślady.

13.

Ledwo zdążył zasnąć, znalazł się na Ziemi. Biegł podziemnym korytarzem o ścianach z surowego betonu, tysiąc metrów pod powierzchnią ziemi. Oczy paliło mu zwiędłe światło neonowego węża. Uciekał. Całe jego ciało wibrowało w rytmie nuklearnych eksplozji, jedna na minutę o kilometr nad jego głową. Bomby rzucone były ze zbyt daleka, by precyzyjnie trafiać w cel. Wypuszczone były z orbity Plutona lub jeszcze dalej, przez uriańskie statki. Dziewięć dziesiątych spośród nich zostało przechwyconych, zanim osiągnęło ziemską atmosferę. Kilka z nich nie zwolniło wchodząc w atmosferę i spaliło się natychmiast, zanim

zdążyło wybuchnąć. Cztery piąte z tych, które osiągały powierzchnię Ziemi, wpadało do morza, bez większych bezpośrednich szkód. Zaledwie jedna lub dwie na sto uderzały w kontynent. Lecz ładownie uriańskich okrętów wydawały się nie mieć dna. Po raz pierwszy sama Ziemia przeżywała bombardowanie. I po tej stronie planety, na górze, było piekło.

Naturalnie nikt tam nie pozostał. Ci, którzy na czas nie znaleźli miejsca w schronach – to była mniejszość – zginęli w pierwszych sekundach ataku. Biegając, powtarzał mechanicznie rachunek. Było to przynajmniej dwieście milionów zabitych. W dziesięć sekund.

Nie wiedział, dlaczego biegnie. Nie potrafił zatrzymać się, nawet nie mógł zahamować ruchu nóg, wyrzucanych jak tłoki maszyny. Biegł z rękoma wyciągniętymi do przodu, jak w jakimś nieprzytomnym upadku, jakby za chwilę miał roztrzaskać się o niespodziewanie wyrosłą z ziemi ścianę. Lecz podziemny korytarz miał przynajmniej dwadzieścia kilometrów długości. Rytm wybuchów uległ przyspieszeniu i wydało mu się, że stanowi on echo jego kroków. Ktoś go gonił.

Obudziło go delikatne muśnięcie. Odwrócił się szybkim ruchem, aż zachwiało się wąskie łóżko. W ciemności rozpoznał pochyloną nad nim postać Antonelli. Pewnie krzyczał we śnie. Członki miał znużone, jak po długim biegu. Nie po raz pierwszy miał ten sen, ponownie przeżywając straszliwą karę wymierzoną Ziemi przez Książąt Urii, ale nigdy jeszcze wspomnienie nie było tak realistyczne.

Antonella wyszeptwała:

– Zaraz coś się stanie. Czuję to. Ale jeszcze niezbyt wyraźnie.

Gdy wyciągnął rękę, aby zapalić światło, odezwała się:

– Nie, lepiej ich nie alarmować.

Wykazała większą przytomność umysłu niż on. Odrzucił przykrycie, zeskoczył na ziemię i potrącił Antonellę. Przytrzymała go. Przycisnął ją do siebie, czując, jak usta młodej kobiety poruszają się przy jego uchu.

Zanim z tego zrozumiał bodaj słowo – w obozie powstał tumult. Ludzie biegali i klęli wśród szczęku broni. Zagwizdał jakiś silnik. Ostra wibracja rozdarła powietrze. Zagrzmiała i zaczęła broń. Oficerowie, rycząc rozkazy, usiłowali zebrać ludzi. Reflektory omiotły namiot, lecz szukając innego celu, nie zatrzymały się na nim dłużej. Poza złorzeczeniami i zgrzytem metalu Corson wyraźnie słyszał zawodzenie przerażonych hippronów. Reflektory zgasły. Poruszające się po ściankach namiotu cienie ustąpiły przed absolutnym, wrogim mrokiem. Tumult wyraźnie przycichł. Dźwięki wyraźnie przygłuchły. Broń zamilkła. Ktoś potknął się i upadł na namiot, po czym wstał i odszedł powłócząc nogami. W ciszy, która zapadła, rozpoznał wzmocniony głos Verana.

– Corson, jesteś tam? Jeśli to jedna z twoich sztuczek...

Ciąg dalszy był niezrozumiały. Corson zawahał się. Nie wiedząc, co się dzieje, nie miał żadnego powodu, by pogarszać swoją sytuację wobec Verana. Już miał odpowiedzieć, gdy Antonella położyła mu rękę na ustach.

– Zaraz ktoś tu przyjdzie.

Kiedy przestał widzieć w nagłej ciemności, nie zaniepokoił się. Lecz teraz jego oczy miały czas, oswoić się i pojął, że ten mrok był anormalny. Otaczał ich ten sam nieprzejrzysty obłok jak wtedy, gdy zostali uwięzieni. Coś niszczyło światło.

Obóz zaatakowano. Akcja trwała zaledwie trzy minuty i już się skończyła. W tych ciemnościach nikt nie mógł się bić. A o ile Veran umiał je wytwarzać, to nie potrafił ich rozproszyć.

– Veran – wyszeptał, odpowiadając na przepowiednię Antonelli.

– Nie, nie on. Nikt z obozu. Ktoś...

Zesztywniała przytulając się do niego.

Jeden z napastników. Oswobodziciel albo nowe niebezpieczeństwo. Podmuchił. Ktoś podniósł płachtę zamykającą namiot. Niedaleko twarzy Corsona zabłysnął punkcik. Potem powiększył się, zmienił w wir wciągający kłęby ciemnej mgły. Wkrótce Corson widział już swoje ręce oparte na ramionach Antonelli. Strefa światła przypominała galaktykę wirującą wokół własnej osi, w łonie wypełnionej i zniekształcającej ją przestrzeni, przestrzeni rozdzielającej ją na krańcach. Kiedy strefa osiągnęła średnicę dwóch metrów, ustabilizowała się i wirowanie ustało. Antonella i Corson znajdowali się niemal całkowicie wewnątrz kulistego kokona światła, którego ściany były nocą.

Antonella stłumiła okrzyk.

Z mgły wyłoniła się ubrana w rękawicę ręka. Uniosła się, nierealna jak odcięta kończyna. Była otwarta. Dłonią do przodu, pokazywała powszechnie zrozumiały znak pokoju. Za otwartą ręką znajdował się człowiek albo przynajmniej postać ludzka ubrana w kosmiczny skafander. Hełm był czarny jak noc. Przybysz bez słowa wyciągnął do Corsona dwa identyczne skafandry i dał znak, by je założyć.

Corson przerwał ciszę:

– Kim pan jest?

Nieznajomy bardziej stanowczo wskazał na skafandry, które Corson wahał się przyjąć. Antonella złapała jeden z nich i zaczęła wślizgiwać się do środka.

– Poczekaj – powiedział Corson. – Nie mamy żadnego powodu, aby mu ufać.

– On nas stąd wyciągnie – odpowiedziała. – Wyjdziemy z tego obozu.

– Ale jak? Potrząsnęła głową.

– Tego nie wiem. Wykorzysta sposób, którego nie rozumiem.

Corson zdecydował się, zdjął swoją świąteczną odzież i założył skafander. Nałożył hełm i zdziwił się, że słyszy jak przedtem. Wymienił kilka uwag z Antonellą. A zatem nie było żadnej technicznej przeszkody, by nieznajomy milczał. Lecz dlaczego skafandry kosmiczne? Czy dłuższe działanie ciemnej mgły było trujące?

Nieznajomy sprawdził szczelność skafandra Antonelli, po czym obrócił się do Corsona. Kiwnął głową, uczynił znak w kierunku mgły i wziął Antonellę za rękę. Ta zrozumiała od razu i podała wolną rękę Corsonowi. Zanurkowali w absolutną noc.

Nieznajomy poruszał się pewnie. Starannie unikał przeszkód i czuwał, by jego dwaj towarzysze robili to samo. Wielokrotnie Corson wyczuł bezradnie włączających się żołnierzy, potracających go w przelocie. Raz ktoś złapał się go kurczowo. Instynktownie uderzył w czułe miejsce wolną ręką. Napastnik z jękiem zwałił się z nóg.

Noc zrodziła ciszę. Tu i tam nawoływano się jeszcze, lecz w tej opasłej czerni wydawało się, że ogłupiali ludzie nie zamierzali odnajdywać się inaczej niż po omacku. Być może bali się sprowokować uderzenia niewidzialnych napastników. Sami oficerowie też przestali

wywrzaskiwać rozkazy. Tylko hipprony jęczały. Łkania ich nieprzyjemnie przypominały Corsonowi pierwszą noc spędzoną na Urii.

Teraz stały się głośniejsze. Obcy prowadził ich w kierunku hippronów. Corson jakby się zawahał, lecz ręka Antonelli pociągnęła go do przodu. Miał sobie za złe, że ogarniała go trwoga, która oszczędzała Antonellę. Po czym pomyślał, że nigdy nie widziała Bestii w akcji.

Wreszcie zatrzymali się. Przy nich krzątał się nieznajomy. Corson pewny był, że siodłał hipprona. Był to sposób – wyjątkowo przypadkowy, jak na gust Corsona – jaki wybrał do ucieczki. Wytworzył małą i lśniącą kulę i Corson ujrzał, że jego domysły były słuszne. Po bokach zwierzęcia zwisała skomplikowana uprzęż. Siodło kawalerzysty było rodzajem huśtawki wyposażonej w strzemiona. Pasy pozwalały się ubezpieczyć. Za ledwie Corson znalazł się w siodle, poczuł, jak groźne witki z grzywy hipprona otaczają mu nadgarstki. Oczekiwał najgorszego, lecz uchwyt był łagodny. Włókienka, które mogły być równie ostre jak stalowy drut, nawet nie przeszkadzały mu w ruchach. Intuicyjnie wyczuł, że służą one kawalerzyście za lejce. Lecz nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób kierować hippronem.

Bestia drżała z podniecenia. Przystała jęczeć i cicho pogwizdywała. Podnosząc głowę Corson zobaczył słabe świecenie trojga z jej oczu. Usłyszał, jak nieznajomy wydawał dziwny krzyk, napiął mięśnie w przewidywaniu wstrząsu i wbrew oczekiwaniu wydało mu się, że spada. Ciężenie zniknęło. Gdyby nie czuł wokół siebie pasów i tuż obok masywnego ciała hipprona, sądziłby, że otworzyła się pod nim zapadnia. Antonella wydała cichy okrzyk zaskoczenia. Chciał ją podtrzymać na duchu, ale zanim zdążył otworzyć usta, wynurzyli się z mroku.

Ponad nimi spokojnie świeciły gwiazdy. Corson obrócił głowę, lecz nie mógł dojrzeć Antonelli ukrytej przez olbrzymie cielsko Bestii. Z zapartym tchem ujrzał ponad nimi drugiego hipprona, niby olbrzymi grzyb ewoluującego w powietrzu i zasłaniającego znaczną część nieba. Jego oczy migotały jak lampki kontrolne przestraszonego komputera. Nieznajomy, niby jakaś narośl, wisiał u jego boku. Pokiwał ręką dla dodania im odwagi.

Wtedy Corson ośmielił się spojrzeć na ziemię. Oczekiwał, iż ujrzy kałużę nieprzejrzystej mgły. Lecz w słabym nocnym świetle zobaczył tylko ziemię polany. Wiatr pochylał wysokie trawy tam, gdzie kilka godzin wcześniej widział tylko popiół. Wydawało się, że obóz nigdy nie istniał.

Wykonali skok w czasie. Hippron był w stanie przemieszczać się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Być może cofnęli się o jedną noc, tydzień, a może nawet o cały wiek, zanim Veran spadł na Urię, zanim dotarł tu Corson. Przypomniawszy sobie o uzdolnieniu Antonelli.

– Co się teraz stanie?

Niepewnym głosem odpowiedziała:

– Nic nie wiem. Nic nie widzę.

Wzbijali się pionowo w górę. Polana zniknęła w czarnym skłębieniu dżungli. Corson zrozumiał, z jakiego powodu włożyli skafandry. Z tą szybkością w kilka minut osi gn granice atmosfery.

Jakaś plama przesunęła się po niebie, zakrywając na ułamek sekundy gwiazdy. Potem następna. Dwa uciekające hipprony były wystarczająco wysoko, aby wschodni brzeg planety odłonił słońce. Pędzili po coraz bardziej czarnym niebie, a pod nimi Urija jawiła się jako

olbrzymi kubek cienia o brzegu ozdobionym diamentem ognia. Corsona ogarnęło nadzwyczajne uniesienie.

Znowu jakaś plama. Chociaż pojawiła się tylko na ułamek sekundy, rozpoznał ją. Hippron, niewątpliwie jeden z wierzchowców Verana. Pułkownik nie tracił czasu. Nie, wyraźnie to nie miało już sensu. Ponieważ hipprony mogły podróżować w czasie, Veran mógł się przygotować. Mógł zastawić pułapkę. Migające hipprony były tylko zwiadowcami prującymi przeszłość i przyszłość, by ich odszukać.

Nagle zamieszanie. Zajmowali środek teoretycznej kuli z hippronów. Słońce spojrzało Corsonowi w twarz i musiał zamknąć oczy. Gigantycznym skokiem słońce przebyło niebo. Corson zrozumiał. By wydostać się z kotła, nieznajomy dokonał skoku w czasie. Przez chwilę na szachownicy z metrów i sekund prowadzili dziwną grę z kawalerzystami Verana. Wynik rozgrywki nie wydawał się jednak budzić wątpliwości. Za każdym razem znajdowali się w centrum kuli o coraz mniejszej średnicy. Corsonowi wydało się, że pomimo próżni i odległości słyszy okrzyki radości żołnierzy. Słońce tańczyło po niebie jak zwariowana gwiazda. Pod nimi czy z boku? Planeta pulsowała rozbłyskami dnia i zaćmieniem nocy.

Corson ujrzał, jak drugi hippron, hippron nieznajomego, zbliża się niebezpiecznie. Krzyknął ostrzegawczo, a jego krzyk powtórzyła Antonella. Nieznajomy pochylił się i pełną garścią chwycił grzywę ich wierzchowca. Wszechświat zmienił kształt i kolor. A wszystko, co znali, zniknęło.

14.

Przestrzeń wokół nich rozjaśniały różnokolorowe płomienie. Zniknęły gwiazdy, a wraz z nimi planeta. Ciało hipprona wydawało się krwistoczerwone. Otaczające ich płomienie atakowały się wzajemnie i wiązały w pękach iskier, lecz przestrzeń, w której pulsowały, nie miała głębi. Corson nie mógłby powiedzieć, czy płomienie łączyły się o kilka milimetrów od jego oka, czy były to raczej lata świetlne.

Był to obraz prawdziwego Wszechświata albo przynajmniej jego – druga strona. Hipprony poruszały się w czasie z wielką szybkością, tego Corson był pewny. A to zniekształcało perspektywę. Obraz świata, do jakiego przyzwyczaił się człowiek, był w zasadzie statyczny. Dla niego gwiazdy poruszały się na niebie bardzo wolno. Siły, z których się zrodziły, dzięki którym spalały się aż do chwili, gdy nic prócz popiołów bezsilnej materii nie pozostaje, materii fantastycznie zagęszczonej, siły te działały zbyt wolno, by człowiek żyjący w normalnych warunkach mógł je bezpośrednio dostrzegać. Większa część ważnych wydarzeń z historii Wszechświata nie dotyczyła go, był ich nieświadomy. Człowiek odbierał tylko wąski zakres promieniowania wypełniający kosmos. Mógł on żyć w złudzeniu, że świat jest przede wszystkim złożony z próżni, nicości, że rzadkie i odizolowane gwiazdy tworzą rozproszony gaz, nieco bardziej skoncentrowany tam, gdzie kłębiły się galaktyki.

Lecz w rzeczywistości Wszechświat był pełen. Nie istniał punkt w kosmosie, który nie byłby związany z określoną chwilą w czasie, z cząsteczką, promieniowaniem czy też innym przejawem pierwotnej energii. W pewnym sensie Wszechświat był ciałem stałym.

Hipotetyczny obserwator, przyglądający mu się z zewnątrz, nie znalazłby sposobu wetknięcia w niego szpilki. A ponieważ hipprony przemieszczały się w czasie z nadzwyczajną, szybkością, dla kawalerzystów Wszechświata miał konsystencję ciastowatą. Gdyby osiągnęli szybkość ostateczną, pomyślał Corson, gdyby znaleźli się jednocześnie na początku i na samym końcu Wszechświata i podczas wszystkich chwil te momenty oddzielających, zostaliby po prostu rozgnieci.

Przy ich szybkości poruszania się promieniowanie świetlne było całkowicie niewidzialne. Ale te błękitne płomienie mogły być elektromagnetycznymi falami o długości wielu lat świetlnych, a purpurowe promieniowania mogły odpowiadać zmianom pola grawitacyjnego gwiazd lub samych galaktyk. Galopowali w czasie. I tak samo jak kawalerzysta w pełnej szybkości nie zauważa kamieni na drodze, a jedynie ważniejsze znaki znajdujące się przy niej – drzewa i pagórki, tak samo tylko zasadnicze wydarzenia z życia Wszechświata oddziaływały na ich zmysły.

Rozważania Corsona popłynęły innym torem. Pomylił się przypuszczając, że Veran dysponował krążownikiem. Veran i jego ludzie uciekli z pola bitwy na Aergistalu na swych wierzchowcach. Przybyli tuż przedtem, zanim Antonella i Corson wpadli w ich szeregi. Aergistal mógł znajdować się na drugim końcu Wszechświata.

Taniec płomieni złagodniał. Zwalniali. Świecąca przestrzeń dokoła nich podzieliła się na tysiące plam, które zmniejszały się, w miarę jak pożerała je, niby czarny rak, próżnia. Wkrótce otoczeni byli tylko błyszczącymi punktami. Gwiazdy. Pozostała tylko jedna plama, która zachowała dwa wymiary, złoty dysk. Słońce. Obracali się wokół własnej osi. Gdy firmament przestał krążyć wokół nich, znaleźli się ponad całkowicie pokrytą chmurami kulą. Planeta.

Wtedy dopiero Corson spostrzegł, że drugi hippron zniknął. Umknęli pościgowi, lecz zgubili swego przewodnika. Byli sami nad nieznaną planetą, przywiązani do wierzchowca, którym nie umieli kierować.

15.

Odzyskawszy oddech Antonella zapytała:

– Uria?

– Nie – odrzekł Corson. – Ta planeta jest bardziej oddalona od swego słońca. Inne są konstelacje. Podróżowaliśmy takie w przestrzeni.

Zanurzyli się w chmury. Nieco niżej przebyli warstwę drobnego deszczu. Hippron schodził powoli i kierował się bez wahania.

Deszcz przestał padać. Przebili chmury, tak jak przebija się sufit, i ujrzeli równinę przystrzyżonej, rozciągającej się w nieskończoność trawy. Przecinała ją droga lśni ca od deszczu. Zaczynała się na horyzoncie i prowadziła do gigantycznego budynku. Równoległością z kamienia i betonu, którego szczyt ginął we mgle. Żadnego śladu okien. Corson oszacował, że najwyższa fasada miała ponad kilometr szerokości. Była naga, gładka i szara.

Hippron stanął na ziemi. Corson wyplątał się z pasów. Obszedł zwierzę i pomógł Antonelli zejść na ziemię. Hippron, wyraźnie zadowolony, zaczął kosić trawę wtkami swej grzywy i pożerać ją, przełykając hałaśliwie.

Trawa była tak równa jak na trawniku. Równina z kolei była tak doskonała, że Corsonowi wydawało się niemożliwe, by była naturalna. Droga wykonana była z niebieskiego i błyszczącego materiału. W odległości około kilometra wznosiła się zawrotna ściana budynku.

– Widziałas już to miejsce? – zapytał Corson.

Antonella potrząsnęła głową.

– Czy mówi ci coś ten styl? – nalegał Corson – ta równina, trawa, ta budowla?

Ponieważ nie odpowiadała, zapytał impulsywnie:

– Co się stanie? Zaraz?

– Pójdziemy do tego budynku. Wejdziemy do niego. Do tego czasu nie spotkamy nikogo. Co potem, nie wiem.

– Nie ma niebezpieczeństwa?

– Nic, co mogłabym przewidzieć.

Spojrzał na nią badawczo.

– Antonella, co myślisz o sytuacji?

– Jestem z tobą. To mi na razie wystarcza. Niemal wzruszył ramionami.

– No dobrze, chodźmy – powiedział.

Ruszył wielkimi krokami i ona musiała prawie biec, by mu dorównać. Po chwili zaczął robić sobie wyrzuty i zwolnił. Prawdopodobnie Antonella była jedynym jego sprzymierzeńcem w całym Wszechświecie. Być może z tego też powodu jej obecność irytowała go.

Droga kończyła się hermetycznie zamkniętymi drzwiami, o wymiarach odpowiadających wielkości budynku, które zlewały się niemal ze ścianą. Ale gdy do nich dotarli, bez szmeru podniosły się w górę. Corson bezskutecznie wyteżył słuch. Całość przypominała nieco gigantyczną pułapkę na myszy.

– Czy gdy wejdziemy, drzwi zamkną się za nami?

Antonella zamknęła oczy.

– Tak. Wewnątrz jednak nic nam nie grozi, przynajmniej w pierwszych minutach.

Przekroczyli próg. Drzwi zaczęły opadać. Corson zrobił krok w tył. Drzwi znieruchmiały i ruszyły w górę. Prosta, jednoelementowa reakcja. Dzięki temu Corson poczuł się pewniej. Wcale nie miał ochoty zwiedzać budynku, skoro wiedział o nim tak mało, lecz nie mógł w nieskończoność stać na trawniku. Prędzej czy później zgłodnieliby. Nie mogli przecież jeść trawy. I wreszcie zapadłaby noc. Mogła być chłodna i pełna wrogów. Musieli znaleźć schronienie. Powinni zwłaszcza, według Instrukcji, podporządkować się najstarszej regule wojskowej. Ruszać się, nie pozostawać na miejscu. Przemieszczać się i próbować zaskoczyć przeciwnika.

Trudno jest zaskoczyć nieznanego przeciwnika. Ich oczy przyzwyczyły się do półmroku. Po obu stronach drogi, znikającej w oddali budynku, pajęczce i geometryczne struktury otaczały owalne pojemniki. Niknęły one w nieskończoności w niebieskawej mgiełce.

Najbliższy pojemnik zawierał dziesięć całkowicie nagich kobiecych ciał, zanurzonych w fiołkowym gazie, który nie rozpraszał się, chociaż wydawało się, że nic go nie zatrzymuje. Kobiety leżały nieruchome, zakrzepłe, jak nieżywe. Wszystkie były bardzo ładne, mogły być w wieku osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Zdawało się, że mają jakieś wspólne rysy. Corson odetchnął głęboko i spróbował szybko obliczyć. Jeżeli wszystkie pojemniki były podobnie wypełnione, tylko w części hangaru, której się domyślał, mogło być przynajmniej milion ciał.

Poczuł na szyi oddech Antonelli.

– Czy one są nieżywe?

Corson wyciągnął rękę. Nie napotykał czołowego opór zanurzyła się we mgłę. Łaskotanie. Może mgła miała właściwości aseptyczne. Namacał ciepłe i elastyczne ramię. Jego temperatura nie spadła poniżej dwudziestu stopni. W pewnym sensie można by powiedzieć, że ta kobieta żyje. Delikatnie uchwycił nadgarstek. Puls był niewyczuwalny, serce chyba biło, lecz bardzo wolno.

Bardzo wolno.

– Nie – powiedział Corson – one nie są całkiem martwe.

Słabe, rytmiczne światło tańczyło pod stopami śpiących, podobne do siedmiopasmowej tęczy. Corson zastanowił się i wydało mu się, że zrozumiał znaczenie tego rytmu. Przypominało to encefaloskop, chociaż nigdy nie widział podobnego. Dwa pierwsze pasma były nieruchome. Poczuł mrowienie na plecach.

– Przekroczony stan komy – wyszeptał. – Ciało żyje, lecz mózg zgaś.

Widział zniszczone miasta i zdewastowane planety, płonące flotylle i ludzi ginących tysiącami, a nawet milionami, lecz nigdy nie widział czegoś tak spokojnie żałobnego jak to mauzoleum. Czy jakiś lud w całości wybrał taki koniec? Czy ten trawnik na zewnątrz był trawnikiem cementarnym? Czy miało sens podtrzymywanie życia tych ciał, skoro nigdy nie będą miały więcej duszy niż roślina? Ile czasu mogło to trwać? Utrzymywanie tego odbywało się niewątpliwie automatycznie, czego dowodziły cieńsze od włosów, niemal niewidoczne druczki, wślizgujące się pod skórę.

Zaczął biec jak szalony przyglądając się kolejnym przesłom. Zanim zatrzymał się zlany potem, przebiegł ponad kilometr. Nie zauważał ani jednego męskiego ciała. Oczywiście nie mógł widzieć zawartości wyżej położonych pojemników, wznoszących się aż do sufitu sali, lecz był niemal pewny, że były tam tylko kobiety. Żadna z tych, które widział, nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wszystkie były wyjątkowo piękne. Należały do wszystkich ras, jakie znał. Odkryte na początku podobieństwo spowodowane było określonym systemem klasyfikacji. Włosy tej, którą badał, były kruczoczarne. Włosy ostatniej, dostrzeżonej pod koniec biegu, nabierały już odcienia blond. Z drugiej strony drogi pojemniki zajęte były przez Murzynki o niemal niebieskiej skórze.

Całość stanowiła kolekcję. Ktoś albo coś postąpił jak entomolog. Przypominał sobie pewną scenę z bitwy. Któregoś dnia walczył w muzeum motyli. W pudełkach były tam nie tylko motyle ziemskie, lecz także ich odpowiedniki z setek innych planet. Strzały i eksplozje wzbijały obłoki ze skrzydeł martwych owadów. Powietrze ciężkie było od suchego i

kolorowego pudru, palącego płuca, pomimo masek. Na koniec muzeum zapaliło się i w wirach ciepłego powietrza zobaczył roje motyli odbywających swój ostatni lot.

Naturalnie pigmentacja skóry i kolor włosów nie były jedynymi kryteriami podziału. Różnica w kolorze oczu mogła być sklasyfikowana pionowo, lecz nie mogąc dostać się wyżej, nie mógł zweryfikować tej hipotezy.

Czy mężczyźni znajdowali się w innym bloku? A może też kolekcjoner interesował się wyłącznie kobietami? Niewątpliwie oznaczałoby to, że kolekcjoner był człowiekiem, co prawda niewiarygodnie perwersyjnym, lecz człowiekiem. Obcy, na przykład Urianin, nie miałby żadnego powodu, by kolekcjonować właśnie ciała kobiet.

Powoli zawrócił w kierunku wejścia. I nagle przyszła mu myśl do głowy. Jedyne możliwe wyjaśnienie, Odkrył obóz więźniów albo raczej więźniarek. Gdzieś tam, w czasie i przestrzeni, bogowie wojny prowadzący przerażające wojny gromadzili oddziały niewolnic. Podbite ludy eksterminowali, zachowując jedynie na swój użytek, zgodnie ze zwyczajem starym jak ludzkość, najładniejsze z branek. Los gorszy od śmierci. Wreszcie wyrażenie to zyskało dosłowny sens. Gdyż bogowie wojny mało przejmowali się utrzymaniem swego stada przy życiu, nie chcieli mieć kłopotów z mieszkaniem, wyżywieniem, pilnowaniem. Historia pełna była wodzów zamordowanych przez jedną z ich niewolnic. Bogowie wojny zastanawiali się nad przeszłością i wyciągnęli z niej naukę. Likwidowali świadomość swych ofiar. Kiedy im się podobało, przez kaprys przywracali je do życia, wyposażając w sztuczną, mechaniczną osobowość, dobrą akurat dla robota. Tak przygotowane dziewczyny nie były w stanie podjąć żadnej niezależnej decyzji, żadnego intelektualnego wysiłku czy twórczej działalności. Jeżeli chodzi o inteligencję, u nich była ona niższa niż u człekokształtnych małp z rodziny naczelnych. Lecz bogowie wojny o to nie dbali. Nie oczekiwali od branki, ani dowcipu, ani uczucia, ani zrozumienia. Musieli być potwornymi neurotykami.

Byli też, pomyślał Corson, nekrofilami w całym tego słowa znaczeniu.

Niesmak i nienawiść. Corson próbował wyperswadować sobie, że Ziemianie mieli inną naturę w okresie wojny z Urianami. Poszukał w pamięci. Przypomniał sobie generała, który kazał zlikwidować tysiące uriańskich zakładników w pierwszych godzinach konfliktu. Przypomniał sobie innego wodza, którego widział tańczącego na ruinach zbombardowanego miasta. Było to miasto ludzi. Lecz jego mieszkańcy nie mieli racji próbując pertraktować z Urianami. Przypomniał sobie Verana. Uchodźcę z Aergistalu, który, gdyby widział w tym jakąś korzyść, nie zawahałby się przed tak potwornością.

Corson poczuł rosnącą w nim żądzę zabijania. Zaciśnął szczęki i pięści. Wzrok mu zmętniał. Skulił się jakby w sobie, podczas gdy adrenalina wlewała się do żył. Po chwili wściekłość minęła i już tylko drżał. Czy gwałt pobudza tylko do gwałtu? Czy ludzkość miała tylko tę krwawą twarz? Czy nosiła ona na plecach, jak jakiegoś wykrzywającego się demona, widmo rozpacz i zadawanej śmierci? Czy mogła się go pozbyć i być, jeśli nie samą sobą, gdyż tym była, czymś innym niż jest lub czymś więcej?

Dyoto. Pomyślał o utopii wyrosłej z ruin wojny, o świecie nie znającym przymusu, który miał jeden rząd na sześć wieków, a w ogóle nie miał armii. O innej twarzy człowieka, którą

warto było wziąć w obronę, lecz nie kosztem gwałtu i przemocy. Ale jak wyizolować gwałt nie używając gwałtu? Jak wyjść z zakłętego kręgu sprawiedliwych wojen?

Antonella przysiadła na środku drogi i płakała. Całą irytacja, jaką odczuwał wobec niej, opadła jak lodowy sopel, odrywający się od dachu. On należała do ludzi. Podniósł ją delikatnie i przygarnął. Stał między nią a złowrogimi przeszłami. Słuchał, jak łka, i podziękował jej bez słowa.

16.

Corson był głodny. Ruszył w kierunku drzwi, machinalnie, tak jakby samo wyjście z tego gmachu prowadziło ku rozwiązaniu. Rozwiązanie istniało. Lecz on wzdragał się o nim mówić. Gdyby był sam, kwestia wyglądałaby inaczej. Żołnierze w czasie wojny raczej jedzą to, co znajdują, niż umierają z głodu. Jeśli tego nie mają, starają się szybko zdobyć. I Corson poczuł, jak słabnie, będąc realistą raczej dzięki szkoleniu niż dzięki instynktowi. Wiedział, że dysponują gigantyczną rezerwą proteiny. Ale przypuszczał, że nie zniosłby zgrozy wycytanej w oczach Antonelli, gdyby zaryzykował wyjaśnienie, za jaką cenę mogliby przeżyć jakiś czas.

Być może nieskończenie długo.

W mitologicznych czasach miało to swoją nazwę.

Według legend, wampiry pożerały trupy na cmentarzach.

I zdarzało się to w historii. Nie tylko podczas okresów głodu. Corson zastanawiał się, czy bogowie wojny nie byli raczej ludożercami niż nekrofilami. Mongolscy zdobywcy podawali podczas uroczystości najpiękniejszą ze swych konkubin, a jej ozdobiona głowa wystawiona była na złotej tacy, by wszyscy mogli zobaczyć, że nie skąpią jakości. To, co jakiś człowiek sobie wyobraził, inny może zrobić.

Drzwi podniosły się, odsłaniając zieloną równinę pokrytą jak dywanem świeżą trawą, przez którą przechodziła prosta niebieska droga. Pasący się hippron tworzył niewyraźną plamę. Corson pozazdrościł mu. Po czym całkiem blisko, na drodze, dostrzegł coś.

Worek. W mlecznym, przefiltrowanym przez chmury świetle błyszcząca przyczepiona do niego metalowa plakietka. Trzy kroki i Corson znalazł się przy worku. Nie dotykając, przyjrzał mu się uważnie. Worek i plakietka musiały być podrzucone wtedy, gdy byli wewnątrz budynku. Pozostawiono je na widocznym miejscu.

Na plakietce była wiadomość.

Przez chwilę litery tańczyły przed oczyma Corsona.

CORSON, W TYM WORKU JEST ŻYWNOSĆ. NAWET PUSTE OPAKOWANIA MOGĄ SIĘ JESZCZE PRZYDAĆ. ISTNIEJE WIĘCEJ NIŻ JEDEN SPOSÓB PROWADZENIA WOJNY. ZAPAMIĘTAJ TO SOBIE. POWINIENES UDAĆ SIĘ NA AERGISTAL, TAM ZBRODNIENIE SĄ SĄDZONE I CZASEM NAPRAWIANE. ZAWOŁAJ AERGISTAL HIPPRON ZROZUMIE.

Ktoś się z nim bawił. Ucieczka, opuszczenie, potem ten worek i wiadomość. Dlaczego nieznajomy nie pokazywał się, jeśli był sprzymierzeńcem? A jeżeli chodziło o wroga, to dlaczego ich nie zabił?

Zważył worek w ręku, po czym otworzył go. Zawierał około dwudziestu wojskowych racji. Corson machinalnie zarzucił pasek worka na ramię i zawrócił do wnętrza mauzoleum.

Antonella oczekiwała go stojąc z opuszczonymi rękami. Miała zapadłe policzki i podkrążone oczy, najwidoczniej była w stanie szoku. Lecz wydawało się, że pokonała już depresję. Łzy obeschły na jej twarzy.

– Nie umrzemy z głodu – powiedział Corson podając jej worek. – Ktoś rzuca nam okruchy, tak jak ptakom.

Zanim zabrał się do jedzenia, przyjrzał się, jak otwiera rację. Nie okazywała żadnej gorączkowości. We właściwym miejscu rozerwała woreczek z wodą, tak jak jej to pokazywał, i podała mu. Pokręcił głową.

– Są inne – odezwał się, gdy nalegała.

Dopiero wtedy zgodziła się wypić. Patrzył, jak przetyka wodę i jak jej grdyka porusza się w górę i w dół pod delikatną skórą.

Po czym sam, siedząc na ziemi, zabrał się do jedzenia. Pił małymi łykami i starannie żuł. Rozmyślał. Zgodnie z wiadomością powinien dotrzeć na Aergistal. To tam zbrodnie są sądzone i czasem naprawiane. Czy na Aergistalu mógł wykupić się z potencjalnego wyroku, który na nim ciążył?

Z drugiej strony to było lub będzie polem bitwy. Nie miał wcale ochoty zabierać tam Antonelli. Ale nie mógł też zostawić jej tutaj. Nie znał w tym Wszechświecie żadnego miejsca, gdzie mógłby zostawić ją bezpiecznie.

Kiedy skończyli jeść, starannie zebrał resztki posiłku i poszukał miejsca, gdzie mógłby je wyrzucić. Odkrył małą Studzienkę, której pokrywa po podniesieniu odsłoniła czarną głębię, skąd dobiegał szmer wody. Przynajmniej nie zostawią widocznych śladów pobytu na planecie. Jeżeli budynek nadziany był detektorami, to była to niepotrzebna ostrożność.

W końcu zdecydował się.

– Udamy się na Aergistal – powiedział pokazując wiadomość. – Nie wiem, co nas tam czeka. Nawet nie jestem pewny, czy tam dotrzemy.

Spodziewał się, iż na twarzy Antonelli pojawi się wyraz przerażenia, lecz pozostała spokojna, czekając na jego ruch. Najwidoczniej miała do niego absolutne zaufanie, rzekł do siebie z goryczą, i to było najgorsze.

Podszedł do niej i pocałował.

Wyszli z budynku i pomaszerowali w kierunku hipprona. Corson przywiązał Antonellę, a następnie siebie. Zawahał się przez chwilę, tak absurdalne i teatralne wydało mu się wykrzykiwanie "Aergistal", jakby rzucało się adres. Odchrząknął i jeszcze niepewnym głosem zawołał:

– AERGISTAL!

Świat wokół nich ponownie zmienił kształt i barwę.

Wynurzyli się ponad wielką równiną najeżoną słupami dymów. Różowe niebo przecinały pulsujące arterie, które nadawały mu złowrogi wygląd. Na horyzoncie, nad niskimi, lecz wyraźnie odcinającymi się górami, wznosiły się trzy słupy ognia i sadzy.

Schodzili szybko. Pod nimi wołyżowały błyszczące owady. Corson, zdziwiony, rozpoznał kłusujących na wierzchowcach rycerzy w pełnych zbrojach. Z kopią trzymaną nad końskim uchem atakowali wysokie trawy. Sawannę przebiegło drzenie. To Indianie, których wódz przystrojony był w orle pióra, podnieśli się wydając ochryple wrzaski i posłali chmurę strzał. Konie wspięły się i powstało niemałe zamieszanie, które hippron, opadając ukośnie, pozostawił już z boku. Niemal niewidoczna wiązka z gazerą rozdarła powietrze. Hippron odskoczył w czasie i przestrzeni. Góry zmieniły nieco swe położenie. Tym razem równina była pusta i poorana kraterami. Rozlegało się ciężkie nieprzyjemne dudnienie. Lecz niebo nie zmieniło wyglądu.

Jakiś ruch przyciągnął uwagę Corsona. Paręset metrów dalej powoli przesuwająca się olbrzymia bryła. Jedyne geometryczny kształt zdradzał jej mechaniczną naturę. Czołg, największy, jaki Corson kiedykolwiek widział. W samym jego środku zdawał się otwierać krater podobny do tych, które dziurawiły teren. Ale było to tylko złudzenie. Corsonowi wydawało się, że machina posuwa się w kierunku wzgórza, które mogło kryć w sobie umocnienia lub też samo w sobie być jakimś urządzeniem. Przyczepiony do boku hipprona czuł się straszliwie bezbronny. Wolałby postawić stopę na ziemi, szukać schronienia w tym zorany terenie. Od wzgórza oderwał się czarny, soczewkowaty przedmiot z wirującym brzegiem tnącym jak sierp, który opisując skomplikowaną krzywą pognał w kierunku czołgu. Zaatakował jego pancerz jak brzeszczot piły tarczowej. Trysnęły olbrzymie iskry. Przedmiot eksplodował, nie szkodząc w widoczny sposób czołgowi. Jedyne śladem po ataku była równa, błyszcząca blizna pozostawiona w miejscu, gdzie pocisk obnażył metal. Czołg, niepokonany, posuwał się naprzód.

Nagle, bez ostrzeżenia, dziobata powierzchnia ziemi otworzyła się, zapadła jak wilczy dół pod ciężarem pojazdu. Pojazd przechylił się, wypluł przedłużenia usiłujące znaleźć oparcie po przeciwnej stronie szczeliny. Lecz na próżno. Spróbował się wycofać, obrócił się w miejscu, lecz nie zdołał powstrzymać ześlizgiwania w przepaść. Na jego bokach pojawiły się otwory, przez które w pełnym porządku wybiegały ludzkie postacie, ledwo widoczne w kameleonich drelichach o kolorze zmieniającym się w zależności od koloru podłoża. Ludzie rzucili w przepaść granaty. Szczelina bluznęła wybuchami, płomieniami i czarnym dymem. Zapadnia pochyliła się jeszcze bardziej i znieruchomiła. Ale zbocze było zbyt strome, a powierzchnia zbyt gładka, by; czołg mógł się po niej wspiąć. Przestał zarzucać, przewrócił się na bok zapadni i niemal pionowo zablokował w rozpadlinie. Maszyny, do tej pory ciche, zaryczały rozpaczliwie i stanęły. Jeszcze kilku ludzi opuściło pojazd i dołączyło do pierwszych, usiłujących dotrzeć na równinę: Z pagórka wytrysnęła wiązka rakiet i roztrzaskała się wokół czołgu, tworząc nieprzerwany dywan ognia, w którym ludzie płonęli w mgnieniu oka. Ocaleni zniknęli w zrytym terenie.

Trwało to może w sumie trzydzieści sekund. Hippron zostawił już po lewej stronie pagórkowatą fortecę. Leciał tak nisko, że po kolei musiał przeskakiwać wybrzuszenia terenu. Wylądował pod osłoną skalnego grzebienia.

Corson zawahał się. Nie musiał kierować hippronem. Mógł zaufać instynktowi samozachowawczemu Bestii, która umieści ich poza zasięgiem gwałtownego ataku w czasie i przestrzeni. Lecz hippron może mieć całkiem inne wyobrażenie o ataku niż jego kawalerzyści. Może nie uciekać przed chmurą żrących gazów, które zniszczyłyby skafandry. Wszystko może zależeć od przypadku.

Corson zdecydował się skorzystać z chwili względnego spokoju. Odpiął się i pomógł Antonelli.

Teren jak na poligonie. Skały odpadłe od wzgórza tworzyły u jego stóp niepewne schronienie. Corson wziął Antonellę za rękę i zaczął biec. W połowie drogi zobaczył, jak na równinie rośnie czerwony kwiat. Przywarł do ziemi; pociągając za sobą Antonellę i koziółkując dotarli do zagłębienia między podstawą wzgórza i skałami. Pocisk uderzył we wzgórze, niczym młot cyklopa. Kiedy pył opadł, Corson spostrzegł, że hippron zniknął.

– To nie był ładunek atomowy – powiedział.

Spojrzał na równinę.

– Aergistał. Wygląda to na pole bitwy. Największe ze wszystkich pól bitewnych.

Antonella wycierała sobie twarz szarą od pyłu.

– Ale kto się bije? I przeciw komu?

– Nie mam pojęcia – rzekł Corson. – To wszystko wydaje mi się zupełnie bezsensowne.

Ani mniej, ani więcej niż jakakolwiek wojna. Zwyczajna wojna przynajmniej oznaczała dobrze określone obozy, jedną lub dwie spójne technologie. Tutaj wydawało się, że wszyscy biją się ze wszystkimi. Dlaczego rycerze w zbrojach walczyli z Indianami? Gdzie kryły się miasta, imperia podtrzymujące te potyczki i będące ich celem? Co kryło to różowe i pulsujące niebo, pozbawione słońca i księżyców, w nieokreślony sposób odrażające i bezlitośnie podobne do niego samego? Nawet horyzont wydawał się fałszywy, cofnięty w nieskończoność, jak gdyby powierzchnia Aergistału była tylko niezmierną płaszczyzną. A jeżeli była to olbrzymia planeta, to dlaczego przyciąganie było normalne albo bliskie normalnego?

– Powietrze chyba nadaje się do oddychania – powiedział Corson rzuciwszy okiem na znajdujące się na rękawie analizatory. Zdjął hełm i wciągnął powietrze w płuca. Było chłodne, bez zapachu. Twarz owiewał mu wiatr.

Ponownie odważył się podnieść głowę ponad chroniące go skały. Aż do zboczy odległych gór równina wyglądała tak samo rozpaczliwie. Tu i tam pęki dymów. Jego wzrok przyciągnęła błyskawica i instynktownie stoczył się na dno zagłębienia.

Przed nimi nie było żadnego miejsca, dokąd mogliby się udać.

– Musimy przejść przez grzbiet – powiedział. – Być może natrafimy na...

Nie miał żadnej nadziei, że trafi na sprzymierzeńca ani nawet na rozsądną istotę. Byli w pułapce wojny, niewyobrażalnej wojny.

Na niebie ukazał się czarny punkt. Za sobą zostawiał smugę dymu, kreśląc w ten sposób znaki na niebie. Pierwsza seria symboli okazała się nieczytelna. W drugiej serii Corson z

wysiłkiem dopatrzył się liter cyrylicy. Trzecia składała się wyłącznie z punktów. Nie potrzebował czekać, aż aparat zakończy swoją misję, by odczytać ostatnią serię.

WITAJCIE NA AERGISTALU

Czarny punkt zniknął szybko za grzebieniem, podczas gdy symbole i litery leniwie przesuwają się w kierunku gór. Corson wzruszył ramionami.

– Chodźmy – powiedział.

Najszybciej jak mogli, wspięli się na strome zbocze. Corson wychylił ostrożnie głowę ponad grzbiet, uświadamiając sobie, że stanowi doskonały cel. Zdumiony, o mało nie upadł. Drugie zbocze opadało łagodnie w kierunku idealnie prostoliniowej plaży. Niebieskie, absolutnie spokojne morze rozciągało się w nieskończoność. W odległości kilku kabli od brzegu około dwunastu okrętów żaglowych wymieniało armatnie salwy. Płonął kadłub pozbawiony masztu. Na plaży, w odległości paruset metrów, naprzeciw siebie rozbite były dwa wojskowe obozy. Namioty jednych były niebieskie, drugich – czerwone. Na wietrze powiewały bojowe chorągwie. Między dwoma obozowiskami stały naprzeciw siebie wyrównane jak na ćwiczeniach, ubrane w żywe kolory szeregi żołnierzy i strzelały na przemian. Corsonowi wydało się, że widzi sporadycznie padające sylwetki. Słyszał odgłos salw, skandowane okrzyki oficerów, dźwięk trąbek i od czasu do czasu głuchy grzmot okrętowych dział.

Spojrzał na nieco bliższy plan krajobrazu i zobaczył, jak z niecki w gruncie zaczęła się wynurzać olbrzymia, szara, miękka i prawie okrągła rzecz, nie widoczna z obu obozów dzięki sfałdowaniu powierzchni. Jakiś zabłąkany wieloryb?

Niedaleko od nich, najwyżej jakieś sto metrów poza obozem niebieskich, za drewnianym stołem siedział jakiś człowiek i spokojnie pisał. Na głowie miał granatowy pieróg przewiązany białą kokardą, a ubrany był w dziwny, biało-niebieski surdut pokryty złotymi epoletami i sutaszami. Koniec pochwy wielkiej szabli, którą nosił u pasa, spoczywał na ziemi.

Corson przebył grzbiet i skierował się ku pisarzowi. Kiedy byli już tylko o kilka metrów od niego, ten odwrócił głowę i powiedział spokojnie nie okazując zdziwienia ani strachu:

– Chcecie się zaciągnąć, młodzi ludzie? Niedawno podniesiono premię. Zanim jeszcze założycie piękne mundury, wręczę wam po pięćset talarów.

– Nie mam... – zaczął Corson.

– Widzę, że umieracie z ochoty, by służyć dobremu królowi Wiktorowi Brodatemu. Strawa jest dobra, awans szybki. Wojna będzie trwała wiek albo dwa i może się pan spodziewać, że zakończy ją pan w stopniu marszałka. Co do pani, będzie miała powodzenie u naszych zuchów i przepowiadam jej szybką fortunę.

– Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie znajduje się najbliższe miasto – powiedział Corson.

– Miasto Minor, jak sądzę – rzekł mężczyzna – znajduje się prosto przed nami w odległości dwudziestu albo trzydziestu mil. Gdy tylko pokonamy tych dziwaków w czerwonym, pomaszujemy na nie. Zdradzę panu, że nigdy tam nie byłem i jest to całkiem normalne, gdyż jest to miasto wrogów. Ale przechadzka warta jest zachodu. Zatem, proszę tutaj podpisać, jeżeli umie pan pisać, żeby wszystko było zgodnie z przepisami.

I zadzwonił krążkami z żółtego metalu, które w pamięci Carlsona budziły jakieś niewyraźne wspomnienia. Stwierdził, że chodzi widocznie o pieniądze. Antonella nerwowo ścisnęła mu nadgarstek.

Na stole, przed mężczyzną, z jednej i z drugiej strony wielkiego rejestru spoczywały dwie sztuki interesującej ręcznej broni, której Corson chciał przyjrzeć się z bliska.

– A te okręty? – zapytał wskazując na morze.

– A to, przyjacielu, nie ma z nami nic wspólnego. Każdy prowadzi tutaj swoją wojnę, nie zajmując się zbytnio sąsiadem. Aż do chwili pobicia przeciwnika. Wtedy zbiera się ocalałych i szuka się innego. A pan, jest pan w odwrocie, prawda? Nigdy nie widziałem takich mundurów jak wasze.

– Nie chcemy się zaciągać – powiedział stanowczo Corson. – Chcielibyśmy tylko... gdzieś popracować.

– Muszę zatem przekonać was, przyjaciele, gdyż jest to mój zawód i mam w tym interes.

Schwycił leżące na stole pistolety i wycelował w Corsona.

– Zechce pan wpisać tutaj swoje nazwisko, zanim się zezłoszczę i zatrzymam pańską premię.

Corson rzucił Antonellę na ziemię. Kopnięciem przewrócił stół. Lecz jego przeciwnik, czujny, odskoczył w tył i nacisnął na spusty. Detonacja ogłuszyła Corsona w tym samym momencie, gdy, jak mu się wydało, otrzymał gwałtowne uderzenie pięścią w lewe ramię. W tej samej chwili usłyszał coś w rodzaju zgrzytnięcia. Jeden z pistoletów zapewne źle funkcjonował.

W gęstym dymie Corson ruszył naprzód. Mężczyzna w pierogu rzucił pistolety i próbował wyciągnąć szablę. Tym razem Corson był od niego szybszy. Przeskakując przez przewrócony stół kopnięciem trafił go w wątrobę i niemal jednocześnie przedramieniem uderzył w skroń. Nie chciał zabijać. Mężczyzna zwałił się z nóg, przyciskając ręce do brzucha.

Corson dotknął ręką prawego bicepsu, oczekując widoku krwi, ale pocisk widocznie zrykoszetował na powłoce skafandra. Omal się nie roześmiał. Poradził sobie z ogromnym niebieskim. Obrócił się na pięcie i uśmiech zamarł mu na ustach. Detonacja musiała zwrócić uwagę w obozie. W ich kierunku spieszył mały oddziałek.

Corson pomógł wstać Antonelli i pociągnął ją za sobą.

Zaraz też rozmyślił się, wrócił, podniósł szablę upuszczoną przez jego przeciwnika i zaczął biec zmuszając Antonellę do przyspieszenia kroku. Jeżeli chodzi o kierunek, nie mieli wyboru. Jedyne wyjście prowadziło ich do tej niecki, gdzie poprzednio spostrzegli groteskowy kształt, wzięty przez Corsona za zewłok wieloryba.

Strzały. Pociski zagwizdały im koło uszu. Na szczęście ścigający nie tracili czasu na celowanie albo chcieli ich tylko przestraszyć. Było oczywiste, że ich broń nie jest wyposażona w automatyczne celowniki i kiedy kanonada ustała, Corson pomyślał ze zdziwieniem, że nie była nawet automatyczna, gdyż potrzeba było czasu na jej naładowanie.

Zadyszani pokonali zewnętrzne zbocze niecki. Przebiegli grzbiet. Zagłębienie, dawny krater, było o wiele obszerniejsze i głębsze, niż się spodziewał. Wieloryb był olbrzymią kulą gumowej tkaniny. Znajdowała się w sieci i unosiła w powietrzu ciągnąc za sobą grubą linę kotwiczącą ją do skały. Pod nią, na wpół leżąc na ziemi, zwisał wiklinowy kosz. Ubrany w

czerwone spodnie i marynarską bluzę mężczyzna, z czymś w rodzaju beretu na głowie, krzątał się przy jakichś zaworach. Miał całkiem czarną skórę.

Gdy zobaczył zbliżającą się Antonellę i Corsona, uśmiechnął się szczerząc zęby. Uśmiech zniknął, gdy jego wzrok spoczął na szabli trzymanej przez Corsona. Wykonał ruch w kierunku strzelby, której lufa wystawała z gondoli, lecz Corson powstrzymał go płazem szabli.

– Ścigają nas – powiedział Corson. – Czy ten aparat może zabrać troje ludzi?

– Przepisy zabraniają... – zaczął Murzyn.

Z niepokojem spojrzął na Corsona, potem na drugą stronę niecki, gdzie zaczynały się pokazywać głowy w pierogach. "Myślę, że lepiej będzie, jak stąd zwiejemy", zakonkludował.

Wskoczył do kosza, a Corson i Antonella poszli w jego ślady. Pośpiesznie zaczęli wyrzucać za burtę worki z piaskiem. Gondola opuściła ziemię i zaczęła się niebezpiecznie przechylać. "Połóż się na dzień!" – krzyknął Corson do Antonelli. Potem, widząc, że Murzyn traci cenny czas na rozwiązywanie liny, ciął przywieź potężnym uderzeniem. Zewnętrzne włókna puściły. Drugie uderzenie przecięło osnowę liny. Gwałtowny poryw wiatru zrobił resztę. Balon, nagle zwolniony, wzbił się jak rakieta. Rozległy się strzały, lecz kule poszły za nisko. Zanim broń została ponownie naładowana, zbiegowie byli już za wysoko, by dosięgły ich nieprecyzyjne salwy zbirów Wiktora Brodatego.

Corson chwycił za krawędź gondoli i wstał. Gwałtowny start przydusił go do dna wiklinowego kosza, trzeszczącego niepokojąco. Spojrzął na Murzyna w czerwonych spodniach, który obiema rękami trzymał się lin, i położył szablę na dzień kosza. Następnie pomógł wstać Antonelli.

– Niezależnie do tego, po czyjej stronie pan walczy – powiedział do Murzyna – dziękuję panu za to, że znalazł się pan tam w samą porę. Nazywam się Corson. Byłem członkiem załogi...

Przerwał. To bzdura przypominać tutaj "Archimedes" liniowego krążownika kosmicznego, biorącego udział w wojnie między Ziemią a Urią... Tak naprawdę, to był żołnierzem bez armii i bez sprawy, był żołnierzem zbłąkanym. Gdyby nie olbrzymie pole bitwy Aergistalu, zapomniałby nawet, że nim był.

– Jestem zuaw Toure – powiedział Murzyn. – Szeef zajazdów i chwilowo lotnik w regimencie transportu. Byłem inżynierem. I pilotem helikoptera. Dlatego też powierzono mi ten balon.

Zaczął się śmiać.

– Powiedziałem, że wiem co nieco z aeronautyki. Wydawało mi się, że bezpieczniej jest unosić się ponad tym całym zamieszaniem. A pan, z jakiej wojny pan pochodzi?

Corson zawahał się.

– Z wojny międzyplanetarnej – powiedział po chwili. – Ale nie przybyłem tutaj bezpośrednio.

– Wojna międzyplanetarna – powiedział Toure w zamyśleniu. – To znaczy, że musi pan pochodzić z. Czasów dużo późniejszych od moich. W moich czasach dopiero zaczynało interesować się kosmosem. Pamiętam jeszcze dzień, kiedy pierwszy człowiek wylądował na Marsie. To było wydarzenie...

Wskazał brodą Antonellę.

– A ona? Z tej samej wojny co pan?

Corson potrząsnął głową.

– Antonella pochodzi z czasów pokojowych.

Rysy twarzy Murzyna stwardniały.

– To znaczy, że nie powinna się tutaj znaleźć – rzekł stanowczo.

– Dlaczego?

– Na tym świecie są tylko wojownicy, żołnierze, ludzie, którzy z tego czy innego powodu zostali uznani za przestępców wojennych. Ja wystrzeliłem samonaprowadzające rakiety na wioskę, gdzie mieszkali sami cywile, to było gdzieś w Europie, na wyspie zwanej Sycylia, która może nazywa się tak nadal. Nie twierdzę, że wiedziałem, co robię, lecz nie twierdzę także, że tego nie wiedziałem. Wojna to właśnie to.

W głowie Corsona zaświtała pewna myśl.

– Mówi pan pangalem. Sądziłem, że pangal nie był w użyciu przed zdobyciem gwiazd.

– To nie jest mój język ojczysty. Nauczyłem się go tutaj.

Na Aergistalu wszyscy mówią pangalem, z kilkoma odmianami.

– A jaki był pański ojczysty język?

– Francuski.

– Aha – powiedział Corson. Nic mu to nie mówiło.

W jego umyśle mnożyły się zagadki. Mogły poczekać. Balon płynął do tej pory wzdłuż wybrzeża, ale przejawiał fatalną skłonność do zmiany kierunku na pełne morze. A przed nimi rozciągał się płaski, bezbrzeżny ocean.

18.

Przelecieli nad grupą galer, uparcie próbujących się staranować, w czym przeszkadzał im wąty wiatr, dlatego poruszały się powoli, przy pomocy wiosł. Nieco dalej spostrzegli pęcherzykowe konstrukcje, o które walczyły pająkowate stwory. Nie tylko ludzie byli na Aergistalu, chociaż w rejonie, gdzie przebywali, ludzi było najwięcej. Raz czy nawet dwa razy pod powierzchnią oceanu dopatrzyli się wielkich cieni.

Balon stopniowo oddalał się od brzegu, ale był on jeszcze widoczny.

– Nie umrzemy z głodu – rzekł Toure otwierając z szerokim uśmiechem wiklinowy kufer zajmujący część gondoli.

Corson machinalnie poszukał na ramieniu paska od worka z żywnością. Worka nie było. Zgubił go bijąc się z pisarzem.

– Tu jest kielbasa, jeszcze całkiem świeży chleb i czerwone wino – powiedział Murzyn. Z kieszeni spodni wyciągnął ogromny scyzoryk i zabrał się do krojenia chleba i kielbasy. Potem od korkował butelkę i podał Antonelli.

Corson spoglądał na niego z zainteresowaniem.

– Nigdy nie widział pan czegoś takiego? – zapytał Toure podchwytyjąc jego spojrzenie. – Wydaje mi się, że w pańskich czasach odżywiano się pigułkami i innymi związkami chemicznymi. Ale to, co tu mam, nie jest złe. No cóż, jak to na wojnie!

Wino rozgrzało Corsona. Ugryzł kromkę chleba i postanowił zadać kilka pytań. Przed wszystkim miał przed sobą człowieka, który dysponował o wiele większym doświadczeniem niż on, jeśli chodzi o ten niezwykły świat.

– Dziwi mnie – zaczął ostrożnie – to puste niebo. Wojna powietrzna powinna siać powszechne spustoszenie.

– Nie ma reguł – odpowiedział Toure. – Tak mi się przynajmniej wydaje. W tym sektorze nie ma ani samolotów, ani rakiet, ani helikopterów. Nie znaczy to jednak, że w innym rejonie Aergistalu nie toczą się walki powietrzne. Zdziwiłbym się raczej, gdyby tak nie było.

– Reguły?

Corson przestał żuć.

– Być może zauważył pan jedną rzecz – ciągnął Toure. – Nikt nie używa tutaj broni nuklearnej. Czy to nie powinno było pana zdziwić? Chyba, że nie stosuje się jej w pańskich czasach. Ale z drugiej strony gór bomby atomowe wybuchają od czasu do czasu. I to duże.

Corson przypomniał sobie słupy ognia i grzyby dymu widziane nad górami. Przytaknął.

– A kto czuwa nad przestrzeganiem tych reguł?

– Gdybym wiedział, poszedłbym do niego i grzecznie poprosił o wypuszczenie mnie stąd. Najprawdopodobniej jakiś bóg lub demon.

– Wierzy pan naprawdę, że jesteśmy w piekle?

Słowo piekło nie miało dla Corsona wiele sensu. Użył go nawiązując do niemal zapomnianej w jego czasach mitologii, którą zdominował utylitarny i zimny pozytywizm. W języku galaktycznym piekło było Jedyne miejscem szczególnie nieprzyjemnym.

– Zastanawiałem się niemało nad tym metafizycznym pytaniem – przyznał Toure. – Ale to mi wygląda na piekło wyjątkowo materialne. Na przykład to sklepienie niebie skie: przysiągłbym, że jest twarde jak szklana płyta. Wykonałem kilka obliczeń triangulacyjnych wznosząc się i opadając tym balonem, i mam wrażenie, że sklepienie znajduje się na wysokości od dziesięciu do dwunastu kilometrów. To znaczy, ten twór, choć materialny, nie wydaje mi się wcale naturalny. Brak horyzontu, jedna płaszczyzna, to nie jest powierzchnia jakiejś planety. Bo na planecie o tym promieniu ciężenie powinno być kolosalne. Już w pierwszych chwilach pobytu na niej zostalibyśmy zmiażdżeni.

Corson przytaknął z niejakim zdziwieniem: ten człowiek z zamierzchłych czasów miał zadziwiające wiadomości.

– Nie znajdujemy się w normalnej przestrzeni – powiedziała Antonella. – Niczego nie mogę przewidzieć. Nic już nie czuję. Na początku nie niepokoiłam się, gdyż uzdolnienie to czasami zanika. Ale nie tak całkiem. A tu taj... jakbym była ślepa.

Corson przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

– W jakich okolicznościach wasze uzdolnienie zanika?

Antonella zarumieniła się.

– Przede wszystkim na parę dni w miesiącu. Ale... teraz nie wchodzi to w rachubę. I podczas podróży w kosmosie, ale nie zdarza mi się to często. A także po skoku w czasie, lecz

nie trwa to długo. I wreszcie, gdy prawdopodobieństwo zaistnienia wielu zdarzeń jest niemal jednakowe. Zawsze jednak pozostaje mi odrobina tych zdolności. Tutaj... nic.

– O jakich zdolnościach ona mówi? – zapytał Toure.

– O zdolnościach, które posiada jej rasa. Umieją oni z góry przewidywać wydarzenia, mniej więcej na dwie minuty przed faktem.

– Rozumiem. To tak, jakby posiadali peryskop zdolny przebić powierzchnię teraźniejszości. Peryskop krótkowidzący. Dwie minuty to nie jest dużo.

Corson próbował zinterpretować wskazówki dostarczone przez Antonellę. Informacja wyprzedzająca związana była w pewien sposób z zasadą kosmogoniczną Macha, uwzględniającą szczególność każdego punktu Wszechświata W odniesieniu do jego całości. Czy oznaczało to, że nie znajdowali się już we Wszechświecie, z którym system nerwowy Antonelli był zsynchronizowany? Czy byli martwi, chociaż nie pamiętali momentu śmierci?

– Czy to nie dziwne? – powiedział Toure. – W Afryce na długo przed moim urodzeniem czarownicy uchodzili za takich, co umieją przewidywać przyszłość. W moich czasach nikt już im nie wierzył. Aż w końcu urojenia czarnoksiężników stały się rzeczywistością, ale w przyszłości.

– Skąd pochodzi ten chleb? – zapytał Corson wskazując na swoją kanapkę.

– Z intendentury. Teraz, kiedy postawił mi pan to pytanie, pomyślałem, że rzeczywiście nigdzie nie widziałem pól uprawnych, fabryk ani piekarni. Czy jednak podczas wojny nie jest to zjawisko spotykane? Broń, odzież, lekartwa, żywność przybywają z bardzo, bardzo daleka, z legendarnego kraju. Jeśli wojna trwa trochę dłużej, to człowiek nawet się nad tym nie zastanawia. Jedyne pola, które widzi, zostają zniszczone, bo należą do wroga.

– A gdzie są przywódcy? Dlaczego przeciągają te bezsensowne walki?

– Ponad nami. Wysoko, bardzo wysoko ponad nami. Normalnie nigdy się ich nie widzi.

– A jeżeli zostają zabici?

– Zastępują ich inni – powiedział Toure. – Ci, którzy są tuż za nimi. W wojnie rzeczywiście rozpaczliwej walczy się, jak pan wie, dlatego, że jest przeciwnik i nie ma wyboru. Może też wodzowie mają swoje własne powody.

Corson wziął głęboki oddech.

– Ale gdzie my się znajdujemy?! – wrzasnął rozwścieczony.

Toure przyglądał mu się spokojnie.

– Mógłbym panu powiedzieć, że lecimy balonem ponad płaskim oceanem. Będzie to jednak banał. Wiele myślałem nad tą sprawą. Przyszły mi do głowy tylko trzy możliwości. Niech pan wybierze którąś z nich albo zaproponuje coś nowego.

– Jakie to możliwości?

– Po pierwsze, najzwyczajniej w świecie jesteśmy nieżywi i znajdujemy się w piekle albo czyśćcu metafizycznym, na czas nieograniczony, być może na całą wieczność, bez szansy na wydostanie się stąd, nawet umierając. Po to są Zawieszenia Broni.

– Zawieszenia Broni.

– Jeszcze pan tego nie przeżył? To prawda, pan jest tutaj od niedawna. Opowiem o tym trochę później. Według mojej drugiej hipotezy, nie istniejemy realnie. Mamy wrażenie egzystencji, jest to złudzenie. Jesteśmy tylko informacją, perforowaniem, drobinami czy

pakietami elektronów zamkniętych w gigantycznej maszynie i ktoś prowadzi ogromną Kriegspiel, War Game, albo, jak pan woli. Grę Wojenną. Chodzi o wynik takiego czy innego konfliktu. To tak, jak gdyby wszystkie wojny Wszechświata odbywały się w jednym miejscu. Bylibyśmy wtedy czymś w rodzaju marionetek na makiecie, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Rozumiem – sucho odpowiedział Corson.

– A teraz odmiana tej hipotezy. Istniejemy naprawdę, ale nie na tym świecie. Być może leżymy gdzieś w krypcie, połączeni z jakąś maszyną mnóstwem elektrod i wydaje się nam, że to wszystko przeżywamy. Może chodzi tu o terapię psychologiczną, by zniechęcić nas do wojny, albo też jest to jakieś widowisko? A może doświadczenie! Moja trzecia hipoteza zakłada, że świat ten jest realny. Z naszego punktu widzenia jest to dziwne, ale autentyczne. Zbudowany został przez ludzi, być może przez istoty człekokształtne, w co wątpię, by spełniać funkcję, o których nie mam najmniejszego pojęcia. Ta hipoteza najbardziej mi się podoba. A to dlatego, że być może istnieje sposób na wydostanie się stąd i to wydostanie się bez utraty własnej osobowości.

– Pańskie trzy hipotezy mają jeden punkt wspólny – powiedział Corson. – Pasują równie dobrze do innego świata, do świata, z którego pochodzimy.

– Do świata, który pozostał nam w pamięci – poprawił Toure. – To niekoniecznie to samo. Jest pan pewny, że pochodzimy z tego samego? Istnieje jeszcze jeden punkt wspólny z tamtym... światem. Mamy to samo wrażenie wolności i jesteśmy równie niezdolni do prowadzenia naszego życia w sposób, jaki nam odpowiada.

Zamilkli na chwilę.

– Jak się pan tutaj dostał? – zapytał wreszcie Corson.

– Mógłbym postawić panu to samo pytanie. Nie wydaje się panu, że mówię za dużo?

– Nie wiem, czy mi pan uwierzy.

– Nauczyłem się łatwości – rzekł po prostu Murzyn.

Corson krótko opisał mu swoją odyseję, począwszy od obozu Verana. Epizod z planetą-mauzoleum przemilczał.

– Ktoś zadał sobie wiele trudu, by was tutaj przyprowadzić – zawyrokował Toure. – Prawdopodobnie jeden z nich. To pasuje najlepiej do mojej trzeciej hipotezy.

I dodał:

– Pierwszy raz słyszę o hippronach, tych zwierzętach mogących podróżować w czasie. Wątpię jednak w ich możliwości pokonywania takich dużych odcinków czasowych.

– A pan?

Murzyn zamrugał, wychylił się z gondoli i splunął do morza.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie. Jakies cztery, pięć, a może dziesięć Zawieszę temu (kładł nacisk na Z, jakby podkreślał dużą literę), strzelałem, jak umiałem, z pokładu mojego Trzmiela 5. Zostałem oślepiony, poczułem gorąco. I znalazłem się tutaj, na pokładzie tej "samej maszyny, ponad krajobrazem niemalże identycznym. Nie od razu zdałem sobie sprawę z różnicy. Miałem wrażenie, że nie znam nikogo wokół siebie. Gdy to powiedziałem, zaprowadzono mnie do wojskowego lekarza. Mówił o szoku, zrobił mi

zastrzyk i odesłał z powrotem. Po jakimś czasie niczego już nie byłem pewny. Chciałem po prostu przeżyć.

– Dziwi mnie jedno – rzekł Corson. – W okresie tych wojen śmiertelność powinna być przerażająca. Dlaczego nie ustają one z braku walczących? Czy też do ich utrzymania wystarcza transport żołnierzy pochodzących ze wszystkich epok i wszystkich planet Wszechświata?

Toure pokręcił głową.

– Są Zawieszenia Broni. Polegli wracają na swoje miejsca.

– Zmartwychwstają?

– Nie. Ale kiedy zbliża się Zawieszenie, niebo ciemnieje. Po czym wszystko twardnieje, czas zastyga, gaśnie światło, lampy elektryczne i płomienie. Wrażenie obracania się w kamień. Świadomość pozostaje jeszcze przez sekundę, może dwie, w straszliwej ciszy. Potem wszystko zaczyna się od nowa. Czasami, lecz bardzo rzadko, znajdujesz się w tej samej sytuacji, co przed Zawieszeniem. Najczęściej jesteś w innej armii, na innym stanowisku. Niezbyt dobrze pamięta się to. Co działo się przed Zawieszeniem. Jak gdyby zaczynała się inna historia, jak gdyby jedno nagranie zastąpiono innym. Stąd moja druga hipoteza. I martwi zajmują swoje miejsca, grają nowe role. Lecz nigdy nie pamiętają, że zostali zabici. Dla nich Zawieszenie przyszło tuż przed śmiercią. Dlatego może zawieszenie jest zjawiskiem czysto indywidualnym. Chociaż nie sądzę. Gdy przychodzi, odnosi się wrażenie, że rozciąga się na cały Wszechświat. Wydaje mi się, że ci, którzy urządzili ten Wszechświat, jeżeli moja trzecia hipoteza jest słuszna, lub ci, którzy sprawują nad nim władzę, zdołali zapanować nad czasem i przybywają, by zabrać tych, co mają umrzeć na chwilę przedtem, zanim się to stanie rzeczywiście. Nic nadprzyrodzonego, jak pan widzi.

– Istotnie – powiedział Corson.

Skubał swój świeży zarost, zdziwiony łatwością, z jaką ten mężczyzna – prymityw pochodzący z epoki pierwszych podróży, międzyplanetarnych – uznaje możliwość podróżowania w czasie. Potem przypomniał sobie łatwość, z jaką sam przystosował się do nowej Urii.

Miał właśnie postawić pytanie na temat Zawieszeń, gdy gigantyczny grzmot rozdarł mu bębenki, silniejszy i gwałtowniejszy niż uderzenie pioruna, niż jakakolwiek eksplozja, dwa sztylety, które przecięły delikatne membrany i przeszyły drobne kości wbijając się w zakamarki ślimaka. Cały Wszechświat zdawał się rozłupywać na dwoje.

Balon żeglował po niewidzialnych szynach ponad gładkim jak lustro oceanem i pod niezwykle, lecz łagodnym niebem. Powiew był rześki i nic więcej. Ale grzmot przedłużał się, wzmacniał, zmieniał w głucho dudnienie, w wibrację, która niespodziewanie wprawiała w rezonans liny gondoli. I nagle, jak pękające drzewo, wibracja rozpadła się, jeden ton rósł, wspinał się po gamach, tysiąc, dwa, pięć, dziesięć tysięcy herców i stał się wreszcie niesłyszalny i przenikający czaszkę, drugi ton głęboki, potężny Jak pięć olbrzyma, pulsujący, zmieniał się w westchnienie konającego boga.

Na oceanie utworzyły się zmarszczki. Toure wykrzyknął coś, lecz rozpaczliwe ruchy jego ust przypominały wysiłki głuchoniemego. Antonella zakryła uszy rękami. Bała się i cierpiała. Corson poczuł, jak z oczu zaczynają mu płynąć łzy.

Balonem zawładnęła wichura. Wzbił się o kilkaset metrów, widocznie raptownie zmalowało ciśnienie. Gondolą rzucało. Corson pochwycił Antonellę i przycisnął do lin, chwyciwszy je obiema rękami. Kosz trzeszczał. Gwałtowny wiatr deformował powłokę balonu, niby niewidzialna i gigantyczna ręka pchająca go naprzód.

Toure chwycił koniec liny i przywiązał się tak mocno, jak tylko mógł. Zgiąwszy się wpół, podał drugi koniec Corsonowi, który przymocował siebie i Antonellę.

Przekrzykując burzę Corson zawołał:

– _ Czy to początek Zawieszenia?

Toure zaprzeczył ruchem głowy. Jego spopielała twarz wyrażała przerażenie.

– Nigdy... nic... podobnego...

Porywy wiatru ustały, ale nie przestał wiać. Dął regularnie, lecz coraz mocniej. Corson pochylił się nad dyszącą Antonellą. Sam też oddychał szybciej i głębiej niż zazwyczaj. Brakowało powietrza. Widocznie ciśnienie atmosferyczne jeszcze spadło.

Dał znak Touremu wskazując na balon i ocean. Lotnik zrozumiał i odkręcił krany. Balon opadł o paręset metrów, ale – powietrze nie stało się wyczuwalnie gęstsze. Poniżej długie, białe grzebienie obrębiały szczyty gór wody, które niosły wraki okrętów. Aureola rozlanej na morzu oliwy rysowała niezwykłą oazę spokoju.

Długie godziny. Balon pędził ciągle z tą samą szybkością, którą w odniesieniu do plam na niebie Corson i Toure ocenili na około tysiąca kilometrów na godzinę. Na wpół uduszeni, leżący na dnie gondoli Antonella, Corson i Toure znajdowali się na granicy snu.

Corson miał niejasną świadomość, że przebyli więcej niż jedną czwartą obwodu planety takiej jak Ziemia, a wiatr nie ustawał. Teraz pędził przed sobą góry wody tak wysokie i zakrzepłe, że wydawało się, iż rzeźbione są w szkłe. To nie miało sensu. Nie więcej niż poprzednie wydarzenia. Mogli żeglować nie wiadomo jak długo ponad tym nieskończonym oceanem. Mogli umrzeć w gondoli z głodu, pragnienia lub wyczerpania i ciała ich nadal będą odbywały tę absurdalną podróż – chyba że zerwie się podwieszenie i gondola rozbije się o powierzchnię morza. Chyba że balon tracąc wodór czy hel opadnie stopniowo i przyklei się, niby szara brodawka, do zbocza wodnej wydmy.

Podskok gondoli – puściła właśnie któraś lina – przerwał refleksje Corsona, wyrzucając go prawie za burtę. Przytrzymała go lina asekuracyjna. Zdążył jednak dostrzec horyzont. I krzyknął tak straszliwie, że przez moment zapanował nad grzmotem wichru.

Horyzont przekreślała szybko rozszerzająca się czarna krecha. Teraz był to już pas, już ściana. Była to ciemność absolutna. Czerń samej nicości. Rzecz szczególna: równoległe brzegi tego muru ciemności nie były zakrzywione i nie podążały wzdłuż horyzontu planetarnego, były natomiast dokładnie prostoliniowe, o ile ludzkie oko mogło zdać sobie z tego sprawę.

19.

Tu kończył się Wszechświat. Przynajmniej ten Wszechświat. Pędzili w kierunku owej czerni, w przepaść. Wichura tymczasem straciła na gwałtowności. Fale jednak stały się

jeszcze większe, jakby rozбивały się w dole o niewidzialną przeszkodę. Żłobiły one modre doliny o głębokości wielu setek metrów.

Na horyzoncie ocean kończył się równo, jak krawędź stołu. Dalej była przepaść wypełniająca całą przestrzeń między niebem a morzem.

– Mamy niewielką szansę – powiedział Toure. – Jeżeli Zawieszenie nastąpi, zanim...

Nie musiał kończyć... Zafascynowani patrzyli na horyzont.

– Chyba, że wiatr całkiem ustanie – rzekł Corson.

Toure wzruszył ramionami.

– Wsysa nas ta próżnia. Cały Wszechświat tam wpadnie.

– Dlaczego właśnie teraz?

– Coś popsulo się w wielkiej maszynie.

W miarę jak się zbliżali, czarna przestrzeń zapełniała się światłami, błyszczącymi i nieruchomymi punktami, która od czasu do czasu zdawały się gasnąć i znowu zapalać, jakby jakiś ciemny przedmiot przemieszczał się przed nimi. Balon pędził w kierunku czarnej plamy jeszcze bardziej matowej, jeszcze ciemniejszej niż reszta ściany. Była ona otoczona aureolą refleksów, rozbiegających się na kształt pierzastej błyskawicy we wszystkich kierunkach.

"*Jak rozbite pociskiem okno*" – pomyślał Corson.

Właśnie to miał przed oczyma: okno przebite pociskiem. Nieruchome, stałe światła były gwiazdami. Przepaść to kosmos. Plama matowej czerni była wylomem, przez który Aergistal albo przynajmniej ta część Aergistalu, w której był balon, pędziła w próżnię.

Blisko krawędzi olbrzymi wir drążył powierzchnię morza. Ono także wylewało się w przestrzeń.

Corson zastanawiał się, czy przestrzeń ta była nieskończona, czy cały Aergistal, a wraz z nim jego absurdatne wojny, legiony, floty, żalosi bohaterowie, atomowe grzyby znajdują wreszcie pokój między gwiazdami. Czy twórcy – albo nadzorcy – Aergistalu nie zrobią nic? Czy wypadek przekracza ich potęgę? Czy też postanowili opróżnić probówkę? Czy Toure miał rację mówiąc o makiecie? Czy rzeczywiście Aergistal był sztucznym, gigantycznym, lecz ograniczonym światem, żeglującym w kosmosie i opróżniającym w tej chwili swą zawartość w wyniku jakiejś awarii lub manewru? Co się stanie, jeżeli za jednym zamachem "okno" pęknie wzdłuż spojenia? Czy niebo i ziemia połączą się? Czy też architektura tego bezsensownego świata, – mówiąc antropomorficznie – przetrwa, chroniona na zawsze przez nieprzekupny ekran nicości? Podczas gdy balon zbliżał się do wylomu, temperatura spadała, brakowało powietrza. Jednakże wylom dziwnie się zmniejszał. Przed chwilą jeszcze otwór miał na kilometry. Teraz, w najszerszym miejscu, nie przekraczał kilkuset metrów i zamykał się dosyć szybko. Balon był wystarczająco blisko, by Corson mógł dostrzec przebiegające wewnątrz – ną powierzchnię pierścieniowe fale, gasnące na brzegach wylomu.

Morze pokryło się lodową ławicą, której biel podkreślała prostą linią podstawę tej ściany kosmosu. Nie okna ani nawet nie ściany, lecz samonaprawiającego się ekranu siłowego, uszkodzonego przez kolosalne uderzenie.

– Przelecimy – dysząc powiedział Toure – jeśli się to szybciej nie zamknie.

Antonella ukryła twarz na ramieniu Corsona, który znalazł jeszcze siłę, by wyciągnąć rękę w kierunku wylomu. W próżni, trochę poniżej poziomu oceanu, unosiły się szczątki

olbrzymiego statku kosmicznego. Możliwie, że miał nawet kształt rakiety. Sugerował to przynajmniej wygląd jego tylnej części, która zdawała się być przyklejona do przezroczystej ściany. Odtwarzając się, pole siłowe wbudowało ją częściowo w swoją strukturę.

Najbardziej dziwił Corsona biologiczny charakter zablizniania się ekranu siłowego. Pamiętał tylko pola, które rozprzestrzeniały się w jednej chwili, ale chodziło o krótkie dystanse i ograniczone możliwości ludzkiej percepcji. Potem pomyślał sobie, że użyte tu energie były tak ogromne, że ciągłość czasu została zakłócona. Ekwiwalent masy zapory musiał być gigantyczny. Teoria względności mówiła, że na gwiazdach–olbrzymach czas płynął wolniej niż gdzie indziej. Najdziwniejsze było to, że efekt ten nie rozciągał się na przestrzeń otaczającą barierę. Balon bowiem nie został rzucony na ekran ze znaczną szybkością, nie spłonął w atmosferze przed roztrzaskaniem się o ścianę przestrzeni.

Corsonowi błysnęła iskierka nadziei. Zostało im tylko kilkaset metrów. Bliznowacenie uległo przyśpieszeniu, pęknięcia zniknęły. Matowoczarne plama malała. Przestrzeń wokół błyszczała, jakby pokryta werniksem. Drugorzędny efekt pola.

Całkiem blisko. Corson wyciągnął rękę, by osłonić Antonellę. Uderzenie. Odbicie. Szarpnięcie. Zawiązana wokół pasa lina werżnęła mu się w żebra. Zachwiał się i upadł do przodu. Głową uderzył w krawędź kosza. Mocne nachylenie. Usłyszał jeszcze miękki dźwięk. Balon rozgniatał się na barierze. Gondola kołysała się. Uderzenie. Odbicie. Uderzenie. Niezbyt gwałtowne. Elastyczna przeszkoda. Stracił przytomność.

20.

Wrażenie chłodu na czole. Obudził się. Być może prawie natychmiast. Jego głowa spoczywała na kolanach Antonelli, która przykładła mu do czoła szmatkę nasyoną winem. Podniósł rękę do prawego łuku brwiowego, który go bolał, kiedy opuścił ją, była zakrwawiona. Potem jego wzrok napotkał zaniepokojone spojrzenie Tourego.

Podniósł się. Zawrót głowy. Z wysiłkiem stanął na nogach.

– Balon posłużył za korek – wyjaśnił Toure.

Baton do połowy tkwił w barierze, dobry kilometr ponad oceanem, który przestał kipieć. Podmorska szczelina także się zasklepiła. Ciśnienie atmosferyczne szybko wzrastało. Z obolałymi bębenkami Corson zatkał nos i wyrównał różnicę.

Wychylił się potem za krawędź gondoli i zafascynowany oglądał próżnię. W górze, niebo, a w dole morze kończyły się, równo, jak ucięte nożem. Bariera była niemal w zasięgu ręki. Corson wyciągnął ramię, ale nie dosięgnął jej, poczuł lekkie klucie, a może było to tylko złudzenie.

Dalej był kosmos. Kosmos ożywiony. Najpierw gwiazdy, miriady gwiazd ułożone w nieznanne konstelacje. Gwiazdy we wszystkich kolorach, jakie widzi się tylko w próżni, przez szkło skafandra lub pod kopułą obserwacyjną. Jakaś galaktyka świeciła czerwono. Ale były tam nie tylko gwiazdy i galaktyka.

Między nimi, a niekiedy przed nimi płynęły olbrzymie wojenne krążowniki. Oczywiście, pomimo rozmiarów, Corson nie mógł ich widzieć bezpośrednio. Lecz wstrząsały one

gwiazdami lub raczej zniekształcały drogi światła. Masa i energia. Foton jest czymś tak lekkim, dającym się tak łatwo odchylić. Przed wyćwiczonymi oczyma Corsona taniec gwiazd nabierał sensu. Były tutaj dwie flotylle, które prowadziły rozpaczliwą walkę. W trakcie tej walki jakiś krążownik, niewątpliwie pozbawiony sterów, ruszył na barierę i uszkodził ją. Inne jednak, nie mające zapewne pojęcia o katastrofie, nadal prowadziły batalię. Po tej stronie bariery była to abstrakcyjna walka, jej przejawem było drżenie przestrzeni i taniec gwiazd, niby reflektorów na grzbiecie fali.

Po drugiej stronie ekranu siłowego unosiły się zielonkawe bloki. Uplłynęło trochę czasu, zanim Corson je rozpoznał. Łód, góry lodowe w próżni. Siady kilku miliardów ton wody, która wypłynęła przez wylom.

Zdawał sobie sprawę z tego, że niemal nic nie widzi z wydarzeń batalii, która zapewne toczyła się na obszarze wielu godzin świetlnych. Przyglądał się lokalnej potyczce. Lecz gwałtowność walk wystarczyła, by poinformować go o specyfice tej przestrzeni.

Przestrzeń ta nie graniczyła z Aergistaiem, ale była jego częścią. Logicznie. Wojny w kosmosie musiały toczyć się na Aergistalu, tak samo jak wojny lądowe, morskie i powietrzne. Potrzebne im było szczególne środowisko. I środowiska takiego dostarczono. Makieta, jeżeli ten Wszechświat był makieta, zbliżała się do doskonałości.

Kto też mógł bić się w tej przestrzeni? Ludzie? Kosmici? Ludzie przeciw kosmitom? Uwięziony w barierze wrak nie przypominał mu żadnego ze znanych typów krążowników. Jednakże, jeśli dobrze oceniał – odległości i wymiary są w kosmosie mocno zniekształcone – wrak ten mierzył ponad kilometr. Całe urządzenie musiało być przynajmniej trzykrotnie dłuższe. Corsonowi wydało się, że dostrzegł bezwładną ludzką, postać wirującą jak źdźbło pomiędzy szczątkami. Za daleko. Równie dobrze mógł to być kawałek metalu.

Toure odchrząknął. Wibracje ustały. Powietrze uspokoiło się i zastygło. Nie trzeba było krzyczeć, by się zrozumieć, chociaż w zmaltretowanych uszach pozostało widmo – mebrzęczenie.

– Nasza sytuacja jest nienadzwyczajna.

– Tego się obawiam – powiedział Corson.

Przemyślał już i po kolei odrzucił wszystkie możliwości. Liny podwieszające gondolę nie były wystarczająco długie, by można było opuścić się na powierzchnię oceanu. Jeżeli potną powłokę balonu, żeby sporządzić z niej spadochrony, grozi im, że oddzieli się ona od ekranu, a wtedy zginą w falach po upadku z wysokości kilometra. Nie było żadnej szansy, że balon odklei się sam. A nawet jeżeli uda im się zejść, w jaki sposób wrócą na ląd, odległy o przebyte z szaloną szybkością dziesiątki tysięcy kilometrów. Tkwili w pułapce, jak muchy złapane na lep.

Gdyby tylko przyszło zawieszenie – pomyślał Corson. Na początku, kiedy Toure mówił o Zawieszeniach, odczuwał głuchy, zwierzęcy lęk. Zawieszenie przypominało pewnie śmierć albo koniec świata. Obecnie było ono jednym z Jego życzeń. Lecz to nie miało sensu. Nie mogli wpłynąć na decyzje nieobliczalnych bogów, którzy stworzyli lub kierowali Wszechświatem. Przypominał sobie inne jeszcze zdanie Tourigo. Lecz wahał się wysnuć z niego wszystkie konsekwencje.

W kosmosie ujrzał jakieś skłębienie ciemności. Wydało mu się, że głębia ożywia się, nie pogmatwanym ruchem gwiazd, lecz tak, jakby całkiem blisko pojawił się rój. Fruwające w bezładzie muszki. Jak muszki nękające najbliższe okręty, które stały się bezpośrednio widoczne. Wydawało się, że z diaboliczną zreżnością muszki unikały strzałów okrętów. Jeden z krążowników eksplodował. Polem drugi. Dwie świecące fale oślepiły na chwilę Corsona, chociaż zabezpieczył się osłaniając oczy. Zastanawiał się, co się stanie, jeżeli jeden z okrętów zostanie trafiony tuż przy barierze. Bariera niewątpliwie wytrzyma, lecz czy promieniowanie zostanie pochłonięte w wystarczającym stopniu?

Muszki. Nagle Corson odgadł ich tożsamość. Były to hipprony. Ostatnie wątpliwości rozwiały się z chwilą, gdy jeden z nich zmaterializował się dokładnie po drugiej stronie bariery. Rozpoznał pas oczu bez powiek, sześć olbrzymich łap z rozstawionymi pazurami, drącymi próżnię, grzywą, witek rozwiniętych w przestrzeni, co nadawało mu wygląd monstrualnego anemona, i uprząż, a kiedy Bestia obróciła się wokół siebie, mundur żołnierzy Verana. Człowiek z drugiej strony bariery wydał niesłyszalny okrzyk zdziwienia na widok gondoli i jej pasażerów. Jego usta poruszyły się pod kaskiem. Chwilę później chmura hippronów cisnęła się przy barierze. Potem zniknęła.

Ukazała się już po drugiej stronie. Przeszkodę pokonały bez widocznego wysiłku. Otoczyły balon. Żołnierze czekali, z bronią skierowaną na gondolę. Antonella chwyciła Corsona za rękę. Toure otworzył usta i zapytał wycierając ręką zwilgotniałe czoło:

– Co to jest?

Nie ma czasu na odpowiedź. Pomysł kielkujący na granicy świadomości Corsona zmienił się w postanowienie. Nie mógł spodziewać się litości ze strony Verana. Spróbuje wziąć ich żywcem, a jego ludzie będą zabawiali się Antonellą

Corson zgrzytnął zębami. Nagle poczuł w ustach smak krwi. Podniósł głowę w kierunku powłoki balonu. Wodór w kontakcie z powietrzem eksploduje z łatwością. Niestety, temperatura wiązki z jego broni niewątpliwie nie wystarczy do wywołania reakcji łączenia.

Chciał rozpaczliwie, by to, co powiedział Toure, było prawdą. I tak będzie ją znał, ale jedynie wtedy, jeżeli hipotezy Tourego były uzasadnione, jeżeli w tym piekle śmierć była tylko prowizoryczna.

Wyciągnął broń z pochwy ukrytej wewnątrz skafandra i spokojnie otworzył ogień. Ujrzał rozzwierającą się powłokę balonu i rosnący płomień. Potem poczuł, jak go pożera, jak otwiera mu oczy nie na mrok nicości, lecz absolutną jasność. Poczuł płonąca twarz i ręce, a pęknięte bębunki oszczędziły mu krzyków pozostałych. I jego własnych. Wodór – pomyślał.

Spadał i czuł przy sobie ciało Antonelli, chociaż nie miał już ciała. W niezrozumiały sposób był żywy i nie miał wrażenia, że umiera. Choć gigantyczny płomień gnał wprost na niego, światło przygasało. Niebo stało się purpurowe, a potem czarne. Odróżnił na nim, jak na negatywie, białe hipprony na czarnym tle, a nawet wyrażające osłupienie zamarłe twarze kawalerzystów. Czuł, jak tężeje uścisk bezruchu. Płomień przestał rosnąć kilka centymetrów od jego twarzy, choć nie miał już twarzy. I wydało mu się, że ta cudowna równowaga będzie trwała całą wieczność.

Potem płomień zgasł.

21.

Zawieszenie kończyło się równie łagodnie, jak się zaczęło. Corson unosił się w Przestworzach o barwie purpury, choć nie pamiętał, żeby otwierał oczy. Olbrzymie, splątane i zespolone tuby pulsowały, rozciągały się i nabrzmiwały nagłymi przepuklinami dzielącymi się niespodziewanie na odgałęzienia, które same z kolei poczynają się rozrastać. Ani dołu, ani góry. Chociaż nie był zdolny ocenić odległości ani wymiarów, odnosił wrażenie gigantyzmu. Rozwaliłem sufit – pomyślał. – Wstąpiłem do nieba. Członki były mu nieposłuszne, lecz nie odczuwał niepokoju, raczej ciekawość. Powoli wracały wspomnienia. Po–zostawały niewypełnione miejsca, ale przychodziła mu z pomocą powolna rekonstrukcja, może niewierna, dokonująca się na skraju podświadomości.

W ten sposób uświadomił sobie, że miejsce, w którym się znalazł, jest zadziwiające. Zazwyczaj walczący budzili się w trakcie jakiejś walki. Opuścił Aergistal. Pewny był, że znajduje się po drugiej stronie niebieskiej powierzchni, Czy było to inne piekło, miejsce, gdzie walczyły istoty niewyobrażalne dla człowieka? Czy też wycofano go z gry, gdyż uczestniczył w niej nielegalnie? Może też inny los był mu przeznaczony?

Był sam. Wiedział o tym, chociaż nie mógł odwrócić głowy.

Ciszę przerwał głos, zakłócający ją jak różaniec pęcherzyków powietrza jasną wodę. Odebrał go najpierw jak czystą muzykę i upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiał, że zwracał się do niego, ale słowa pozostawały w jego pamięci jak gdyby została ona przemyślana, przetopiona, na nowo dziewicza i spragniona wiedzy.

– **I tak oto jesteś przestępcą wojennym.**

Odpowiedział po chwili zastanowienia:

– I tak oto jesteś bogiem.

W głosie wyczuwało się drwinę. Wydawał się on niemal dziecięcy, lecz brzmiał także nieomal nieodróżnialnymi, nieskończonymi echami, a on słyszał tylko jedno z nich, najbliższe, najbardziej dla niego zrozumiałe, choć w jego zakamarkach kryły się inne głosy i niektóre z nich były wstrętne. Był to prawie głos dziecka, lecz mógł być także głosem jaszczurki, pająka, ogniowym szeptem gwiazdy, piskiem szczura, szczękiem chitynowych skrzydeł chrabąszcza, artykułowanym tchnieniem wiatru.

– **Możemy więcej niż bogowie, których potraficie wymyślić.**

Corson zawahał się. Rozmowa rozpoczęła się dziwnie. Nie po to się tu znalazł, by prowadzić dysputę teologiczną. A może taki zwyczaj był w niebie? Chciał zmienić temat, lecz czuł się wciągnięty przez naturalny tok konwersacji. Jestem pod działaniem narkotyków – pomyślał – 1 to wyjaśnia wszystko. Potem zdał sobie sprawę z niewystarczalności wytłumaczenia. Ciekawość wzięła górę. Podjął wyzwanie.

– Bogowie są wszechmocni – powiedział.

– **Wszechmocni?** – powtórzył głos. – **Słowo. Pusty zbiór. Możesz tylko przypisywać im moce, które jesteś w stanie zdefiniować. A w konsekwencji nabyć.**

Corson zastanowił się ponownie. Propozycja wydała mu się sensowna. Poszukał i zdecydował się:

– Jesteście nieśmiertelni.

Głos znowu wydawał się rozbawiony.

– **Tak i nie. Nie widzisz różnicy między nieskończonym a nieograniczonym. Nie jesteśmy nieśmiertelni, jeżeli rozumiesz przez to, że nasze życia powinny być nieskończone. W tym sensie nic nie jest nieskończone, nawet Wszechświat, nawet to, w czym zawarty jest Wszechświat. Lecz nasze istnienia są nieograniczone.**

– Nieograniczone?

Ta koncepcja wydawała mu się niepojęta.

– **Nasze życia możemy powtarzać i przeżywać różnie, każdorazowo je zmieniając. Nic, co się dzieje w trakcie naszych istnień, nie marnuje się.**

– Pojmuję – powiedział Corson.

Dla tych istot egzystencja nie była nieodwracalną formą odlaną w brązie przeszłości, ślepo przedłużającą się w opary przyszłości. Istnienie było dla nich, od początku do końca, plastycznym, dającym się kształtować continuum. Nie znali przedtem ani potem. Ich życia nie miały długości. W istocie, zastanawiał się, jaka jest szerokość jednego ludzkiego istnienia? I jaka jest jego grubość? Ich życia tworzyły jedną zwartą i zdolną do odkształceń całość. W zależności od skutków zmieniali przyczyny. Dla nich teraźniejszość była tylko punktem widzenia. Kontrolowali czas. Z tej możliwości wynikała ich władza. Tak jak ludzie długo przykuci do odległości wyznaczonej możliwościami ich kończyn, odległości znikomej nawet dla wiekowego życia, podbili kosmos i żeglowali między gwiazdami, tak te istoty podbiły czas. Dla nich ludzie byli biednymi, bezsilnymi istotami, jak dla Corsona jego przodkowie uwięzieni na ciasnej przestrzeni.

Jest to władza straszliwa - pomyślał Corson - po czym dodał po cichu, gdyby mu to zaproponowano – **NIE JESTEM W STANIE JEJ SPRAWOWAĆ!**

– Nie jesteście ludźmi! – powiedział na głos.

Kim oni są, że tak zabawiają się naszymi istnieniami? Najeżdźcami z innej galaktyki, z innego wymiaru? Czystymi duchami, naszymi stwórcami, bóstwami z bajek?

– **Będziesz jak my** – powiedział głos.

Obietnica czy stwierdzenie faktu? Jakże mógłbym stać się jak wy, pozostając sobą, skoro nawet nie mogę pojąć waszej mocy? Gdzie podziali się dalecy potomkowie ludzkości? Czy zdolność rasy Antonelli zapowiada tę moc? Ile miliardów lat dzieli moją prymitywną istotę od oceniającego mnie niesamowitego potomstwa?

– Czy pojawiliście się... po nas? – zapytał głośno Corson.

Śmiech, który usłyszał, uspokoił go zamiast zirytować.

– **Nie pojawiliśmy się po was** – odrzekł głos. – **Istniejemy w tym samym czasie co wy, gdyż wypełniamy całe trwanie. Nasze obie egzystencje są raczej współbieżne. Lecz w znaczeniu bardzo szczególnym, jeżeli może cię to uspokoić, przybyliśmy po was, zrodziliśmy się z was.**

Są to zatem nasi potomkowie, a jednocześnie są o wiele starsi od nas .Z tego punktu przyszłości, w którym ich gałąź oddzieliła się od naszej. zawładnęli całym

wszechświatem, którego zajmujemy tylko śmieszna część. Zrodzili się z nas, lecz istnieją od naszych początków.

– A inne gatunki? Urianie?

– Nie ma różnicy – odrzekł głos.

Nie ma różnicy. Stanowcza odpowiedź. Za wcześni, by domagać się odpowiedzi na tę odpowiedź.

– Gdzie jesteśmy? – z wahaniem zapytał Corson.

– **Na zewnątrz Wszechświata, na jego powierzchni albo jego powłoce. By go zrozumieć i by go zmienić, należy go opuścić.**

Powłoka wszechświata. Czy z tego powodu zwyczajne prawa fizyki nie działają na Aergistalu? Czy dlatego mogą oni robić tam to, co zamierzeli? A co jest dalej?

– A co jest poza Wszechświatem?

– **Wszechświat posiada swą własną moc – odrzekł głos. – Coś niezależnego od czasu i przestrzeni. Zewnętrzność nie wywiera żadnego wpływu na wnętrze, a zatem nie jest bezpośrednio poznawalna.**

Ślepa uliczka. Czyżby zatem istniała granica władzy tych istot, czy też są to ograniczenia wynikające z ubóstwa jego własnych pojęć?

Corson postanowił wrócić do własnej sytuacji.

– Czy będziecie mnie sądzić?

– **Jesteś sądzony** – odpowiedział głos.

– Nie jestem zbrodniarzem – zaprotestował Corson z nagłą niecierpliwością. – Nigdy nie miałem wyboru...

– **Będziesz miał wybór. Będziesz miał możliwość naprawienia, przzerwania łańcucha zbrodni. Przerwania serii wojen. Powrócisz na Urię. Wyleczysz się z wojny.**

– Do czego wam jestem potrzebny? Dlaczego, posiadając taką władzę, nie zakazacie wszelkich wojen?

– **Wojna jest częścią historii tego Wszechświata – odrzekł cierpliwie głos. – W pewnym sensie my także zrodziliśmy się z wojny. Chcemy zlikwidować wojnę i osiągamy to – osiągnęliśmy to – z pomocą tych, którzy walczą, w ich interesie, by stali się takimi, jakimi mogą się stać. Ale nie możemy dzielić naszej władzy z istotami, które wojny nie przewyciężyły. Być może moglibyśmy, teoretycznie, znieść wojnę dzięki naszej mocy – siłą – lecz miałyby miejsce sprzeczność w pojęciach. Walczylibyśmy przeciwko sobie samym. Postanowiliśmy zmienić ten Wszechświat. A zmienić go można tylko wykorzystując jego własny budulec. Do tego służy Aergistal. Spełnia on trzy funkcje.**

Wykorzenienie wojny: Aergistal kształci przekonanych zwolenników pokoju, po dłuższym lub krótszym okresie czasu. Aby wykorzenić wojnę, trzeba ją zrozumieć: Aergistal posiada olbrzymią liczbę pól bitewnych. Na Aergistalu nie istnieją konflikty między imperiami, między planetami, między gatunkami. Jest to tylko dalekie tło, odległa motywacja. Gdy wiemy, że wojna nie sprowadza się wyłącznie do konfliktów. Rozciąga się ona i przedłuża sama z siebie o wiel poza powody zatargu, nawet wtedy, gdy jej przyczyny dawno zniknęły. Wojna posiada wielokształtną strukturę, ale tylko

zewnątrznie. Dzięki próbowkom Aergistalu poznajemy ją i doprowadzamy do tego, by ci, którzy ją wywołują, zrozumieli ją.

Wojna jako struktura! Coś posiadającego pewną autonomię, rodzącego się może przy okazji jakiegoś konfliktu, lecz potem żywiącego się substancją i energią walczących. wyjaśniało to, jeszcze w mglisty sposób, że wojny były w historii ludzkości – przed Corsonem – we wszystkich epokach. we wszystkich ustrojach. regularnie jakaś grupa ludzi stawiała sobie za zadanie zniesienie wojny, lecz bezskutecznie, co najwyżej udawało im się opóźnić ją, urządzić oazę pokoju na wiek lub dwa, rzadziej na tysiąclecie między dwiema pożogami. a ich uczniowie narzucali pokój za pomocą wojny.

Dlaczego między mocarstwem słonecznym a Imperium Urm srożyła się wojna? Z powodów kosmicznych? Przez ambicje przywódców?

Z obawy przed masami były to ważne powody, lecz nie one były najistotniejsze. Wojna przeciw Urii była substytutem grożącej wybuchem wojny między planetami ludzi, a mającej początki w dawnych, źle podpisanych układach. Układach, które zawarto w wyniku jeszcze starszych wojen. W ten sposób można było cofnąć się aż do wojny, która spustoszyła ziemię tysiące lat przed narodzinami Crsona i która poprowadziła ludzkość ku gwiazdom zmuszając ją do prowizorycznego opuszczenia rodzinnej planet, a nawet jeszcze dalej, ku pierwszej z wszystkich bitew, do kamienia podniesionego przez jednego pitekantropa przeciw drugiemu i podobnie było z historią innych gatunków. z prawie wszystkimi gatunkami. z tymi, które obecnie były na Aergistalu.

Często zastanawialiśmy się, za jaką, sprawę walczymy - myślał Corson - lecz niemal nigdy, lub za rzadko, za krótko, dlaczego wywołujemy wojnę. historia jest skażona. jesteśmy mrówkami, które walczą ze sobą z przyczyn, które uważają za oczywiste, a które kryją gigantyczny mrok i absolutną ignorację. aergistal jest laboratorium.

– Trzecią funkcją Aergistalu – powiedział głos – jest ocalenie wojny. Wojna jest jednym z życiowych działań. Stanowi część naszego dziedzictwa. Możliwe, że będziemy potrzebowali jej technik. Coś może wynurzyć się z Zewnątrz Wszechświata. Aergistal jest frontem. Jest także murem obronnym.

Nagle głos stał się napięty, a może nabrzmiały smutkiem. Corson próbował wyobrazić sobie Zewnątrz. Lecz tak absolutna abstrakcja umykała jego zmysłom. Nieprzenikniona czerń. Nie–czas. Nie–odległość. Nic i może jeszcze coś innego. Gdybym był liczbą, pomyślał Corson, liczbą jeden, jakże mógłbym wyobrazić sobie liczbę liczb, ostatnią ze wszystkich liczb?

– Wykorzeń wojnę – ciągnął głos. – Poznać wojnę. Ocalić wojnę. Pozostawiamy ci wybór. Zostaniesz wysłany na Urię dla rozwiązania problemu. Jeżeli ci się nie powiedzie, wrócisz tutaj. Jeśli go rozwiążesz, będziesz wolny. We właściwym czasie przestaniesz być przestępcą wojennym. Ale przede wszystkim zrobisz krok naprzód.

* * *

Powietrze wokół Corsona zgęstniało. Dookoła niego materializowały się ścianki. Leżał w długiej skrzyni o metalicznym połysku... Trumna.

Albo puszka konserw.

– Ej! – krzyknął Corson. – Dajcie mi broń, cokolwiek.

– **Masz mózg** – stanowczo odpowiedział, głos. – **I otrzymasz niezbędną pomoc.**

– Urząd bezpieczeństwa... – zaczął Corson.

– **Nie mamy z nim nic wspólnego** – odparł głos. – **Poza tym, on nadzoruje wiekami tylko w Potrójnym Roju, w jednej galaktyce.**

Krótko mówiąc – pomyślał Corson, zanim pograżył się w ciemności – *garść prochu.*

22.

Minos, legendarny sędzia umarłych. Trybunał, przed którym nie ma odwołania. Corson śnił na granicy świadomości. W myślach przetrawiał to, co usłyszał. Antonella. Przekleci pacyfiści u schyłku czasów, niezdolni do wykonywania swej pracy sami. W ich rękach jesteśmy pionami. Tyrani. Spadam i wiruję, bezwładny, ślizgając się między oczkami siatki istnienia, rzucony ręką jakiegoś boga. Rób, co chcesz, postanowił bóg, lecz uspokój ten wojenny zgiełk, który płoszy mi sen.

Siatka utkana była z ludzkich ciał. Każdy węzeł był człowiekiem, a każdy z nich trzymał rękami kostki dwóch innych ludzi i tak w nieskończoność. I ci nadzy ludzie szarpali się, wykrzykiwali przekleństwa, próbowali drapać, przyciągnąć się, by gryźć. Od czasu do czasu jeden z nich puszczał się i wkrótce pochłaniała go otchłań. Powstała dziura szybko wypełniała się przez niezrozumiały uślizg oczek. A Corson, jak niewidzialna ryba, przepływał między rozpiętymi kończynami.

Śnił, że się zbudził. Błądził po olbrzymim i wspaniałym mieście. Jego wieże pięły się ku niebu, nie jak maszty, raczej jak drzewa, rozgałęziając się i dzieląc, by chesać wiatr. Ulice, niby liany, rzucono nad przepaścią.

Czuł serce ściśnięte trwogą, której nie umiał w tym momencie wyjaśnić. Po czym przypomniał sobie przyczynę swej obecności. Skrzynka zwisająca na pasku na jego piersi była maszyną do podróżowania w czasie. Na obu przegubach rąk miał zegarki, a były to chronometry skonstruowane z niezwykłą precyzją, gdyż było niesłychanie istotne, aby mógł czytać w czasie, pozostać jego panem. Na szkiełku każdego chronometru namalowana była, a może wygrawerowana, cienka czerwona linia, wskazująca dokładnie godzinę, minutę i sekundę. Wiedział, że była to sekunda. Według położenia dużej wskazówki mógł odczytać, że zanim osiągnie ona czerwoną linię, upłynie ponad pięć minut. I na zegarze maszyny do podróżowania w czasie migwały cyferki mówiące to samo, odliczające minuty, sekundy i ułamki sekund. Wiedział, że maszyna nastawiona była tak, by wysłać go w przeszłość – lub w przyszłość – tuż zanim duża wskazówka osiągnie czerwoną linię.

Czerwona. Zaraz stanie się rzecz przerażająca. Jednakże w mieście panował taki spokój. Nikt jeszcze niczego nie podejrzewał. I w miarę, jak kondensowała się atmosfera trwogi, Corson zastanawiał się, jak doczekać krytycznej chwili nie krzycząc.

Taki spokój panował w mieście. Zawieszonym ulicom, wydłużonym gałęziom wież wiatr nadawał powolne drgania. Jakaś kobieta bawiła się wygładzoną tabliczką zdobiącą jej szyję. W ogrodzie artysta rzeźbił w przestrzeni. Śpiewały dzieci i rzucały w powietrze kolorowe kule, które krążyły wokół siebie i leniwie opadały na ziemię. Pograżonemu we śnie miasto jawiło się jak niemal nieruchoma, fragmentami tylko ożywiona, skomplikowana rzeźba.

Za niecałe dwie minuty miasto zostanie zniszczone przez atomowe miecze, będące już w drodze, ryczące w wysokich warstwach atmosfery i pozostawiające za sobą grzmot torturowanych ich napędem przestworzy. Śniącemu groźba ta wydała się niewiarygodna, a jednak dokładna chwila jej spełnienia wygrawerowana była na szkle obu zegarków. Wiedział, że ocaleje ze zniszczenia, a z miasta zostanie mu tylko obraz jego spokoju. Nie ujrzy płomienia tysiąca słońc i upadku topionych jak wosk wież, i erupcji rozbudzonej w sercu ziemi lawy, i parowania ciał jeszcze przed spalaniem, a wreszcie, później, o wiele później, krzyku rozdartego powietrza. Miasto pozostanie w jego pamięci takie, jakie było, wyrwane z czasu. Jego zniszczenie będzie dla niego tylko odległym, historycznym i abstrakcyjnym zdarzeniem.

Jednakże obawiał się pewnej rzeczy, niedokładnie wiedział czego, lecz której jego maszyna do podróżowania w czasie nie będzie mogła mu zaoszczędzić.

Przyszło to nagle. Miasto było spokojne. Kobieta zawyła. Pociągnęła tak gwałtownie za łańcuch otaczający jej szyję, że pękł, a ona odrzuciła daleko od siebie tabliczkę z wypolerowanego metalu. Dzieci, płacząc, rozbiegły się w popłochu. Krzyk, który wzbił się nad całym miastem, spadł na przybysza. Zrodził się z milionów piersi, wydobywał z milionów ust. Stawiał czoła bladej wież. Nie było w nim nic ludzkiego.

Corson słuchał krzyczącego miasta, jak wielkiej, rozszarpującej się istoty, która rozpada się, eksploduje w miliardy przerażonych drobin, jednoczących się tylko w swej trwodze.

Powinien podnieść ręce do uszu, ale nie mógł. Teraz sobie przypominał. Mieszkańcy tego miasta umieli przewidywać przyszłość, wyrwać jej kilka chwil i poznać nadchodzące zdarzenia.

Wiedzieli, że spadną bomby. Będą krzyczeli aż do ich wybuchu. Czuli ogień i wielką jasność, i nieskończoną noc

A on, obcy, pograżony we śnie wiedział, że nie będzie mógł nic zrobić, że nie ma czasu, aby ich ostrzec. Nie miał nawet czasu powiedzieć im o ich śmierci, zanim wewnętrzne oko ich o tym powiadomiło. Nie zobaczy, jak umrze miasto, lecz będzie słyszał jego krzyk.

Duża wskazówka pokryła się niemal z cienką czerwoną linią, ale obcemu tutaj chwile dłużyły się przeraźliwie. Wstrząsając nim, przyszedł samotny niepokój. Może skrzynia, którą miał na piersi, nie była maszyną do podróżowania w czasie? Może był tylko mieszkańcem tego miasta, skazanym, jak inni, na zagładę?

Otworzył usta. W tym samym momencie maszyna zadziałała. Był uratowany. Sam. Sam jeden.

Znajdował się już gdzie indziej i krzyk umilkł. Próbował sobie przypomnieć. Wiedział, że śnił i że już raz miał ten sam sen. Na jego obu przegubach dwa doskonałe zegarki wskazywały nieubłaganą identyczną godzinę. Był panem czasu. Na jego oczach niskie i płaskie miasto, pocięte kanałami, rozkładało się na brzegu fioletowego morza.

Zaczął wyć, sam, w ciszy naruszanej tylko krzykiem ptaków. Ktoś, bardzo daleko, odwrócił się nie rozumiejąc.

23.

Ciemność i sześć metalowych ścianek pozwalających mu zaledwie na ruszanie rękami. Leżał na plecach. Ciężenie stała się w przybliżeniu normalne, takie jak na Ziemi, z dokładnością do dziesięciu procent. Nie bał się. Mocno naparł na pokrywę skrzyni, ale bezskutecznie. Potem ktoś albo coś drasnęło metal i wzdłuż jednego z brzegów pojawiła się błyszcząca krecha. Chwilę później skrzynia otworzyła się i Corson, oślepiiony ostrym światłem, próbował się podnieść.

Powietrze przesycone było zapachem chloru. Wpadł w ręce Urian. W miarę jak jego oczy przyzwyczajały się do światła, powoli rozpoznawał trzy pochylone nad nim postacie, nieco przypominające ludzkie, trzy rogowe dzioby, trzy za małe głowy ozdobione czubem, trzy chude i długie szyje, wyschłe ręce, krótkie i masywne tułowia o wystających mostkach.

Obleciał Wszechświat, żeby skończyć jako królik doświadczalny pod nożem jakiegoś Urianina.

Czekał na ból.

– Nie obawiaj się, człowieku Corson – zapiszczał jeden z Urian.

Zesztywniałemu Corsonowi udało się jakoś usiąść.

Znajdowali się w obszernej sali, zawieszonych jedwabnymi tkaninami, bez okien, bez widocznych drzwi. Przypominała dosyć wiernie uryjskie wnętrza, tak jak je sobie wyobrażano na Ziemi, w epoce wojny.

Czy zwyczajem bogów czasu jest wydawanie przestępców wojennych ich wrogom?

Jeden z Urian, wyraźnie starszy od innych, siedział na czymś w rodzaju tronu, który Corsonowi przypominał raczej grzędę. Urianie wywodzili się z gałęzi ewolucji porównywalnej na Ziemi do odgałęzienia ptaków. Ich wygląd dostarczał kilku informacji na ten temat, co zostało potwierdzone przez sekcję zwłok (zgodnie z oficjalną wersją), które znalazły się w rękach Ziemiaków. Kora ich mózgu była stosunkowo mało rozwinięta, lecz bardzo rozbudowane było ciało prążkowane. Wśród Ziemiaków na temat mózgowi Urian krążyły przeróżne dowcipy. Ale Corson nie był skłonny dawać im wiary. Wiedział, że nawet na Ziemi niektóre ptaki – zwyczajny kruk – przejawiają zadziwiającą inteligencję, zbyt też dobrze znał konsekwencje przenikliwości Książąt Urii. Olbrzymia część ludzkiego mózgu przeznaczona jest do odszyfrowywania i integracji spostrzeżeń, a stosunkowo niewielka część pracuje abstrakcyjnie. U Urian spostrzeżenia były dosyć ograniczone, przynajmniej z ludzkiego punktu widzenia. Ostrość wzroku mieli w zasadzie o wiele lepszą niż ludzie, lecz zdolność odróżniania kolorów była o wiele mniejsza. Ich słuch był tak marny, że sztuka muzyki nigdy

nie przekroczyła poziomu rytmu. Niedorozwinięty był zmysł dotyku w związku z ukształtowaniem organów chwytnych – raczej szponów niż rąk – i z powodu szczątkowego puchu pokrywającego ich ciało. Przejawiali natomiast dużą skłonność do abstrakcyjnego rozumowania i dyskusji filozoficznych. Krótko mówiąc, gdyby znał Ich Condillac, odrzuciłby hipotezę sensualistyczną.

– Przysłali nam człowieka – nie kryjąc pogardy rzekł stary Urianin.

Corson zaczął ostrożnie stawiać nogę na ziemi.

– Zanim podejmiesz nierozważne kroki – ciągnął stary Urianin – wypada mi poinformować cię stosownymi słowami o pewnych faktach. Nie dlatego, byśmy obawiali się czegokolwiek z twojej strony (tu wskazał na trzy skierowane przeciw niemu lufy), ale dlatego, że zapłaciliśmy za ciebie bardzo drogo i szkoda byłoby cię uszkodzić.

Wstał i nalał sobie wielką szklanekę wody chlorowej. W czasach Corsona wielkie upodobanie Urian do chloru było jeszcze jednym tematem dowcipów.

– Jesteś przestępcą wojennym. Nie możesz opuścić tej planety nie narażając się na zatrzymanie i skazanie na nie wiem jaką karę przez swych ziomków. Nawet na tej planecie szybko odkryjesz, jeżeli będziesz wolny, że wada ta znacznie ogranicza twoje możliwości. A zatem musisz być z nami, a nawet liczyć na nas. Nie masz wyboru.

Pokiwał się przez chwilę, pozwalając słowom zapaść głęboko w umysł Corsona. Potem podjął:

– Potrzebujemy specjalisty do spraw wojny. Kupiliśmy cię za wysoką cenę od pośredników, których nie musisz znać.

Zbliżył się do Corsona krokiem niesamowicie upodabniającym Urian do olbrzymich kaczek przebranych w bogate stroje i do tego śmiertelnie niebezpiecznych.

– Nazywam się Ngal R'nda. Możesz zapamiętać to nazwisko, człowieku Corson, gdyż nie zamierzam abdykować lub przeżyć jakiegoś nieprawdopodobnego niepowodzenia. Jesteś jedynym człowiekiem znajdującym mnie od tej strony. Dla twoich ziomków jestem pokojowo nastawionym Ngal R'ndą, nieco rozczarowanym starcem, przekomarżającym się z muzami, jak to widział niegdyś u ludzi, będąc w swoim czasie historykiem. Dla tych wszystkich – i tu wskazał szerokim gestem towarzyszy – jestem prawdziwym Ngal R'ndą, jedynym potomkiem starego rodu Książąt Urii, wyklutym z błękitnego jaja. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, człowieku Corson, co w dawnych czasach znaczyło jajo o błękitnej skorupie. Ani co znaczy ono dla garstki wiernych jeszcze dzisiaj. Ponad sześć tysięcy lat temu na Urii królowali Książęta błękitnej skorupy. Niestety I Na okrętach pełnych kłamstw przybyli ludzie i wkrótce zaczęła się wojna. Długa i straszliwa wojna, podczas której Ziemia nieraz omal nie padła pod dziobem Urii. Ale nikt jej nie wygrał. Jedynie Książęta Urii ją przegrali. Z masakry i znuzenia powstał bękarczi pokój. Ludzie i Urianie na znak dobrej woli przyznali sobie ustępstwa na swoich planetach. Okazało się jednak, że Urianie nie mogli żyć na Ziemi i odstąpili od swego przywileju. Za to Ziemia prosperowała na Urii w najlepsze i w krótkim czasie ci, którzy byli zakładnikami, stali się władcami. Ich potomstwo było liczniejsze niż potomstwo Urian. A zwłaszcza okazali się oni zdolni, by móc wykorzystywać z niewiarygodną zawziętością swe ciężkie umysły do rozwiązywania problemów niegodnych Książąt Urii oddanych najwyższym medytacjom. I w ten sposób Książęta Urii przegrali wojnę, której ludzie nie wygrali i w której

Urianie nie zaznali klęski. Zdrada, zdrada, szkaradna zdrada pokoju. I zdarzyło się najgorsze. Społeczeństwo Urii, wstrząsane wojną, a następnie ponizającym kontaktem z ludźmi, odwróciło się od kultu błękitnego jaja. Rozpowszechniły się mity o domniemanej równości. Urianie stracili swoją dumę. Wegetowali, ustępując ludziom cal po calu własną ziemię, i to bez walki.

Minęły wieki i tysiąclecia. Lecz najczystszy puch Urii –powiniennem powiedzieć sam kwiat, by mnie zrozumiano –nie zapomniał. Może nadszedł czas, by zrzucić jarzmo. Z tego, co wiemy, Urząd Galaktyczny jest schorzały – nie będzie mógł interweniować przez wiek lub dwa. To więcej czasu niż potrzeba, by odbudować flotę i wrócić na drogi podboju. Ale przedtem jeszcze musimy zapanować na tej planecie, naszej planecie, i przepędzić z niej ludzi.

Zamilkł na chwilę, wbijając przecięte pionową tęczęwką oczy o podwójnej powiece w Corsona, który nawet nie drgnął.

– I w takim momencie wchodzisz, do akcji. Zapomnieliśmy, jak się prowadzi wojnę. Nie zapomnieliśmy teorii, gdyż wśród nas każdy potrafi dokonywać myślowych spekulacji, lecz zapomnieliśmy twardej praktyki. Posiadamy przerażającą broń, tę samą, którą najroztropniejsi z Książąt Urii ukryli we wnętrzu planety sześć tysięcy lat temu. Ale potrzebujemy małego zwierzęcia, które dzięki swemu chytremu i zarozumiałemu mózgowi będzie umiało powiedzieć nam, kiedy uderzyć i gdzie uderzyć. Potrzebujemy ciebie. Nie myśl, że nie doceniam ludzi, ja nimi pogardzam, a to co innego. I w głębokich nocach moich medytacji postanowiłem: użyj przeciw ludziom najlepszej broni, człowieka.

Nie protestuj, człowieku Corson. Twój interes jest po naszej stronie. Zostałeś osądzony, skazany i odrzucony przez swoich. Wśród nich nie znajdziesz dla siebie zbawienia. Podczas gdy służąc chwale błękitnego jaja Urii będziesz wolny, równie wolny jak prawdziwy pochodzący z jaja Urianin, i królował będziesz nad ludzkimi niewolnikami. Jeżeli zamierzasz nam się oprzeć, człowieku Corson, twoja wola na nic się nie zda. W zakazanych naukach jesteśmy specjalistami i nie zapomnieliśmy niczego z doświadczeń dokonywanych ponad sześć tysięcy lat temu nad niektórymi z was. Ale obawiam się, że wtedy przestałbyś być sobą. A ponadto nie jesteś niezastąpiony, człowieku Corson. W naszych czasach odbywa się wielki handel ludźmi wojny. Na wielu planetach żyją istoty, które dążą do pozbycia się kurateli Urzędu i które za wysoką cenę kupują najemników. A ci zazwyczaj myślą tylko o zemście. Nienawiść do własnego gatunku potęguje ich talent. Mam nadzieję, człowieku Corson, że ci, którzy dostarczyli nam ciebie, nie pomylili się oceniając twój talent. Jesteś na drodze, która prowadzi tylko w jednym kierunku: zwyciężyć dla nas.

– Rozumiem – powiedział Corson.

Urianie mieli reputację istot elokwentnych i ten nie był wyjątkiem. Ale Corson nie uzyskał jedynej informacji, której sobie życzył: daty. Czy powrócił przed, czy też jest po swoim pierwszym pobycie na Urii? Czy to nowe niebezpieczeństwo współistniało z dwoma poprzednimi. Bestią wypuszczoną w dżunglę Urii i szaleńczymi planami podboju Verana? Czy nie był to zbyt duży zbieg okoliczności? Czy istniała zasada równowagi, zgodnie z którą katastrofy można było opóźnić, lecz nie można było ich uniknąć?

A to nazwisko, Ngal R'nda. Floria Van Nelle wspominała o nim. "Ngal R'nda jest jednym z moich najlepszych przyjaciół". Wtedy nie przywiązywał do tego takiej wagi. Dokładnie pamiętał to zdanie. Szczególne.

Postanowił nie pytać o datę. Nigdy nie znał roku swojego pierwszego pobytu. Miał jednak znak rozpoznawczy.

– Czy ostatnio na Urii nie zauważono dzikiego hipprona?

– Stawiasz dziwne pytania, człowieku Corson. Ale to nie wydaje mi się groźne. Żaden dziki hippron nie został zauważony na tej planecie od wieków, a może od tysiąc leci.

Dwie możliwości. Dzisiejsza scena odgrywa się przed moim upadkiem na Urię albo w chwilę potem, podczas gdy bestia, pod ziemią, przygotowuje swoje osiemnastotysięczne potomstwo. W tym drugim przypadku przedział niepewności mieści się w okresie sześciu miesięcy.

– O.K. – powiedział Corson stosując archaiczną formułę – przekonałeś mnie. Jestem z wami. Czy posiadacie jakąś armię?

– Armia jest mało subtelnym sposobem prowadzenia wojny.

– A jaki jest inny sposób?

– Szantaż, morderstwo, propaganda.

– Rzeczywiście, same subtelności – zauważył Corson. – Ale wam jest potrzebna armia.

– Mamy broń – powiedział Urianin – która nie potrzebuje obsługi. Stąd mogę zetrzeć z powierzchni planety dowolne miasto Urii, dowolny obiekt czy też człowieka. Ciebie także, ma się rozumieć.

– W takim razie, do czego jestem wam potrzebny?

– Powiesz nam, w jakie cele należy mierzyć, jak stopniować eskalację. Twoje propozycje, zanim je wykorzystamy, zostaną starannie przeanalizowane. Twoim obowiązkiem będzie prowadzenie z ludźmi rokowań. Gdy do tego dojdzie, będą cię wystarczająco nienawidzili, by przestała cię kusić zdrada.

– Jakie są warunki poddania się?

– Na początek musi zostać uśmierconych dziewięć na dziesięć kobiet. Płodność ludzi winna pozostać w dopuszczalnych granicach. Zabicie mężczyzn nic by nie dało. Jeden mężczyzna może zapłodnić wiele samic. Ale samice są słabym punktem waszego gatunku.

– Nie dadzą się tak łatwo – powiedział Corson. – Będą się bronić jak demony. Jeśli przyciśnię się go za mocno, rodzaj ludzki może okazać się straszliwie twardy.

– Nie będą mieli wyboru – powiedział Urianin.

Corson skrzywił się.

– Jestem zmęczony i głodny – powiedział. – Czy zamierzacie rozpocząć wojnę natychmiast, czy też mamy trochę czasu na odpoczynek i posiłek?... I trochę czasu na myślenie?

– Mamy czas – odpowiedział Urianin.

Na dany znak – strażę opuściły broń i zbliżyły się do Corsona.

– Zabierzcie naszego sprzymierzeńca – powiedział stary Urianin – i traktujcie go należycie. Wart jest więcej niż pierwiastek 164 o równej mu wadze.

24.

Urianin z niskiej kasty, o przyciętym czubie, łagodnie obudził Corsona.

– Musisz się przygotować do ceremonii, człowieku Corson – powiedział.

Zaprowadził go do umywalni, której urządzenia nie były przystosowane do potrzeb ludzi. Woda miała okropny zapach chloru i Corson używał jej bardzo oszczędnie. Zdołał jednak umyć się i ogolić. Następnie Urianin ubrał go w żółtą tunikę podobną do tej, jaką sam nosił. Chociaż najwyraźniej została ona przygotowana dla Corsona, rękawy były trochę za krótkie, a tren za długi. Prawdopodobnie krawiec nie miał większego pojęcia o anatomii człowieka.

Urianin zaprowadził Corsona do stołówki, gdzie się posilił. Metabolizmy ludzi i Urian różniły się tak bardzo, że pożywienie jednych było trucizną dla drugich i Corson z nieufnością odnosił się do tego, co mu podano. Lecz wielkie ptaszysko uspokoiło go.

– To prezentacja Jaja, człowieku Corson – odpowiedział uroczystym tonem, gdy Corson zapytał go o ceremonię.

– Jakiego jaja? – zapytał Corson z pełnymi ustami.

Wydało mu się, że z Urianinem jest niedobrze. Z jego dzioba wydobyły się pogdakiwania, które Corson wziął za przekleństwa albo może za rytualne formułki.

– Wielce Czcigodne Błękitne Jajo Księcia – powiedział wreszcie Urianin, jakby miał gardło pełne dużych liter.

– Rozumiem – powiedział Corson.

– Żaden człowiek nigdy nie uczestniczył w prezentacji Jaja. To bardzo wielkie szczęście dla ciebie i wielki honor, na który przyzwala Księżę R'nda.

Corson skinął głową.

– Jestem o tym przekonany.

– A teraz pora już iść – rzekł Urianin.

Znaleźli się w wielkiej, pozbawionej otworów, eliptycznej sali. Od czasu, gdy wpadł w ręce Urian, Corson nie zauważył żadnego okna, żadnego otworu prowadzącego na zewnątrz. Tajna baza znajdowała się zapewne głęboko pod ziemią.

Około setki Urian cisnęło się w sali zachowując pełną powagi ciszę. Tłumek rozstał się przed Corsonem i jego przewodnikiem, dzięki czemu znaleźli się w pierwszym rzędzie. Asystujący ceremonii nosili tuniki w różnych kolorach i według nich tworzyli grupki. Corson i Urianin z niskiej kasty byli jedynymi osobami w żółtych tunikach w pierwszych rzędach, zapelnionych przez jednakowo ubranych we wpadające w błękit fioletowe stroje. Corson usłyszał wokół siebie gdakanie i bez trudu wywnioskował, że wysoko urodzeni sąsiedzi okazywali oburzenie z powodu jego obecności. Odwrócił głowę i popatrzył w głąb sali. Za fioletowymi dostojnie czekali czerwoni, a jeszcze za nimi pomarańczowi. Na samym końcu opuszczali głowy Urianie ubrani w żółte tuniki.

Przed nim, niemal u szczytu elipsy zamkniętej ścianami sali, wznosił się metalowy blok. Niby stół, a może skrzynia czy też ołtarz. Po plecach przebiegł mu dreszcz.

Mam nadzieję, że to nie ja zostanę złożony w ofierze - pomyślał półzartem. Wolałbym nie odgrywać roli młodej dziewicy z historycznych powieści. Z tego, co wiedział, niczego w tym rodzaju nie musiał się obawiać. Urianie nie znali pojęcia boskości. Zmarłym składali cześć

tylko symbolicznie. Ich metafizyka – jeśli można użyć tutaj tego słowa – była skierowana wyłącznie na pojęcie rodziny. Rodzina była uważana za nieśmiertelną, a jednostki były tylko jej przejściowym przydatkiem.

Pociemniało. W ścianie, u szczytu elipsy, za metalowym blokiem, pojawił się otwór i stopniowo powiększył się. Nastąpiła cisza. Na salę wkroczył R'nda. Ubrany był w przepyszną, jaskrawoniebieską, metalizowaną togę, której skraj ciągnął się po ziemi. Zajął miejsce za metalowym blokiem twarzą do zebranych, podniósł swe pozbawione ciała ramiona nad głowę I wymówił kilka słów w języku staro-uryjskim.

Tłumek odpowiedział mu nieco wyższym tonem.

A jednak bardzo nas przypominają – pomyślał Corson – mimo różnicy pochodzenia. Czy to przypadek? Czy też inteligencja podąża zawsze prawie tymi samymi drogami?

Ngal R'nda utkwiał swe żółte oczy w Corsonie.

– Patrz, człowieku Ziemi, patrz na to, czego nigdy żaden człowiek przed tobą nie widział – powiedział świszczącym głosem.

Metalowa skrzynia otworzyła się I powoli wynurzyła się z niej rzeźbiona kolumna, na której objęte trzema złotymi szponami spoczywało ogromne błękitne jajo.

Corson o mało się nie roześmiał.

Było to błękitne jajo, z którego wyszedł Ngal R'nda. Wkrótce po jego wykluciu starannie zebrano fragmenty jaja i dokładnie je odtworzono. Z miejsca, w którym się znajdował, Corson dostrzegł spojenia upodabniające jajo do wypolerowanej czaszki. Ngal R'nda zamierzał przypomnieć wiernym własne pochodzenie. Pokazując im błękitne jajo, wspominał chwalebny historię Urian, stare rody walecznych Książąt. Bez jaja Ngal R'nda, mimo swych talentów, był niczym. Jajo było niepodważalnym symbolem, dowodem jego przynależności do legendarnej rodziny.

Corson mimo woli był zafascynowany jajem. Naukowa Część jego mózgu zbierała okruchy historycznych wspomnień. Przed Pierwszą Zbiorową Cywilizacją, na Starej Ziemi, rodziny odgrywały podobną rolę, jaką obecnie Jeszcze spełniały one w społecznym życiu Urian. Wtedy opłacało się urodzić w potężnej rodzinie. Gwałtowne zniszczenie Pierwszej Zbiorowej Cywilizacji, spowodowane wojną współistnienia, pogłębione następnie przez rozproszenie między gwiazdami uciekinierów Ziemi, która stała się przejściowo niezdatna do zamieszkania, nie przysporzyło rodzinom znaczenia. Socjologowie – za czasów pierwszego życia Corsona – uważali, że ludzkość przekroczyła pewien nieodwracalny etap technologiczny. Ale dlaczego Urianie, którzy osiągnęli równorzędny poziom technologiczny, nie wykroczyli poza stadium społeczne oparte na dziedziczności? Z historycznego punktu widzenia był to paradoks.

Rozwiązanie – pomyślał Corson – znajduje się przed jego oczyma. Urianie – przynajmniej wysokie kasty – praktykowali, niemal od początków swej historii, bezlitosną politykę selekcji genetycznej. Odkryli, może nawet empirycznie, że zabarwienie jaj ma jakiś związek z cechami osobowości mającego się wykluczyć Urianina. I niewątpliwie było o wiele łatwiej, z uczuciowego punktu widzenia, nie wysiadywać lub nawet zniszczyć nieruchome jajo niż opuścić albo zabić małą, delikatną i szamocącą się istotę. Jednak ludzie i Urianie głęboko się różnili.

– Patrz, człowieku Ziemi – powtórzył Urianin. – Gdy zginę, jajo to starte będzie w proch, jak ścierane były jaja moich przodków, a proch ten zostanie zmieszany z moimi popiołami. Oto jajo, z którego wyszedłem i które rozbiłem mym dziobem po raz pierwszy. Oto jajo, które chroniło ostatniego Księcia Urii.

W głębi sali powstało zamieszanie. Ngal R'nda dał znak i jajo zniknęło w skrzyni. Jakiś Urianin w żółtej tunice z trudem torował sobie drogę przez tłumek, potrącił Corsona i pogdakując piskliwie pokłonił się przed Ngal R'ndą.

Ngal R'nda wysłuchał go, po czym odwrócił się do Corsona i powiedział w pangalu:

– Przed chwilą oddział uzbrojonych ludzi zajął pozycje o pięćdziesiąt kilometrów stąd. Towarzyszą im Bestie, hipprony. Przystąpili do budowy warownego obozu. Czy to zdrada?

25.

Szli przez las.

Dziwnie się czuł, gdy uświadamiał sobie, że za chwilę wraz z Antonellą wpadnie w ręce Verana.

Krąg się zamykał. Tam, w dole, przeżywał swe życie po raz pierwszy, w nieświadomości. A tutaj znał już ciąg dalszy. Trwoga, obóz, ucieczka pod wodzą zamaskowanego nieznajomego, podróż przez czas i przestrzeń, niepotrzebne lądowanie na planecie–mauzoleum, galopada po zakątkach Wszechświata. Aergistał, walki, balon, katastrofa, druga strona nieba, słowo boga i znowu Uria. Tutaj i teraz.

Tam wszedł, tam teraz wchodzi w labirynt biegnący przez cały Wszechświat i nakładający się na siebie tak dokładnie, że on, Corson, od swej przeszłości oddzielony był tylko grubością ściany.

Labirynt rozciągał się przed nim, równie nierozwikłany jak w przeszłości. Ale ponieważ wiedział, co stanie się z drugim Corsonem, Corsonem z przeszłości, część labiryntu, który właśnie przebył, nabierała sensu. W czasie istnienia pierwszego Corsona nie znał trzeciego niebezpieczeństwa grożącego Urii, nie wiedział także, jak uniknąć dwóch pozostałych. Teraz przyszło mu na ten temat coś do głowy. Przyszłość odkryje przed nim resztę, w to nie wątpił.

Miał przecucie. Ten człowiek z mgły, ten rycerz w masce pełnej nocy, o którym Antonella powiedziała, że go jej przypomina, to będzie on sam. Miał zatem jakąś przyszłość. Jeszcze raz i może jeszcze raz, a może nawet nieskończoną ilość razy labirynt nałoży się na siebie. A on, w serii powrotów, będzie muskał samego siebie, aż się dosięgnie. I ten Corson z przyszłości będzie znał nowy odcinek labiryntu i być może zrozumie jego kształt i cel, wnosząc wtedy do swojego życia niezbędne poprawki.

Przypomniawszy sobie słowa boga. W odległej przyszłości kontrolowali oni swe egzystencje, a ich przeznaczenie nie było zwykłą nicią rozciągniętą między narodzinami i śmiercią, lecz było całą tkaniną, więcej nawet, wielowymiarową osnową napinającą przestrzeń. Bogowie, pomyślał, stwarzają Wszechświat tworząc samych siebie.

Wiedział także, że w swej przyszłości odnajdzie Antonellę, gdyż ona pamiętała, że się spotkali. I straci ją znowu, ponieważ ona kochała go i żałowała go wtedy, na ulicach Dyoto,

skąd go zabrała. Pomyślał, że i on z kolei kochał ją i żałował jej, i miał nadzieję, że splątane pasemka ich życia zwiążą się na koniec. Możliwość ta była jeszcze ukryta w fałdach czasu. Miał te dwa momenty, stałe, jak przypuszczał, i znane ze swej przyszłości. Moment, kiedy przyjdzie uwolnić samego siebie, i chwila, w której spotka Antonellę. Zapraagnął, by określały one krzywą, która gdzieś, w czasie, będzie dla nich wspólna.

Ale chwilowo musiał tę przyszłość stworzyć. Gdyż oba te momenty zależały od jego działania. Musiał dobrze wykonać swoje zadanie. Zadanie postawione przez kogo? Może przez innego Corsona, jeszcze bardziej oddalonego od teraźniejszości, który postanowił rozproszyć krążące nad Urią cienie. Czy mógł wybrać lepszego sprzymierzeńca niż samego siebie? Aby żył człowiek jutra, wczorajsze zasadzki musi usunąć człowiek z przeszłości, który o tym z przyszłości nic nie wiedział.

Przypomniął sobie rozterkę Ngal R'ndy, jakby nurtującą go od dawna, podczas gdy trwało to ledwie kilka godzin. Książę Urii protestował, że nie potrzebuje w ogóle Verana. Nie ufał ludziom i pogardzał nimi wystarczająco mocno, aby słuchać ich tylko wtedy, gdy ich kupił. Według niego wystarczała broń, którą pokazał: kule z szarego metalu mogące wywoływać pioruny na drugiej półkuli, i szklane działa, cienkie jak igły, lecz przebijające góry, i obrazy, które wyświetlane na niebie mogły odebrać pamięć całej armii. A świszczącym głosem twierdził, że w wojnie sprzed sześciu tysięcy lat Książęta Urii przegrali przez zdradę, która zakradła się w ich szeregi, a nie przez słabość. Corson niemal mu uwierzył. Zapewne Ziemia też miała dosyć straszliwych puklerzy i włóczyń nicości. Może rozgrywka była równa. Lecz dzięki temu rezultat teraźniejszości był jeszcze pewniejszy. Ludzie z Urii i te wielkie ptaki, które staną po stronie pokoju, nie wytrzymają nawet jednego dnia.

Corson powiedział:

– Potrzebna wam jest armia.

Uporczywie pojawiał mu się przed oczyma obraz milionów zabitych kobiet, milionów mężczyzn w niewoli, wziął pod uwagę konieczność okupacji, podboju i powtórzył z naciskiem:

– Potrzebna wam jest armia.

Dodał jeszcze:

– Jutro kosmos będzie wasz. Potrzebna będzie flota, specjaliści. Ilu możecie zmobilizować?

Urianin pogrążony był w rozmyślaniach. A Corson przechwytywał inicjatywę:

– Ilu masz wiernych?

Urianin odpowiedział z zadziwiającą szczerością, utkwivszy w nim płaskie, żółte, usiane zbyt niebieskimi gwiazdkami oczy:

– Pięćset, może tysiąc. Ale Urianie zhańbieni przebywaniem w ludzkich siedzibach w Dyoto, Sifar, Nulkr, Riden, staną ze mną pod sztandarem Błękitnego Jaja.

– Zapewne. Ilu ich jest? .

– Około trzydziestu milionów.

– Tak mało!

Zagryzł wargi.

Podczas dawnej wojny, miliardy Urian groziły Mocarstwu Słonecznemu. Niewątpliwie wielu z nich wyemigrowało na inne planety w ramach galaktycznego pokoju. Ale Corson jednak domyślał się czego innego, była to historia rasy .skazanej przez pokój, ponieważ wojna i podbój były zbyt głęboko wpisane w ich geny. Przed sobą miał wściekłość i okrucieństwo przedestylowane długą dekadencją.

Istnieli ludzie, zawdzięczający swą nieopanowaną agresywność dziedziczności. Posiadali o jeden gen za dużo. Chociaż fizjologicznie w porządku, byli oni w pewnej mierze potworkami. Społeczeństwo, kiedyś przynajmniej, eliminowało ich lub izolowało, dając im szansę uniknięcia fatalizmu. Czy możliwe, aby z tego punktu widzenia potworkami były całe rodzaje? Skazane na wojnę lub na wymarcie? Przeznaczenie ludzi nie było tak bardzo odmienne.

Mieli za to tę szansę, że ich psychofizyczna konstytucja pozwalała im żyć w pokoju. Niewielką szansę.

Corsona zaskoczyła myśl: Urianie nie mają przyszłości.

Znaczyło to także co innego. Wojna nie ma przyszłości.

Tymczasem musiał ją prowadzić.

Powiedział:

– Potrzebujecie armii. Okupacja, następnie kosmos. Veran jest najemnikiem. Przyrzeknijcie mu bitwy i władzę w imperium. I jeszcze jedno. Mówiłem o dzikim hippronie.

Wkrótce na tej planecie tysiące ich będzie siało spustoszenie. Jak sobie z nimi poradzicie? Jak unikniecie tego niebezpieczeństwa na własnej planecie? Zajrzyjcie do archiwów, zapytajcie ekspertów. Hipprony mogą stawić czoła waszej broni. Wystarczy, że dokonają skoku w czasie. Za to Veran może je wytropić i zlikwidować. Posiada oswojone hipprony. Zawrzyjcie z nim przymierze. Zniszczycie go później. A może boicie się starego wojaka i kilku setek żołnierzy?

Urianin przymknął swe podwójne powieki.

– Pójdiesz z nim porozmawiać, Corson. Będą ci towarzyszyć dwaj Urianie. Jeżeli spróbujesz mnie oszukać, umrzesz.

Corson wiedział, że wygrał. Małą partię.

26.

Szli przez las i martwe kawałki drzew, nie przypominających ziemskich, pękały pod nogami Corsona. Urianie posuwali się bezszelestnie. Byli delikatni. Po swoich skrzydlatych przodkach odziedziczyli puste kości. Mógłby ich rozciągnąć dwoma uderzeniami, słyszał ich charkot, ale trzymali w szponach wycelowaną w niego zabójczą broń i poza tym byli mu potrzebni.

Jego pierwsza noc na tej planecie. Ciemności były równie nieprzeniknione. I jak teraz nasłuchiwał szmerów lasu, próbując ustalić, gdzie przyczaiła się Bestia, Teraz miał do czynienia z nową bestią. Ludzką. Veranem.

Zostawili wehikuł za sobą, daleko od obozu, mając nadzieję, że w zamieszaniu spowodowanym atakiem czy raczej jego własną ucieczką i ucieczką Antonelli ich zbliżanie będzie niezauważone. Popatrzył na zegarek. W tej chwili przechodzili przez obóz pod dowództwem nieznanego, którym był on sam. Zbliżali się do hippronów. Nieznajomy, o twarzy z mroku, a którym był on sam, siodłał jedno ze zwierząt. Pomagał Corsonowi i Antonelli zapiąć pasy. Wszyscy troje i oba hipprony znikną na niebie i w czasie.

Za chwilę.

Jego pierwsza noc na planecie. Tym razem także nie odważył się zapalić światła. Lecz miał nałożone szkła kontaktowe, pozwalające widzieć w podczerwieni. Z wyjątkiem plam, ziemia wydawała się czarna, równie czarna jak niebo, które pozbawione było gwiazd. Pnie różowiły się. Kawałki kory, miejsca względnie intensywnej wymiany energetycznej, były pomarańczowe. Na ziemi tu i ówdzie jakiś kamień oddawał ciepło nagromadzone w ciągu dnia i blado świecił. Spozrzegł małą świecącą plamę cichutko przemykającą w zaroślach. Przestraszone zwierzę.

Poczuł zapach spalonej żywicy i stopionego piasku. Obóz był niedaleko.

Czy ten historyczny moment to już teraz? – zastanawiał się. Tyle rzeczy na tej planecie od tego zależało. Czy Veran zgodzi się? Co się stanie, jeżeli ludzie Verana zaczną strzelać, jeżeli zostanie zabity? Przymierze nie dojdzie do skutku. Bestie nadal pozostaną na wolności. Bestie ludzkie i inne.

Będzie wojna. A może dwie. Między tubylcami Urii i ludźmi. Między Urią i Radą Galaktyczną albo Urzędem Bezpieczeństwa, nieważne jak się to nazywa, jakaś instytucja na pewno istnieje. Coś się załamało. Rysa przebiegnie przez wieki i wstrząśnie przyszłością. Tego był pewny. Nie było innych przyczyn jego obecności tutaj. Wysłano go dla zespojenia wyłomu, nie mówiąc mu ani jak, ani dlaczego.

Historyczna chwila I Miejsce i data, gdzie krzyżuje się wiele linii czasu, gdzie spotkał samego siebie nie wiedząc o tym i gdzie teraz z własnej woli rozmijał się z sobą.

Histeryczny moment! Jakby ktokolwiek miał o tym pamiętać! Jakby historia utkana była z bitew, podpisywanych i zrywanych przymierzy i układów. Podczas gdy ona była wręcz ich przeciwieństwem. W złudnym spokoju lasu zrozumiał, że to, co zasługiwało na miano historii, było przeciwieństwem wojny. Historia była tkaniną. Wojna była rozdarciem, a wojny zawziętymi kolcami rwącymi sukno historii, która zawsze albo przynajmniej do tej pory naprawiała się z biologicznym uporem – pomyślał z nagłym przerażeniem, którego nie wywołała w nim nawet perspektywa napotkania wartowników Verana. On, Corson, poczuł się spadkobiercą, poczuł swoją jedność z miliardami, miliardami ludzi narodzonych i zmarłych w przeszłości, którzy z własnych ciał i życia utkali ogromną tkaninę historii. Czuł się odpowiedzialny i solidarny z miliardami, miliardami ludzi i innych, mających się narodzić istot. Spróbuje dać im szansę i zaproponuje odpowiedź tym, którzy już nie żyli.

Ten prawdopodobny konflikt to nie była nawet duża wojna. Żadna jednak wojna, nigdy, nie była ważniejsza. Bitwa, która rzuca miliony gwiazdolatów jedno na drugie, jak i ta, która srożyła się sześć tysięcy lat wcześniej, nie ma większego znaczenia niż pierwsza walka między dwoma pitekantropami uzbrojonymi w nieobrobione kamienie. To zależy od punktu widzenia.

Zasłona drzew przerzedziła się. Zamigotały światełka. Cienka purpurowa linia, o której Corson wiedział, że była śmiertelnie niebezpieczna, dzieliła noc przerywanymi przez pnie kreskami. Corson dał znak. Urianie w milczeniu znieruchomieli. Zaledwie dobiegały go ich krótkie i lekkie oddechy. Umówili się, że dalej pójdzie sam i sam będzie rozmawiał z Veranem aż do zawarcia pierwszej umowy. Ale na szyi zawieszono mu nadajnik. Nie wątpił, że Ngal R'nda był na podsłuchu.

Przerywana linia zniknęła. Corson zawahał się.

Z obozu dobiegł spokojny głos.

– Corson, wiem, że tam jesteś.

Głos Verana. Ruszył w kierunku brutalnego dysku jakiegoś reflektora. Mimo świadomości, że w jego plecy, a także w pierś wycelowano broń, udawał obojętność.

– Więc wróciłeś. I miałeś czas na zmianę ubioru.

Głos zabrzmiał raczej z ironią niż ze złością. Veran umiał nad sobą panować.

– A panią umieściłeś w bezpiecznym miejscu.

– Jestem – zwyczajnie powiedział Corson.

– Dobrze wiedziałem, że wrócisz. Wystarczył mały patrol wysłany w przyszłość. Tak jak wiedziałem, gdzie ciebie szukać za pierwszym razem. To ty przecież wskazałeś mi to miejsce. Przypuszczam, że masz ważny powód proponując mi tę bazę na zapleczu po klęsce na Aergistalu i masz mi coś do powiedzenia.

– Zbliź się trochę. Nie zostawię mojej linii obrony przez cały czas wyłączonyj.

Corson podszedł bliżej. Za nim zaśniła purpurowa linia. Poczul w kościach charakterystyczną wibrację.

– No więc, Corson, co też masz mi do zaoferowania?

– Przymierze – powiedział Corson – którego pan diabelnie potrzebuje.

Veran nawet nie mrugnął. Jego szare oczy błyszczały w twardym świetle reflektorów. Wyglądał jak z gruba ciosana rzeźba. Jego ludzie byli do niego podobni. Dwóch z nich znajdowało się za Veranem, nieruchomych, stężyłych, ale z niewątpliwie czujnym palcem na spuście małego pistoletu o zaostrej lufie, bez widocznego otworu. Można by wziąć je za zabawki. Sześciu innych rozstawionych było szerzej niż w półkolu, którego środek zajmował Corson. Znajdowali się w odpowiedniej odległości, zbyt daleko, by mógł dosięgnąć któregoś z nich po rozpaczliwym skoku, a przed oddaniem przez niego strzału. To byli zawodowcy i w jakimś sensie uspakajało go to. Nie groziło mu z ich strony, że strzelają pod wpływem jakiegoś impulsu, zanim padnie rozkaz albo zanim rzeczywiście zostaną zagrożeni.

Tylko Veran nie nosił broni. Jego ręce były niewidoczne za plecami, lewy nadgarstek niewątpliwie ujęty palcami prawej ręki. Postawa znana pułkownikom. W innym życiu, w innym czasie Corson często miał do czynienia z pułkownikami.

Verana będzie ciężko pokonać.

– Mogę cię zabić – powiedział Veran. – Nie zrobiłem tego jeszcze, ponieważ wysłałeś tę wiadomość i wyciągnąłeś mi ten cholerny kolec z nogi. Czekam na wyjaśnienia, Corson.

– Oczywiście – powiedział Corson.

– To była wiadomość od ciebie czy też od kogoś innego?

– Od kogo miałyby pochodzić? – odrzekł spokojnym głosem Corson.

Wiadomość przez niego podpisana, ale nie pamiętał, żeby ją wysłał. Nawet nie umiałby jej zaadresować do Verana. A bez wątpienia naznaczała spotkanie, miejsce i tę dokładną chwilę, i sposób opuszczenia Aergistalu w momencie, gdy sytuacja stawała się dla Verana beznadziejna. Wiadomość, którą wysłał później. Wiadomość ta może być częścią planu, który zaczynał przygotowywać. Znaczyło to, że w przyszłości była pełniejsza, solidniejsza jego wersja. Wersja, którą być może rozwinię sam, gdy będzie wiedział – i mógł – więcej rzeczy, a ich fragmenty jeszcze odkryje. Ale jeżeli coś poszłoby nie tak, gdyby Veran nie zgodził się na przymierze, czy mógłby wysłać wiadomość? Ponieważ wiedział, że będzie wiadomość, że bez tej wiadomości Veran nie mógłby przybyć na Urię, będzie musiał ją wystać. Lecz kiedy przyszło mu to, kiedy przyjdzie mu to do głowy? Teraz czy później? Czy wysyłałby ją także, gdyby nie wiedział, że Veran ją otrzyma? Trudno było rozwinąć strategię czy nawet teorię wojny w czasie. Najpierw potrzebne było praktyczne doświadczenie.

– Za długo myślisz nad odpowiedzią – powiedział Veran. – Nie lubię tego.

– Mam dużo do powiedzenia. To miejsce nie jest idealne.

Veran dał znak.

– Nie ma przy sobie ani broni, ani bomby – powiedział jeden z mężczyzn. – Tylko nadajnik na szyi. Sam dźwięk, bez obrazu.

– Zgoda – powiedział Veran – chodźmy.

27.

– Każdy człowiek ma jakiś cel – powiedział Veran nawet jeżeli sam o tym nie wie. To, czego nie rozumiem, Corson, to twoje pobudki. Motorem działania niektórych jest ambicja, jak w moim przypadku, inni działają ze strachu, innych jeszcze, w niektórych okresach, ożywia pogoń za pieniędzmi. Ale czy wiecie im się dobrze, czy źle, ich działania są jak strzały skierowane w ten cel. Twojego jednak celu, Corson, nie dostrzegam. A tego nie lubię. Nie lubię zadawać się z kimś, czyjego celu nie pojmuję.

– Powiedzmy, że powoduje mną ambicja. I działam ze strachu. Przy pomocy tych Urian chcę stać się kimś ważnym. I boję się. Jestem człowiekiem ściganym, przestępcą wojennym. Tak jak pan, Veran.

– Pułkownik Veran – poprawił go Veran.

– Jak pan, pułkowniku! Nie zależy mi na powrocie na Aergistal, na przeżywaniu nieskończonej i niedorzecznej wojny. Czy to nie jest sensowne?

– Wiesz – powiedział powoli Veran starannie wypowiadając słowa – że na Aergistalu wojny nie mają sensu?

Że tam niczego nie można podbić?

– Takie mam przeczucie.

– Twoja postawa jest zbyt logiczna. Kiedy wróg chce, abyś uwierzył, że wykona on pewien manewr, stara się mieć dobre, solidne powody, aby tak zrobić. Zabezpiecza sobie odwrót i robi jeszcze coś. A wtedy wpada się w zasadzkę.

– Chce pan, żebym zaczął popłakiwać. Bo jestem zagubionym w czasie i przestrzeni biedaczkiem, który został wyciągnięty z Aergistalu przez handlarza niewolników i sprzedany bandzie fanatycznych ptaszysk.

– Ta wiadomość – uciął Veran.

Corson oparł ręce na stole i próbował rozluźnić mięśnie.

– Twierdzisz, że wysłałeś ją za pośrednictwem Urian, ale ja ją zgubiłem. Czy możesz mi przypomnieć jej treść?

– Naznaczyłem panu spotkanie tutaj, pułkowniku. Wyjaśniłem, jak opuścić Aergistal. Mówiłem...

– Dokładna treść, Corson!

Corson oglądał swoje ręce. Wydało mu się, że krew odpływa spod paznokci, że palce stają się kredowobiałe.

– Zapomniałem, pułkowniku.

– Przypuszczam, Corson, że jej nie znasz – powiedział wolno Veran. – Wydaje mi się, że tej wiadomości jeszcze nie wysłałeś. Gdybyś pracował dla kogoś, kto wysłałby ją w twoim imieniu, znałbyś jej treść. Wiadomość ta należy do twojej przyszłości, a ja nie wiem, czy mogę tej przyszłości zaufać.

– Przyjmijmy pańską hipotezę. Wtedy ogromnie przysłuży się panu w przyszłości.

– Rozumiesz, co to oznacza.

Zapadła cisza. Potem Veran wpatrując się w Corsona powiedział nerwowo:

– Nie mogę cię zabić. Przynajmniej dopóki nie wyślesz tej wiadomości. Nie martwi mnie myśl, że nie jestem w stanie ciebie zabić. Nie zabijam dla przyjemności. Faktem jest, że nie mogę napędzić ci strachu. Tego nie lubię. Nie lubię wysługiwać się kimś, kogo nie rozumiem i kogo nie przerażam.

– Pat – powiedział Corson.

– Pat?

– To słowo związane z grą w szachy, a oznaczające partię nierozstrzygniętą.

– Nie jestem graczem. Za bardzo lubię wygrywać.

– To nie jest gra probabilistyczna, raczej ćwiczenie strategiczne.

– Rodzaj Kriegspiel? Z czynnikiem czasu jako niewiadomą?

– Nie – odrzekł Corson. – Bez czasu.

Veran krótko się zaśmiał.

– Za łatwe. To by mnie nie bawiło.

Czas – pomyślał Corson – i dobrze zorganizowana mechanika. Jestem chroniony przez wiadomość, którą prawdopodobnie wyślę sam, której treści jeszcze dokładnie nie znam i o której istnieniu jeszcze godzinę temu nic nie wiedziałem. Idę po swych własnych śladach, nie wiedząc, jak uniknąć pułapek.

– A co się stanie, jeżeli zostanę zabity, jeżeli nie wyślę tej wiadomości?

– Martwi cię filozoficzny aspekt rzeczy. Nie mam pojęcia. Może kto inny przyśle identyczną wiadomość. Albo inną. Albo nigdy nic nie otrzymam, zostanę tam i dam się pokrajać na kawałki.

Uśmiechnął się szeroko i Corson dostrzegł, że nie ma zębów, a jedynie zaostrzoną sztabkę białego metalu.

– Może już teraz jestem uwięziony albo gorzej.

– Na Aergistalu nie na długo pozostaje się martwym.

– I to także wiesz.

– Powiedziałem panu, że tam byłem.

– Najgorsze, co się może zdarzyć – powiedział Veran – to nie zostać zabitym. To przegrać bitwę.

– Lecz pan jest tutaj.

– Ale zależy mi na tym, żeby tam zostać. Kiedy żongluje się możliwościami, najważniejsza jest terażniejszość. Odkrywa się to prędzej czy później. Teraz mam całkiem nową szansę. I chcę z niej skorzystać.

– A zatem nie może pan mnie zabić – powiedział Corson.

– Żałuję tego – odrzekł Veran. – Nie dla samego faktu. Dla zasady.

– Nawet nie może pan mnie zatrzymać. W wybranym przeze mnie momencie będę musiał odejść, aby mieć szansę na wysłanie tej wiadomości.

– Będę ci towarzyszył – powiedział Veran.

Corson poczuł, że jego pewność słabnie.

– Wtedy nie wyślę tej wiadomości.

– Zmuszę cię.

Corsonowi przysłała na myśl kwestia podsumowująca problem. Wiedział, że znalazł rysę w systemie Verana.

– Dlaczego nie miałby pan wysłać jej sam?

Veran potrząsnął głową.

– Corson, nie żartuj sobie ze mnie. Aergistal jest na drugim końcu Wszechświata. Nawet nie wiedziałbym, w jakim kierunku należy się udać. Bez współrzędnych przekazanych przez ciebie nigdy nie znalazłbym drogi do tej planety. Nawet przez miliard lat. A jeszcze istnieje teoria informacji...

– Jaka teoria?

– Nadajnik nie może być własnym odbiornikiem – cierpliwie powiedział Veran. – Nie mogę sobie samemu dać znaku. Spowodowałoby to serię oscylacji w czasie, co skończyłoby się ich stłumieniem i eliminacją zakłócenia. Zniknęłaby odległość między punktem początkowym a punktem przybycia i zniknęłoby wszystko, co znalazłoby się w interwale. Z tego powodu nie pokazałem ci tekstu tej wiadomości. Nie zgubiłem jej, znajduje się pod moim łokciem. Ale nie chcę zmniejszać twoich szans na jej wysłanie.

– Wszechświat nie znosi sprzeczności – powiedział Corson.

– Jest to smutnie antropomorficzny punkt widzenia. Wszechświat zniesie wszystko. A nawet matematyka dowodzi, że zawsze możliwe jest skonstruowanie systemów całkowicie sprzecznych, wykluczających się nawzajem, niezależnie od ich mocy.

– Uważałem matematykę za spójną – cicho powiedział Corson. – Z punktu widzenia logiki. Hipoteza ciągłości...

– Zaskakujesz mnie, Corson, zarówno swoją ignorancją, jak i wiedzą. Hipoteza ciągłości została obalona trzy tysiące lat temu czasu lokalnego. A zresztą nie ma ona z tą sprawą wiele wspólnego. Prawdziwe jest tylko to, że teoria oparta na nieskończonej liczbie pewników zawsze zawiera w sobie sprzeczność. Wtedy się unicestwia, znika, powraca do niebytu. Nie przeszkadza to jednak jej istnieniu. Na papierze.

To dlatego – pomyślał Corson, wracając pamięcią wstecz – posuwam się po omacku ścieżkami czasu. Mój dubel z przyszłości nie może mi powiedzieć, co powinienem zrobić. A jednak pojawiają się szczeliny, docierają do mnie okruchy informacji, na których podstawie próbuję się orientować. Musi istnieć jakiś fizyczny próg, poniżej którego perturbacja jest bez znaczenia. Jeżeli spróbują wyrwać mu ten papier, zmusić przyszłość...

– Nie zrobiłbym tego na twoim miejscu – powiedział Veran, jakby czytał w jego myślach.
– Ja też nie za bardzo wierzę w nieregresywną teorię informacji, lecz nigdy nie odważyłem się spróbować.

Jednakże, w dalekiej przyszłości, bogowie nie wahają się – pomyślał Corson. Bawią się możliwościami. Podnieśli próg na poziom Wszechświata. A w takim przypadku bariery upadają. Wszechświat otwiera się, wyzwala, pomnaża. Konieczność, to, co jest napisane, mąci się. Człowiek przestaje być więźniem tunelu łączącego jego narodziny ze śmiercią.

– Przystań śnić, Corson – uciął Veran, – Powiedziałeś mi, że te ptaki posiadają fantastyczną broń, którą oddadzą mi do użytku. Powiedziałeś także, że bez pomocy Urian nigdy nie zlokalizuję miejsca pobytu na tej planecie dzikiego hipprona. i że oni, w zamian, potrzebują mnie, człowieka doświadczonego w technikach prowadzenia wojny, mogącego dokonywać podbojów na ich rachunek i mogącego unieszkodliwić tego hipprona, zanim się rozmnoży i uczyni prawdopodobną interwencję urzędu bezpieczeństwa, co doprowadziłoby do ich własnej neutralizacji. Możliwe, że masz rację. Wszystko tak dobrze do siebie pasuje, prawda?

Nagle wyciągnął rękę gestem tak gwałtownym, że Corson nie mógł go powstrzymać ani nawet odskoczyć w tył. Palce najemnika musnęły mu szyję. Veran nie próbował go jednak udusić. Zerwał mu z szyi nie większy niż amulet nadajnik, zawieszony na łańcuszku. Zamknął go szybko w małym czarnym pudełku, które trzymał ukryte w dłoni. Corson złapał go za rękę – ale Veran uwolnił się krótkim ruchem.

– Teraz możemy mówić szczerze. Nie będą nas słyszeli.

– Cisza ich zaniepokoi – powiedział Corson z przerażeniem i jednocześnie z ulgą.

– Nie doceniasz mnie, przyjacielu – rzekł zimno Veran. – W dalszym ciągu słyszą nasze głosy. Rozmawiamy o deszczach i pięknej pogodzie, o technikach walki i korzyściach ewentualnego przymierza. Nasze głosy, rytm naszej konwersacji, długość przerw, a nawet szmer naszych oddechów zostały przeanalizowane. Jak myślisz, dlaczego rozmawialiśmy tak długo? W tej chwili mała maszynka produkuje im konwersację, może nieco nudną, ale, wedle życzeń, budującą. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak podjąć nowy środek ostrożności. Wyposażę cię w nową biżuterię.

Nie dał żadnego znaku, lecz Corson poczuł, jak chwytają go mocne ręce. Palce, których nie widział, zmusiły go do podniesienia głowy. Przez chwilę wydało mu się, że podrzynają

mu gardło. Dlaczego mieliby go teraz zabijać? Dlaczego w ten krwawy, widowiskowy i brudny sposób? Może Veran lubił być skąpany we krwi swoich ofiar?

Jest jeszcze wiadomość, pomyślał Corson, czując zimno metalu na gardle. Powiedział, że nie może mnie zabić.

Szczękniętą malutki zamek. Corson podniósł ręce do szyi. Naszyjnik był duży, ale lekki.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza – powiedział Veran. – Przyzwyczaisz się. Grozi ci noszenie tego przez jakiś czas. Może przez całe twoje życie. W środku znajdują się dwa niezależnie działające urządzenia wybuchowe. Jeżeli będziesz usiłował go zdjąć, wybuchnie. I możesz mi wierzyć, eksplozja będzie wystarczająco gwałtowna, aby zabrać razem z tobą na Aergistał każdego, kto znajdzie się w pobliżu. Jeżeli spróbujesz użyć przeciw mnie albo przeciw mojej armii jakiegokolwiek broni, od maczugi do transfiksera, który jest najstraszliwszą zabawką znaną mi z doświadczenia, naszyjnik wstrzyknie ci bardzo skutecznie działającą truciznę. Także wtedy, gdy dasz rozkazy mające za cel użycie tych broni przeciw mnie przez kogoś innego. Nawet wtedy, gdy ograniczysz się do przygotowania planu walki przeciw mnie. Urok tej rzeczy polega na tym, że to ty sam powodujesz jej uruchomienie, niezależnie od czasu i przestrzeni. Jest ona uczulona na specyficzną świadomą agresję. Możesz mnie nienawidzić, ile ci się żywnie podoba, a także możesz mnie niszczyć w snach sto razy na dobę, jeśli cię to bawi. I nic ci nie grozi. I możesz bić się jak lew, ale ani przeciw mnie, ani przeciw moim ludziom. W ostateczności możesz spróbować sabotażu, lecz to już moja sprawa. Widzisz teraz, Corson, że możesz być moim sprzymierzeńcem, lub możesz zachować neutralność, nie możesz jednak być już moim wrogiem. A jeżeli poniża to twoją godność, to pomyśl, że cała moja osobista ochrona nosi to samo. Popatrzył na Corsona z zadowoloną miną.

– Czy przed chwilą właśnie to nazwałeś patem?

– Coś w tym rodzaju – przyznał Corson. – Ale Urianie będą się dziwili.

– Zrozumieją. Ponadto otrzymali już oczyszczoną wersję naszej rozmowy. Ich mały nadajnik nie jest taki niewinny.

Na odpowiedni sygnał może wytworzyć wystarczające ilości gorąca, by cię zabić. Gdyby byli przebieglejsi, zastowaliby urządzenie autonomiczne. Napijesz się czegoś?

– Chętnie – odrzekł Corson.

Veran wyciągnął z szuflady stołu flakonik i dwa kryształowe kieliszki. Napełnił je do połowy, dał przyjacielski znak Corsonowi i wypił łyk.

– Życzyłbym sobie, żebyś nie miał mi tego tak bardzo za złe. Lubię cię, Corson, a ponadto potrzebuję cię. Ale nie mogę ci zaufać. To wszystko wokół pasuje zbyt dobrze. A jest tak tylko dlatego, że ty tu jesteś, że tu byłeś, że tu będziesz. I nawet nie wiem, co tobą powoduje, co w tobie naprawdę siedzi. To, co mi proponujesz, Corson, to zdrada ludzkości. To znaczy stanąć do dyspozycji tych fanatycznych ptaków, które marzą tylko o zniszczeniu człowieka w zamian za swoje własne bezpieczeństwo i ewentualnie nadzwyczajną władzę. Załóżmy, że mogę to przyjąć. Ale ty? Nie wyglądasz, Corson, na zdrajcę własnego gatunku. Czy też może nim jesteś?

– Nie mam wyboru – odparł Corson.

– Jak na człowieka działającego pod przymusem wykazujesz wyjątkową przedsiębiorczość. Udaje ci się przekonać te ptaki, by zawarły ze mną przymierze, i sam przychodzisz je wynegocjować. Co więcej, sprowadzasz mnie tutaj w tym celu. Dobrze. Załóżmy, że uda ci się wpuścić mnie w zasadzkę. Znikam. Zostajesz razem z ptakami. Już teraz zdradzasz swój gatunek wydając mnie istotom, które z twojego punktu widzenia nie są więcej warte niż ja, które nawet nie są humanoidalne, i wiesz, że będziesz zmuszony zrobić to jeszcze raz. To nie jest do ciebie podobne. Ptaki nie zdają sobie z tego sprawy, ponieważ tak naprawdę nie znają ludzi, ponieważ biorą ciebie za zwierzę, za dzikie zwierzę, które będzie okradało ich gniazda i które można oswoić albo raczej poskromić. Ale ja takich żołnierzy jak ty, Corson, widziałem tysiące. Wszyscy niezdolni do zdrady swego gatunku, swego kraju, swego wodza. Och, nie wynika to z jakiejś cnoty, chociaż wszyscy w to wierzą, lecz z wojskowego szkolenia. A zatem? Pozostaje inna możliwość. Próbujesz uratować rodzaj ludzki. Przyjąłeś, że korzystniejszy jest podbój Urii, a później całego tego gwiazdowego rejonu, dokonany przez człowieka, a nie przez któregoś z tych opierzonych fanatyków. Sprowadzasz mnie. Proponujesz mi przymierze z Urianami, ponieważ przypuszczasz, że będzie ono niestale, że prędzej czy później dojdzie do konfliktu, gdy warunki przymierza zostaną spełnione, i masz nadzieję, że wytypię Urian. Może wtedy mógłbyś się mnie pozbyć? Nie potrzebujesz mi nawet nic mówić. Prośba o moją pomoc przeciw Urianom byłaby niepotrzebna, jeśli istnieje ryzyko, że cię zdradzę. Wiesz, że koalicja jest wybuchowa.

– Jest także dziki hippron – powiedział bardzo zimno Corson.

– Zgadza się. Potrzebuję go i jednocześnie uwalniam Urię od drugiego niebezpieczeństwa. Czy nie mam racji, Corson?

– Czy akceptuje pan moje propozycje? – odparł Corson.

Veran uśmiechnął się krzywo:

– Nie wcześniej niż podejmę odpowiednie środki bezpieczeństwa.

28.

Tym razem przemykali za kulisami czasu. Corson oglądał czas za pośrednictwem układu nerwowego hipprona. Witki z grzywy zwierzęcia owijały mu się wokół nadgarstków i dotykały skroni. Od czasu do czasu musiał walczyć z mdłościami. Veran, zawieszony na drugim boku prowadzącej ich bestii, zażądał od Corsona, by zajrzał prosto w czas. Miał nadzieję, że Corson będzie mógł być przewodnikiem w labiryncie podziemnego miasta i życia Ngal R'ndy.

Pełzali po zarysach rzeczywistości, w ciągle jeszcze żywej terażniejszości. Istota o bardzo przenikliwym wzroku mogłaby dostrzec poruszenie cienia, może wyblakłe kolory albo, przy odrobinie szczęścia, olbrzymie i straszliwe widmo. Ale zanim nawet mrugnęłaby oczyma spędzając z powiek nieobecny pył, oni zniknęliby pochłonięci przez powietrzną otchłań lub bezwymiarowy wyłom ściany. A gdyby światło było wystarczająco mocne, by otoczyć aureolą jakiś szczegół, dostrzegłaby tylko płaską, przezroczystą postać. Z terażniejszością hippron był zsynchronizowany tylko przez ułamek sekundy, tylko na tyle, by Veran i Corson

mogli się w niej rozeznąć. Ściany, kolumny, meble były dla nich jak mgła. Istoty żywe czy też przedmioty ruchome pozostawały niewidzialne. To była druga strona medalu. Nie można było podglądać nie ryzykując, że zostanie się zauważonym, ani pozostać niewidocznym, nie tracąc wzroku.

– Szkoda, że nie znasz dokładnie tej bazy – powiedział Veran.

– Prosiłem pana o tydzień lub dwa – zaprotestował Corson.

Veran wzruszył ramionami.

– Jest ryzyko, z którym się liczę i ryzyko, którego unikam. Nie będę czekał cały tydzień, aż razem z ptakami pozakładacie pułapki na mojej drodze.

– A jeżeli nas zauważą?

– Trudno powiedzieć. Być może nic się nie stanie. Albo nastąpi perturbacja. Ngal R'nda może zrozumieć, co się dzieje, i nie obdarzy już cię zaufaniem, gdy go spotkasz. Lub też postanowi przyspieszyć bieg wydarzeń i rozpocznie atak o wiele wcześniej. Nie powinniśmy być dostrzeżeni. Nie powinniśmy w bieg historii wprowadzać zmian, które mogłyby obrócić się przeciw nam. Pójdźmy sami. Bez eskorty, bez ciężkiej broni. Użycie jakiegokolwiek broni w przeszłości, od której się zależy, równa się samobójstwu. Mam nadzieję, że jesteś tego świadomy.

– Zatem niemożliwe jest przygotowanie zasadzki w przeszłości.

Veran uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zastępującą mu zęby zaostrzoną sztabkę.

– Wystarczy mi wprowadzenie małej modyfikacji. Modyfikacji podprogowej, która nie zostanie dostrzeżona, ale którą będę mógł wykorzystać w określonym momencie. Jesteś cennym człowiekiem, Corson. Wskazałeś mi słaby punkt Ngal R'ndy.

– I jeszcze muszę panu towarzyszyć?

– Czy uważasz mnie za tak szalonego, bym zostawiał cię poza moimi plecami? A zresztą znasz te zakątki.

– Urianie spostrzegą moją nieobecność. Nic nie będą słyszeli.

– Moglibyśmy zaryzykować pozostawiając nadajnik. Ale przypuszczam, że wtedy wysłałby jakiś sygnał. Nie, odważmy się działać w ciszy. Ponadto w tamtej terażniejszości pozostaniemy nieobecni tylko przez kilka sekund. W jakim wieku według ciebie jest ten ptak?

– Nie mam pojęcia – po chwili wahania odpowiedział Corson. – Jak na swój gatunek, jest stary. A w moich czasach Urianie żyli dłużej niż ludzie. Przypuszczam, że powinien mieć teraz przynajmniej dwieście ziemskich lat, może dwieście pięćdziesiąt, o ile geriatryka poczyniła postępy.

– Zanurkujemy awaryjnie – powiedział zadowolony Veran. – Nie odbiorą dzięki temu sygnałów tego twojego cacka przed założeniem go tobie na szyję.

Teraz wędrowali alejami czasu. Wślizgnęli się w podziemne miasto, pokonywali kilometry skał, które były tylko mgłą. W galeriach pojawili się jak widma.

Veran wyszeptał do ucha Corsona:

– Jak go rozpoznać?

– Po niebieskiej tunice – powiedział Corson. – Wydaje mi się jednak, że tutaj spędza tylko część czasu.

– To nieważne. Kiedy hippron natrafi na niego, pójdzie za nim aż do chwili narodzin. Czy może raczej należałoby mówić o wykluciu?

Niebieski cień, przez mgnienie oka. Już go nie odstępili, albo na tak krótko, że Corson z trudem wierzył, że były to miesiące i lata, podczas których Ngal R'nda grał na powierzchni rolę szacownego i pokojowo nastawionego Urianina. Płynęli pod prąd życia tej istoty, jak łośność płynie pod prąd strumienia. Cień zmienił barwę. Ngal R'nda był młody i tunika Książąt Urii nie okrywała jeszcze jego ramion. Może nawet nie obmyślał on jeszcze planów podboju? Lecz Corson wątpił o tym.

Inne niebieskie cienie wynurzały się z biegu czasu. Inni książęta wywodzący się z błękitnego jaja, od dawna przezuwający zemstę. Ngal R'nda powiedział prawdę. On był ostatnim. Do działania pchnął go nadchodzący koniec. Poprzednim generacjom książąt wystarczały tylko marzenia.

Ngal R'nda zniknął na dłuższą chwilę.

– Czy on się na pewno tutaj urodził? – zapytał zaniepokojony Veran.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odpowiedział Corson zirytowany tonem najemnika. – Ale przypuszczam, że tak. Ngal R'nda jest zbyt ważny, by miał się narodzić z dala od sanktuarium swojej rasy.

I w tej chwili cień, którym był Ngal R'nda, pojawił się ponownie. Corson nie mógł go zidentyfikować, ale zaczął rozumieć reakcje hipprona.

– Co to za pułapka? – zapytał Corson.

– Zobaczysz.

Veran odmówił ujawnienia reszty.

Kierowali się ku chwili wyklucia się ostatniego Księcia Urii.

Czy on chce mu wstrzyknąć, po urodzeniu – myślał Corson – genetyczny sensybilizator, który zacznie działać dopiero po latach w obecności swego dopełniacza? Czy może zamierza wszczepić mu jakiś czujnik nie większy od komórki, w miejscu, w którym nóż chirurgiczny nie ma żadnej szansy natrafić na niego przypadkowo, a który umożliwi śledzenie go przez całe życie? Nie są to metody zbyt subtelne. W osnowie czasu mogą spowodować dużą perturbację.

Hippron zahamował i zatrzymał się. Corsonowi wydało się, że wszystkie cząsteczki jego ciała oddalają się od siebie, jakby chciały rozpląnąć się, każda w swoją stronę. Przełknął ślinę. Mdłości powoli ustąpiły.

– Jeszcze się nie narodził – powiedział Veran.

Za pośrednictwem zmysłów hipprona, Corson widział wielką eliptyczną salę, dziwnie zmienioną i przypominającą salę prezentacyjną. Ze ściany wynurzało się tylko kilka witek z grzywy Bestii, a jej obaj kawalerzyści pogrążeni byli w kamieniu, zabezpieczeni przed spojrzzeniami.

Niewiele światła. W wypolerowanym murze świeciły nisze, a w każdej z nich spoczywało jajo. W końcu sali, w nieco obszerniejszej niszy leżało czerwone jajo. Corson dokonywał myślowej poprawki. Dla człowieka lub Urianina jajo było niebieskie, chociaż hippronowi wydawało się czerwone.

Jajo, z którego wywodził się Ngal R'nda. Nisze były wylęgarniami. Nikt nie wchodził do sali przed zakończeniem wylęgu.

– Trzeba trochę poczekać – powiedział Veran. – Cofnęliśmy się nieco za daleko.

Lekki szmer – to tysiąc piskląt atakuje dalekie szczęście. Corson zrozumiał. Młodzi Urianie, rozbudzeni, rozbijają skorupki. Czasowe przesunięcie i system nerwowy hipprona zmieniał, przesadnie wyolbrzymiał dźwięk.

Hippron prześliznął się w kierunku błękitnego jaja. Corson robił postępy w odbieraniu jego wrażeń. Obecnie niemal posiadał już zdolność dookolnego widzenia zwierzęcia. Mógł obserwować ruchy Verana. Najemnik wycelował jakiś instrument w błękitne jajo.

Corson zawołał impulsywnie:

– Niech go pan nie niszczył

– Imbecyl – powiedział sucho Veran. – Ja je mierzę.

Obelga zdradzała napięcie. W tym kluczowym momencie życia Ngal R'ndy najmniejsza perturbacja mogła wprowadzić do historii dużą modyfikację. Na czole Corsona pojawiły się kropelki potu, spływające w dół po skrzydełkach nosa. Veran igrał z ogniem. Co się stanie, jeżeli popełni błąd? Czy obaj znikną z continuum? Czy też może pojawią się w innym fragmencie czasu?

Błękitne jajo zadrżało. Błękitne jajo otworzyło się. U jego szczytu napięła się nieregularna błonka. Sączyl się płyn. Błonka opadła, rozerwana. Ukazał się szczyt czaszki młodego Urianina. Był ogromny. Wydawał się tak duży jak jajo. Następnie skorupka rozpadła się zupełnie. Pisklę otworzyło dziób. Za chwilę wyda swe pierwsze piski. Sygnał oczekiwany na zewnątrz przez mamki.

Jajo rozsypało się w kawałeczki. Ku zdziwieniu Corsona głowa pisklęcia nie była większa niż pięść mężczyzny słusznego wzrostu. Wiedział jednak, że rozwój systemu nerwowego Ngal R'ndy daleki był od zakończenia. Częściej jeszcze niż ludzkie dzieci Urianie rodzili się w stanie przedwczesnym, niezdolni do podjęcia samodzielnego życia.

Hippron wyszedł ze ściany i zsynchronizował się z terażniejszością. Veran wyskoczył ze swej uprząży z plastikowym workiem w rękę, wrzucił do niego szczątki błękitnego jaja i wrócił do hipprona. Nie tracąc czasu na poprawianie uprząży, skierował swego wierzchowca pod osłonę muru i dał sygnał do desynchronizacji.

– Koniec pierwszej fazy – wymruczał przez zaciśnięte zęby.

W eliptycznej sali pisklęta podnosiły pierwsze krzyki. Otworzyły się drzwi. – Zauważą zniknięcie skorupki – powiedział Corson.

– Nic nie rozumiałeś – wymamrotał Veran. – Dostarczę im inną. Jeżeli to, co powiedziałeś, jest prawdą, oznacza to, że zachowywane są jedynie błękitne skorupki. Inne ich nie interesują.

Skoczyli w kierunku powierzchni. W pustym miejscu – wąwozie najeżonym skałami – Veran zsynchronizował hipprona. Corson opuścił się na ziemię, znowu chwyciły go mdłości.

– Uważaj na nogi – powiedział Veran. – Jesteśmy w naszej obiektywnej przeszłości. Nigdy nie wiadomo, czy złamanie żdźbła trawy nie spowoduje jakiegoś większego zamieszania.

Otworzył worek i starannie przyjrzał się fragmentom błękitnego jaja.

– To nie są zwyczajne jaja – wymruczał. – Raczej zestawione ze sobą płytki, jak kości czaszki u człowieka. Popatrz na linie spojeń. Są wyraźne jak brzegi pokrywki do garnka.

Oderwał malutki kawałek skorupki i umieścił go w jakimś aparacie, po czym przyłożył oko do okularu.

– Pigmentacja w masie – zawyrokował. – Fantazja genetyczna. Może też produkt zbyt systematycznych krzyżówek wewnątrz tego samego rodu. Nieważne. Dostyc łatwo znajdę jakiś barwnik tego samego typu, lecz nieco mniej trwały.

– Zamierza pan pomalować jajo? – zapytał Corson.

Veran zaśmiał się szyderczo.

– Drogi Corsonie, twoja głupota jest nieuleczalna. Zamienię tę skorupkę na inną, bardziej pospolitą, i właśnie ją pomaluję. Wykorzystam do tego celu barwnik, który w razie potrzeby będę umiał zneutralizować. Cała moc Ngal R'ndy pochodzi ze szczególnego koloru jego jaja. Dlatego uważa on, że od czasu do czasu dobrze jest je pokazać. Niewątpliwie z tego też powodu nikt nie zostaje w sali w chwili wykluwania się piskląt. Podstawienie jest niemożliwe. Chyba że dysponuje się hippronem. Nie wydaje mi się, aby ta zamiana została kiedykolwiek zauważona, ani że spowoduje większą perturbację. Żeby się całkowicie upewnić, wezmę skorupkę jaja Urianina wyklutego w tym samym czasie co Ngal R'nda i o tych samych wymiarach. Najtrudniejsze będzie podłożenie jej co najwyżej w czasie jednej sekundy, zanim ktokolwiek będzie miał czas wejść i nas zobaczyć.

– Niemożliwe – powiedział Corson.

– Istnieją środki zwiększające szybkość ludzkich reakcji dziesięciokrotnie. Przypuszczam, że słyszałeś o nich. Stosuje się je podczas walki na pokładach gwiazdolotów.

– One są niebezpieczne – powiedział Corson.

– Nie proszę cię, żebyś je zażywał.

Veran zaczął zbierać kawałki skorupy i wkładać je do worka. Po chwili rozmyślił się.

– Lepiej będzie odbarwić ją i podrzucić na miejsce fałszywej. Nigdy nie wiadomo.

Przystąpił do kilku testów, po czym na okruchach rozpylił jakiś aerozol. W ciągu kilku sekund nabrały koloru kości słoniowej.

– Na koń – wykrzyknął zadowolony Veran.

Znowu zanurzyli się w rzece czasu. Dostyc szybko odkryli salę, gdzie leżały dziesiątki porzuconych skorupki. Veran zsynchronizował hipprona, zaczął przebierać w resztkach i wreszcie wyciągnął kompletną skorupkę. W strumieniu rozpylacza nabrała koloru idealnego błękitu i poszła do woreczka zastąpić tę odbarwioną. Veran potknął pigułkę.

– Akcelerator zadziała za trzy minuty – oświadczył. – Dziesięć sekund nadszybkości to więcej niż półtorej minuty czasu subiektywnego. Więcej niż potrzeba.

Odwrócił się do Corsona i uśmiechnął szeroko.

– Cały urok tego polega na tym, że jeżeli coś mi się stanie, to nie będziesz umiał się stąd wydostać. Zastanawiam się, jaką minę będą mieli Urianie, gdy odkryją w sali inkubacyjnej jednego człowieka martwego, a drugiego żywego. A także oswojoną Bestię, którą znają tylko w stanie dzikim. Ładnych rzeczy będziesz musiał im naopowiadać.

– Szybko znikniemy – powiedział Corson. – Perturbacja będzie za duża. Cała historia tego fragmentu continuum zostanie tym wstrząśnięta.

– Widzę, że szybko się uczysz – z humorem powiedział Veran. – Ale największa trudność to powrót tuż po naszym starciu. Nie zależy mi na spotkaniu samego siebie. A zwłaszcza na pogwałceniu prawa informacji nieregresywnej.

Corson nie drgnął.

– A na dokładkę – ciągnął Veran – hippronowi też na tym szczególnie nie zależy. Najtrudniej jest zmusić go do zbliżenia się do siebie samego w czasie. Nienawidzi tego.

Jednakże – pomyślał Corson – ja to zrobiłem. A raczej ja to zrobię. Prawo informacji nieregresywnej, jak wszystkie prawa fizyki, jest tylko prawem względnym. Ktoś, kto je w pełni rozumie; może je przekroczyć. Oznacza to, że któregoś dnia zrozumie mechanizmy czasu. Że stąd wyjdę. Że powróci pokój i odnajdę Antonellę.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Corson zachował z tego tylko skłębione, poplątane wspomnienia. Jak w kalejdoskopie, cień Verana poruszał się tak szybko, że zdawał się spęcznieć przestrzeń swoją objętością. Błękitny połysk fragmentów jaja, nisze wypełnione piszczącymi postaciami małych Urian, drzwi, które otwierają się i zapewne skrzypią, i nagle, jakby zapach chloru, chociaż oczywiste było, że atmosfera sali nie może przeniknąć do wnętrza skafandra, spływ przez czas, głos Verana, wysoki, urywany, tak szybki, że słowa były niemal niezrozumiałe, piruet w przestrzeni, mdłości, spadanie na wszystkie strony Wszechświata.

– Koniec drugiej fazy – zatrąbił Veran.

Pułapka zastawiona. Dwa wieki, może dwa i pół wykruszą się, zanim Veran pchnie Ngal R'ndę, ostatniego Księcia Urii, pana wojny, wywodzącego się z błękitnego jaja, ku jego przeznaczeniu.

Czas – pomyślał Corson, podczas gdy mocne ręce wyciągały go z uprzęży – czas jest najcierpliwszym z bogów.

29.

Bestia spała jak małe dziecko. Zagrzebana pięćset metrów pod powierzchnią planety, nasycona ilością energii wystarczającą do przewrócenia góry, chciała tylko spać. Była niemal całkowicie zajęta wytwarzaniem ponad osiemnastu tysięcy zarodników, z których powstałoby osiemnaście tysięcy małych jej gatunku, i z tego powodu była wrażliwa. Dlatego też ześliznęła się przez warstwy osadowe aż do bazaltowej ławy, gdzie wydrążyła sobie gniazdo. Lekka radioaktywność skały dostarczała jej dodatkowej porcji energii.

Bestia śniła. W swych snach wspominała planetę, której nigdy nie widziała, a która była kolebką jej gatunku. Tam życie było proste i dobre. Chociaż planeta ta zniknęła przed ponad pięciuset milionami lat (lat ziemskich, jednostek, które dla Bestii nie miały żadnego znaczenia), niemal nietknięte wspomnienia scen przeżytych przez jej odległych przodków przekazywane były za pośrednictwem genów. Teraz, gdy miała się rozmnożyć, rosnąca aktywność łańcuchów chromosomowych ożywiała kolory i uwydlatniała szczegóły.

Bestia zachowała obraz rasy, która stworzyła jej gatunek mniej więcej na swoje podobieństwo i wobec której odgrywała ona rolę czegoś w rodzaju zwierzęcia domowego,

niepotrzebnego a przywiązanego. Gdyby ludzie z czasów pierwszego życia Corsona mogli poznać sny Bestii w krótkim okresie jej pojmania, znaleźliby odpowiedź na wiele zagadek. Nigdy nie zrozumieli, jak stroniąca od swych ziomek Bestia, z wyjątkiem rzadkich okazji, mogła rozwinąć pewien pozór kultury, na pewno zaś podstawy języka. Znali zwierzęta społeczne lub będące w stadium prespołecznym, tak niemal inteligentne jak ludzie na Ziemi, na przykład delfiny. Ale żaden z tych gatunków nie rozwinął prawdziwego języka mówionego. Zgodnie z aktualnymi i od tamtych czasów nie obalonymi teoriami, powstanie cywilizacji, języka, wymagało współistnienia pewnych warunków: utworzenie hierarchicznych band, hord, wrażliwości na otoczenie (żadna istota praktycznie niewrażliwa nie próbuje dostosować się do warunków zewnętrznych ani też przystosować otoczenia do swoich celów), odkrycia przydatności przedmiotów (każda istota, której naturalne kończyny stanowią niemal doskonale narzędzie względem właściwości środowiska, skazana jest na stagnację).

Bestia nie spełniała trzech warunków. Żyła w odosobnieniu. Była, w granicach ludzkiego doświadczenia, niemal niewrażliwa na otoczenie. Nie miała pojęcia o stosowaniu nawet najprostszycy instrumentów. Nie przez głupotę. Można było nakłonić ją do posługiwania się dosyć skomplikowanymi maszynami, ale wcale nie było to jej przydatne. Szpony i grzywa w zupełności zaspokajały jej potrzeby. A jednak Bestia potrafiła mówić, a nawet, według niektórych badaczy, wykorzystywać pewne symbole.

Również pochodzenie Bestii było innym, najwyraźniej nierozwiązywalnym problemem.. W czasach pierwszego życia Corsona, egzobiologia zrobiła już wystarczające postępy, by ewolucja porównawcza stała się nauką ścisłą. Teoretycznie możliwe było, badając tylko jedną istotę, sporządzenie dosyć dokładnego obrazu rodzaju, z którego wzięła początek. Ale Bestia posiadała charakterystyki tuzina różnych rodzajów. Żadne środowisko powstałe w wyobraźni jakiegoś egzobiologa nie wytworzyłoby takiego paradoksu. Był to jeden z powodów, dla którego nazwano ją po prostu Bestią. Według jednego ze zniechęconych biologów, który powiedział to jakieś dziesięć lat przed narodzinami Corsona, Bestie były jedynym znanym dowodem istnienia Boga lub przynajmniej jakiegoś bóstwa.

Długi palec energii musnął Bestię przez nieco dłużej niż nanosekundę. Poruszyła się we śnie. Łapczywie pochłonęła nadarzające się pożywienie, nie niepokojąc się, skąd ono pochodzi. Drugi kontakt, lekki jak piórko, na wpół ją rozbudził. Trzeci ją przeraził. Umiała odróżnić większość naturalnych źródeł energii. Tym razem źródło było sztuczne. Coś – lub ktoś – próbował ją pojmać.

Z prerażeniem zrozumiała, że pochłaniając energię pierwszej wiązki popełniła błąd. Zdradziła swoją obecność i pozycję. To samo zrobiła z drugą. Spróbowała pohamować apetyt, gdy dosięgła ją trzecia. Ale zbyt przestraszona, żeby zapanować nad sobą, nie mogła powstrzymać się, by nie uszczknąć cząsteczki. Gdy się bała, instynkt nakazywał jej pożerać możliwie najwięcej energii, i to w każdej postaci. Czuła już twarde, energetyczne lance wpijające się w jej delikatne ciało. Zaczęła zawodzić nad swoim losem, mała, biedna istotka panująca tylko nad strzępem przyszłości, zdolna do analizowania zaledwie dziesięciu elementów naturalnych otoczenia naraz. Jęczała nad losem osiemnastu tysięcy niewinnych istot ukrytych w jej bokach, którym groziła utrata życia.

Prawie sześć tysięcy kilometrów dalej, przy aparatach tkwiły ogromne ptaki pod pełnym zainteresowaniem spojrzeniem pułkownika Verana. Neutronowa wiązka omiatająca wnętrzości planety trzykrotnie została pochłonięta w tym samym punkcie. Faza nałożonej fali powrotnej wykazywała niewielkie, lecz wyraźne przesunięcie.

– On jest tam – powiedział zaniepokojony Ngal R'nda. – Jest pan pewny, że może go pan unieszkodliwić?

– Absolutnie – odpowiedział zuchwale Veran.

Układ zawarto nie bez trudu, lecz na jego korzyść. Obóz był na muszkach uriańskiej broni, ale on się tym nie przejmował. W rękawie ukrywał kartę atutową. Odwrócił się, by wydać kilka rozkazów.

Pięćset metrów pod ziemią Bestia gromadziła siły. Czowała się jakby okaleczona. Proces dojrzewania jej progenitury był zbyt zaawansowany, aby mogła poruszać się w czasie. Nie potrafiłaby zsynchronizować ruchów każdego z osiemnastu tysięcy małych. One ze swej strony nabyły dosyć autonomii, by móc przeszkadzać swej rodzicielce. Jeżeli groźba nabierze konkretnego kształtu, będzie zmuszona je opuścić. Był to jeden z przypadków, gdy instynkt samozachowawczy jednostki wchodził w konflikt z instynktem gatunku. Przy dużej dozie szczęścia parę z nich przeżyje, większości jednak nie uda się odpowiednio zsynchronizować z teraźniejszością. Gwałtownie zetkną się z odpowiadającą ich objętości masą materii. Energia wyzwolona w eksplozji będzie zbliżona wielkością do energii rozpadu ładunku atomowego małych rozmiarów. Nie mogło to poważnie zagrozić Bestii, lecz na pewno zabiłoby taki embrion.

Rozwiązanie polegało być może na zejściu jeszcze głębiej w skorupę planety. Ale Bestia wybrała na swoje gniazdo jej słaby punkt. Kieszeń lawy, wyjątkowo bliska powierzchni, przyciągała ją jak ogień w kominku przyciąga kota. W normalnym stanie Bestia kąpałaby się z rozkoszą w lawie. Lecz w aktualnych warunkach wahała się. Wysoka temperatura przyśpieszyłaby dojrzewanie. A wtedy nie mogłaby wytworzyć wystarczającej odległości pomiędzy małymi a sobą i najpewniej stałaby się ich pierwszą ofiarą.

Wyjść na powierzchnię i zaryzykować? Na nieszczęście dla Bestii planeta–olbrzym, z której wzięli początek jej dawni przodkowie, planeta widziana w snach, nawiedzana była przez drapieżniki, dla których stanowiłaby łakomy kąsek. One także umiały poruszać się w czasie. Zniknęły pięćset milionów lat temu, fakt ten jednak w żaden sposób nie mógł wpłynąć na postępowanie Bestii. Jej gatunkowa pamięć nie brała tych zasadniczych danych pod uwagę. Dla Bestii te pięćset milionów lat nigdy nie upłynęło. Nie wiedziała, że jej rodzaj przeżył o wiele swoich stwórców i pierwszych panów i że swe przeżycie zawdzięcza on roli domowego zwierzęcia, obecnego we wszystkich niemal ogniskach domowych, pielęgnowanego i rozpieszczanego przez członków potężnego społeczeństwa zaginionego w zapomnianej wojnie.

Powierzchnia zatem nie wchodziła w rachubę, czas był zakazany, głębiny niebezpieczne. Bestia, tym razem dobrze już rozbudzona, –zaczęła szlochać nad swym losem.

Niedaleko siebie, ledwo kilka dziesiątków kilometrów, wyczuła czyjaś obecność. W normalnej sytuacji jej pierwszą reakcją byłoby przemieszczenie się w czasie. Ale obawa przed utratą małych stłumiła strach przed osaczeniem. Obecność stała się bardziej namacalna,

liczniejsza. Zbliżało się wiele istot z jej gatunku. Jednak identyfikacja nie pocieszyła jej. W przeszłości zdarzało się jej uprawiać kanibalizm i z doświadczenia wiedziała, że Bestia w pełnym okresie lęgu stanowi smakowitą zdobycz. Nie wiedziała za to, że w takich okolicznościach kanibalizm sprzyjał złożonym wymianom genetycznym i miał za zadanie powstrzymać gatunek przed degeneracją. Wołałaby może, gdyby знаła, płciową metodę reprodukcji, lecz jej stwórcy o tym nie pomyśleli.

Na koniec spróbowała dokonać olbrzymiego wysiłku, by umknąć pościgowi, ale na próżno. Wytrysnęła w atmosferę na szczycie gejzera lawy. Hipprony Verana przewidziały takie wyjście i działały zgodnie z przyjętym planem, całkowicie obcym zwyczajom ich gatunku. Wynurzyły się ze wszystkich kierunków naraz, wzdłuż odcinka czasu kontrolowanego przez Bestię. Przyjęły ją i obezwładniły tym samym ruchem, tak jak tysiące lat temu na Ziemi robiły to tresowane słonie, popychając zgodnie bokami jednego ze swych dzikich krewnych. Bestia znalazła się w siatce energetycznej skuteczniejszej i pewniejszej niż klatka na pokładzie "Archimedes". Najpierw zaczęła popłakiwać, potem widząc nieskuteczność swoich protestów, pozwoliła się zabrać i wkrótce zasnęła, odnajdując w snach złudny azyl zniszczonej planety.

30.

Była to pora ćwiczeń z bronią. Corson rozkoszował się spokojem egzystencji zorganizowanej w najmniejszych szczegółach. Na rozkaz Verana rano i wieczorem uczył się jazdy na hippronach. Ćwiczący go żołnierze, których zadaniem niewątpliwie było również pilnowanie go, nie dziwili się widząc na jego szyi naszyjnik bezpieczeństwa albo też powstrzymywali się od wszelkich aluzji. Bez wątpienia doszli do przekonania, że Corson jest członkiem osobistej eskorty Verana. Ten z kolei nakreślał plany w towarzystwie Ngal R'ndy i szlacheckiej uriańskiej śmietanki. Najwidoczniej zdobył sobie ich zaufanie, Urianie z dnia na dzień dali się przekonać i przekazywali mu egzemplarze swej najlepszej broni, zapoznając go z jej działaniem. Rzucająca się w oczy dyscyplina małej armii Verana wywierała na nich wrażenie. A może ich nieuleczalne poczucie wyższości nie pozwalało im wyobrazić sobie, że człowiek, ich sługa, mógłby chcieć zerwać przymierze i im zagrozić. Przy okazji, z punktu widzenia Corsona, dawali dowód niewiarygodnej naiwności. Pozorny szacunek Verana napępiał ich zadowoleniem. Pułkownik rozkazał, by wszyscy jego ludzie ustępowali z drogi każdemu napotkanemu Urianinowi, niezależnie od jego pozycji. Rozkaz był wykonywany. Stanowiło to dla Urian dowód, że ludzie ci znają swoje miejsce i umieją je zachować. Jak mówił Veran w sposób raczej sybilliński, sytuacja rozwijała się pomyślnie.

Sytuacja ta Corsonowi nie wydawała się taka jasna. Na jego oczach powstawała wspiana machina wojenna. Bestia, uwięziona w klatce nie mającej słabych punktów, zbliżała się do końca okresu inkubacji. Postanowiono, że małym pozwoli się ją pożreć, gdyż w tym wieku nie nadawała się do tresury. Wydawało się Corsonowi, że zebrane siły Verana i Urian zmierzały do rezultatu diametralnie różniącego się od planowanego. Teraz nie mógł się już wyrwać. Mogło też być tak, że nie wiedziałby, co zrobić ze swoją wolnością. Czuł, że w tym

jednym z najstraszliwszych w historii przedsięwzięć militarnych, równie dobrze mógłby uczestniczyć jako widz. Jego przyszłość nie dawała mu żadnego znaku. Przeznaczenie było nakreślone, ale w kierunku, w którym nie zmierzał.

Pewnej spokojnej nocy jego ponure myśli skierowały się na mniej posępne tory.

Kontemplował drzewa i niebo Urii dziwiąc się, że aktywność obozowa nie została zauważona i że nikt z Dyoto czy też innego miasta nie uznał za słuszne zapytać, co tu się dzieje, gdy zbliżył się do niego Veran.

– Piękny wieczór – powiedział pułkownik.

W zębach trzymał krótkie cygaro, co mu się dosyć rzadko zdarzało.

Puścił kółko dymu, a potem powiedział gwałtownie:

– Ngal R'nda zaprosił mnie na najbliższą prezentację jaja. To okazja, na którą czekam. Pora już, abym się go pozbył.

Znowu zaciągnął się cygarem, Corson jednak nie odważył się na komentarz.

– Boję się, że będzie coraz bardziej nieufny. Od kilku dni nalega, by ustalić datę rozpoczęcia działań wojennych. Ten stary sęp ma tylko wojny i rzezie w głowie. Ja nie lubię wojny. Wojna zawsze powoduje wielkie straty materialne i śmierć dobrych żołnierzy. Walczę tylko wtedy, gdy innym sposobem nie udaje mi się osiągnąć tego, czego chcę. Jestem pewny, że gdy już Ngal R'nda zniknie, to dogadam się z władzami tej planety. Ciekawa rzecz, ale wydaje mi się, że ich nie ma. Może wiesz coś, Corson, na ten temat?

Milczenie.

– Przypuszczałem, że nie będziesz nic wiedział – rzekł Veran nagle ostrym głosem. – Otóż wysłałem szpiegów do różnych miast tej planety. Na miejscu nie napotkali na najmniejsze trudności, ale niewiele się dowiedzieli. Jest to niedogodność zdecentralizowanych systemów społecznych. Wydaje mi się, że ta planeta, jeśli nie brać pod uwagę raczej ograniczonej władzy Ngal R'ndy, nie ma oficjalnego rządu.

– Oto, co ułatwi pańskie plany – powiedział Corson.

Veran rzucił mu krzywe spojrzenie.

– To najgorsze, co może się zdarzyć. Jak sobie wyobrażasz moje rokowania z rządem, który nie istnieje?

W zamyśleniu spoglądał na cygaro.

– Ale – podjął – powiedziałem tylko: wydaje się. Jeden z moich szpiegów, bardziej przebiegły od pozostałych, przyniósł mi ciekawe wieści. Planeta ta ma ponoć pewną organizację polityczną, ale całkowicie oryginalnego typu. Rada tej organizacji panuje rzekomo na przestrzeni wielu wieków i rezyduje w innym wieku niż ten, w którym aktualnie jesteśmy. Mówiąc dokładniej, za jakieś trzysta lat. Jest to najbardziej zwariowana historia, jaką kiedykolwiek słyszałem. Panować nad umarłymi i jeszcze nie narodzonymi dziećmi.

– Najwyraźniej nie mają oni tej samej koncepcji rządu co pan – cicho powiedział Corson.

– Demokraci, prawda? Może nawet anarchiści! Znam tę śpiewkę. Zredukować administrację ludzi i systemów do najniezbędniejszego minimum. To nigdy nie trwa długo. Cały system wali się przy pierwszej inwazji.

– Tutaj nie było inwazji od wielu wieków – powiedział Corson.

– No to przypomną sobie, co to jest. I jeszcze jedno. Nie mówiłem ci, Corson, o innym, szczególnym fakcie. Jeden z członków tej rady jest człowiekiem.

– To wcale nie takie dziwne – ośmielił się zauważyć Corson.

– Bardzo jest do ciebie podobny. Sądzę, że jest to raczej zadziwiający zbieg okoliczności. Może to ktoś z twoich krewnych?

– Nie mam tak wysokich koligacji – odpowiedział Corson.

– Mój człowiek nie widział na własne oczy tego osobnika. Nie udało mu się także położyć ręki na żadnym, przedstawiającym go dokumencie. Ale jest bardzo stanowczy. Ten szpieg jest specjalistą do fizjonomii. Typologię ma w małym palcu. Jest tylko jedna szansa na milion aby mógł się mylić. Ponadto jest dobrym rysownikiem. Z pamięci nakreślił twój portret, pokazując go swym informatorom. Wszyscy, którzy widzieli tego człowieka, Corson, rozpoznali ciebie. Co o tym myślisz?

– Nic – szczerze odpowiedział Corson.

Veran dokładnie go zlustrował.

– Możliwe, że jesteś szczerzy. Powinienem sprawdzić cię detektorem kłamstw, lecz stałbyś się co najmniej idiotą. A idiota nie wysłał do mnie tej wiadomości. Na moje nieszczęście, jeszcze cię potrzebuję. Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałem, próbowałem dodać dwa i dwa, ale bez rezultatu. Najpierw pomyślałem, że może jesteś jakąś maszyną, androidem. Lecz byłeś badany na wszystkie możliwe sposoby, od chwili, kiedy jesteś między nami, i tę możliwość musiałem oddalić. Wiem o tobie wszystko, z wyjątkiem tego, co się dzieje pod twoją czaszką. Nie jesteś maszyną, a także nie urodziłeś się w probówce. Masz sposób myślenia, odwagę i słabości zwyczajnego człowieka. Trochę przestarzałego pod pewnymi względami, jakbyś pochodził z minionej epoki. Jeśli wykonujesz jakieś zadanie, to przyznaję, że wykonujesz je zupełnie sam. Pozostawiając sobie pewien zasób gwarancji. Na przykład ta diabelna wiadomość. Dlaczego nie grasz ze mną w otwarte karty, Corson?

– Nie mam ręki – powiedział Corson.

– Ręki?

– Kart, których potrzeba.

– Możliwe. Lecz jesteś asem w czyjejś grze. A zachowujesz się tak, jakbyś o tym nie wiedział.

Veran rzucił niedopałek cygara na ziemię i rozgniół go obcasem.

– Podsumujmy sytuację – powiedział. – Ci ludzie dysponują możliwością podróżowania w czasie. Ukrywają to, ale jest to prawda. Bez tego rząd panujący za trzy wieki nie mógłby kierować tą teraźniejszością. Wiedzą już, co zrobić, wiedzą, co się stanie, z wyjątkiem czasowej perturbacji. I nic jeszcze nie przedsięwzięli ani przeciw mnie, ani przeciw Ngal R'ndzie. Oznacza to, że dla nich sytuacja jeszcze nie dojrzała. Na coś czekają, tylko na co?

Westchnął głęboko.

– Chyba że już rozpoczęli działania. Chyba że to ty właśnie jesteś członkiem ich Rady w misji specjalnej.

– Nigdy nie słyszałem nic głupszego – powiedział Corson.

Veran cofnął się o krok i wyciągnął broń z kabury.

– Mogę cię zabić, Corson. Może równa się to samobójstwu. Ale ty umrzesz przede mną. Nigdy nie wyślesz tej wiadomości, a ja nigdy nie dotrę do tej planety, nie będę miał zatem okazji uwięzić cię i zabić, lecz perturbacja czasowa będzie taka, że wyjdiesz z tego poszkodowany. Nie będziesz ten sam. Będziesz kim innym. Co jest ważne dla człowieka? Jego nazwisko, wygląd, jego chromosomy? Czy też wspomnienia, doświadczenia, własny los, osobowość?

Przyglądali się sobie. Potem Veran schował broń.

– Miałem nadzieję, że cię przestraszę. Przyznaję, że mi się to nie udało. Ciężko jest przestraszyć człowieka, który był na Aergistalu.

Uśmiechnął się.

– W gruncie rzeczy wierzę ci, Corson. Prawdopodobnie jesteś tym człowiekiem, który zasiądzie w Radzie Urii za trzy wieki, i nie wiesz o tym. Jeszcze nie jesteś tym człowiekiem. W tej chwili jesteś dopiero jego najlepszą kartą.

On sam nie mógł przybyć, ponieważ wie już, co się stało.

Musiałby złamać prawo nieregresywnej Informacji. Nikomu nie może zaufać. Zatem postanowił wysłać się sam, wykorzystując wcześniejszy okres swojej egzystencji i działając na bieg wydarzeń tylko lekkimi dotknięciami, poniżej, progu perturbacji. Moje szczere gratulacje! Przed tobą świetlana przyszłość. Jeżeli dożyjesz do tego czasu.

– Niech pan zaczeka – powiedział Corson.

Pobladł. Usiadł na ziemi i wziął się za głowę. Veran na pewno ma rację. Ma doświadczenie z wojen czasowych.

– Tęga zaprawa, co? – powiedział Veran. – Zastanawiasz się może, dlaczego ci to wszystko powiedziałem. Nie szukaj. Jak tylko pozbędę się Ngal R'ndy, wyślę cię do tej Rady w roli ambasadora. Ponieważ mam przyszłego męża stanu pod ręką, skorzystam z tego. Powiedziałem ci, że zamierzam pertraktować. Poproszę cię o niewiele rzeczy: o sprzęt, o roboty, okręty i odejdę. Tę planetę pozostawię w spokoju. Nie tknę jej palcem, nawet jeżeli uda mi się podbić całą resztę galaktyki.

Corson podniósł głowę.

– A jak pozbędzie się pan Ngal R'ndy? – zapytał z raźniejszą miną.

Veran zaśmiał się krótko, jak wilk.

– Tego ci nie powiem. Może próbowałbyś mnie wyprzedzić. Sam zobaczysz.

31.

Do przedpokojów w zespole Prezentacji weszli nadzy. Tam poddano ich rytualnej kąpieli, a następnie ubrano w żółte togi. Corsonowi wydawało się, że niewidzialne promieniowanie niezliczonych detektorów przebiega mu skórę, było to jednak złudzenie, gdyż środki Urian były bardziej wyrafinowane. Przeczynał, że Veran zamierza wykorzystać Prezentację Jaja, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób. Było niemal pewne, że Veran nie ma przy sobie żadnej broni. Urianie znali za dobrze ludzką anatomię, by można było skorzystać z jej naturalnych schowków. A gdyby Ve-ran chciał użyć siły, zaatakowałby na czele swych hippronów.

Ryzykowna sprawa, gdyż Urianie mieli czym odpowiedzieć, ale jego sprzymierzeńcem byłby czas. Nie, w zanadru musiał ukrywać jakiś zuchwały fortel.

I po raz drugi Corson przebył drogę poprzez otwierające się przed nim szeregi, a Veran podążył aż do pierwszego rzędu.

Veran bez słowa, długo i z uwagą przyglądał się metalowemu ołtarzowi. Światła przygasły. Przez przeponowe drzwi wkroczył Ngal R'nda. Corsonowi wydał się dumny bardziej niż kiedykolwiek. Pod swym sztandarem miał dwóch ludzkich najemników. Bez wątplenia już teraz przed jego oczyma, na dymiących ruinach miast powiewały niebieskie chorągwie Urii albo też zwisały zamarłe na dziobach okrętów znieruchomiełe w spokojnym oceanie próżni. Śnił o wyprawach krzyżowych. Było w nim coś załośnie wielkiego. Istota o jego inteligencji wpadająca w zasadzkę koloru, dająca się nabrać na przesąd z otchłani wieków, z którym Veran rozprawił się w dwóch słowach: genetyczna fantazja.

Jajo. Corson zrozumiał. I z sercem pełnym przerażenia, a także jakiejś szczególnej litości wobec ostatniego Księcia Urii i pełen nie mniej osobliwego podziwu dla zuchwałego Verana, z wytrzeszczonymi oczyma przyglądał się każdemu szczegółowi ceremonii. Słyszał intonującego Ngal R'ndę i tłum odpowiadający mu słowami niemożliwymi do zapisania, a będącymi listą nazwisk jakiejś genealogii. Widział otwierającą się metalową skrzynię i wyniesione na piedestale jajo, niby gigantyczny turkus, i wyciągające się pomimo zwyczajów szyje, i podwójne powieki mrugające z szybkością skrzydeł kolibra.

Ostatni Książę Urii otworzył dziób, ale zanim ponownie zagdakał, zrobiło się zamieszanie. Veran odepchnął otaczającą go uriańską szlachtę, skoczył do przodu, lewym ramieniem otoczył szyję Ngal R'ndy i wolną ręką wskazując jajo zawołał:

– Oszust! Piiekivo! Piiekivo!...

Corson nie potrzebował słownika, by zrozumieć, że słowo to znaczy oszust w języku ptaków.

– To jajo – wołał Veran – jest pomalowane! Ten nędznik oszukał was. A oto dowód.

Urianie zamarli.

To była szansa, pomyślał Corson, i to szansa, na którą liczył Veran, gdyż nawet szlachta uriańska nie miała prawa wchodzić z bronią do Sali Prezentacji. Veran dotknął jaja dłonią. W miejscu dotknięcia jajo straciło swój lazurowy blask. Nabierało koloru kości słoniowej.

Po chwili Corson zrozumiał. Nawet nagi, nawet trzykrotnie wykąpany i wytarty do sucha chropowatą tkaniną, Veran dysponował pewnym aktywnym produktem, zasadowym i kwasowym jednocześnie, złożonym i w stanie płynnym.

Potem na dłoni.

Reakcja na powierzchni jaja rozwijała się. Na poziomie molekularnym łańcuchy rozpadały się jedno po drugim. Barwnik rozkładał się na bezbarwne składniki albo najprawdopodobniej sublimował się. Veran nie lubił zostawiać śladów.

Z tłumku podniosły się ostre gwizdy. W ramiona Corsona wbiły się w pazury, a on nie opierał się. Veran puścił Ngal R'ndę, który cichutko, z szeroko otwartym dziobem próbował złapać oddech. Urianie w fioletowych togach dopadli najemnika, który krzyczał:

– Dowiodłem wam, dowiodłem! Jajo jest białe. To oszust.

Wreszcie Ngal R'nda odezwał się:

– On kłamie. Ufarbował je. Widziałem to. Teraz umrze.

– Rozbijcie jajo – krzyczał Veran. – Rozbijcie je! Jeżeli kłamie, środek będzie błękitny. Rozbijcie jajo!

Ngal R'nda stawiał czoła zamieszaniu. Wokół niego Urianie uformowali koło, jeszcze pełni szacunku, ale niemal groźni. Jego wasale obawiali się ptaka wywodzącego się z błękitnego jaja, a nie wojennego wodza. Książę wydał kilka przenikliwych wysokich nut, które zdawały się objawiać zmęczenie. Corson nie mógł ich zrozumieć. Lecz gest był jasny:

– Czy powinienem rozbić jajo?

Cisza. Potem rozległy się chóralne poświstywania, krótkie i bezlitosne.

Ngal R'nda pochylił głowę.

– Rozbiję jajo, które powinno zostać obrócone w proch dopiero po mojej śmierci, a pył powinien być zmieszany z moimi popiołami. Ja, ostatni Książę Urii, będę jedynym z mego olbrzymiego rodu, który rozbija po raz drugi, za życia, błękitne, chroniące mnie niegdyś jajo.

Złapał jajo w pazury, podniósł je i strzaskał o piedestał. Na ziemię posypały się odłamki. Ngal R'nda chwycił jeden ze spoczywających na cokole i podniósł do oczu, które przygasty. Zrobił krok do tyłu i osunął się na ziemię. Wtedy jeden z wysoko postawionych Urian zbliżył się do niego, schwycił za skrawek niebieskiej togi i gwałtownie pociągnął. Toga nie rozdarła się, a Ngal R'nda pociągnięty został jak worek. Potem rzucili się wszyscy. Corson poczuł, że go puszczają i potrącają. Omal nie upadł na ziemię i musiał walczyć, by odepchnąć tłoczących się Urian. Wreszcie zalew przeszedł. Na jego oczach pijane furią ptaki rozszarpały ostatniego Księcia Urii. Ostra woń chloru i mocznika zanieczyściła atmosferę. Ktoś dotknął jego ramienia. To był Veran.

– Chodźmy, zanim zaczną się zastanawiać, jak ja to zrobiłem.

Bez pośpiechu ruszyli w kierunku drzwi, a wściekle krzyki napępniały ich uszy. Wychodząc, Veran odwrócił głowę i wzruszył ramionami.

– Tak giną fanatycy – powiedział.

32.

Mniej więcej raz na dziesięć lat stawiał nogę na ziemi, zbliżał się do przechodnia i pytał:

– Który jest teraz rok?

Kilkoro z nich zemdłało. Inni uciekli. Niektórzy zniknęli. Ci widocznie umieli podróżować w czasie. Ale zawsze znajdował się ktoś, kto go informował. Bez mrugnięcia przyglądali się człowiekowi i Bestii i ' uśmiechali się. Stary człowiek. Młody chłopak. Urianin. Jakaś kobieta.

Jedno pytanie cisnęło się na usta Corsonowi:

– Czy wiecie kim jestem?

Ponieważ ich uśmiech i współpraca wydawały mu się zbyt cudowne. Wiedzieli, kim był. Byli jak strażnicy, jak latarnie rozstawione na jego drodze, a kiedy próbował Podjąć rozmowę, zręcznie się wykręcali, pozwalając jej wygasnąć. Nawet dziecko. Nie potrafił z nimi walczyć.

W ciągu sześciu tysięcy lat kultura przeszła długą drogę. W tej kąpieli nie wymoczył się wystarczająco długo. Był jeszcze barbarzyńcą, nawet jeśli wiedział rzeczy, których oni nie podejrzewali.

Kiedy zobaczył Urianina, omal nie popełnił głupstwa, już chciał ruszać w czas. Ale wielkie ptaszysko dało mu znak pokoju. Nosiło białą togę pokrytą delikatnymi haftami i powiedziało z grymasem, który Corson mógł uznać za uśmiech:

– Czego się lękasz, mój synu?

To podobieństwo Urianina do Ngal R'ndy zasiało zwątpienie w umyśle Corsona, lecz teraz dostrzegł, że spowodowane ono było jedynie podeszłym wiekiem tubylca.

– Wydaje mi się, że cię rozpoznaję. Któregoś dnia w tych czasach pełnych niepokoju wynurzyłeś się z niebytu. Byłem wtedy dzieckiem, zaledwie wyklutym z jaja. Jeżeli dobrze pamiętam, zaprowadziłem cię do kąpieli i podałem posiłek, zanim udałeś się na jakąś ciemną ceremonię. Od tego czasu wiele się zmieniło, i to na lepsze. Bardzo jestem rad, że cię widzę. Co chcesz wiedzieć?

– Szukam Rady – powiedział Corson. – Mam do przekazania wiadomość, a nawet kilka. – Znajdziesz ją na brzegu morza, na zachód stąd, w odległości trzydziestu, czterdziestu kilometrów. Ale będziesz musiał czekać około stu dwudziestu, stu trzydziestu lat.

– Dziękuję – odrzekł Corson. – Nie muszę czekać.

Podróżuję w czasie.

– W to nie wątpię – powiedział ptak. – To tylko sposób mówienia. Masz piękne zwierzę.

– Nazywa się Archie – rzekł Corson. – Na pamiątkę przeszłości.

Zrobił ruch, jakby zamierzał wrócić na siodło, ale Urianin powstrzymał go.

– Mam nadzieję, że nie masz nam za złe tego, co zdarzyło się kiedyś. To był wypadek. Tyrania rodzi gwałt A istoty są zabawkami w ręku bogów. Bogowie każą im, dla samej przyjemności oglądania widowiska, prowadzić wielkie bitwy. Sterują nimi. Lubią balety ognia i śmierci. Ty sytuację rozwiązałeś taktownie. Kto inny spowodowałby masakrę. Wszyscy Urianie są ci bardzo wdzięczni.

– Urianie?... pan także? – zapytał z niedowierzaniem.

– Stara rasa i ludzie. Wszyscy Urianie.

– Wszyscy Urianie – powiedział w zamyśleniu Corson. – To dobra nowina.

– Szczęśliwej podróży, mój synu – powiedział stary Urianin.

W ten sposób, pomyślał Corson próbując przebić wzrokiem unoszącą się z ziemi i otulającą ich mgłę, Urianie i ludzie pogodzili się. To dobrze. Urianom udało się przepędzić demony wojny. Ich gatunek nie był skazany, tak jak przypuszczał.

Zaczynał dobrze znać tę planetę. Lokalizacja plaży coś mu przypomniała. To tutaj przyprowadziła go Antonella. Zbieg okoliczności?

Postanowił udać się tam przez Dyoto. Nieracjonalny impuls, chęć odbycia pielgrzymki. Zsynchronizował hipprona nad ziemią i podniósł oczy szukając na niebie piramidalnej chmury miasta, pozornie spoczywającego na dwóch słupach pionowych rzek.

Niebo było puste.

Sprawdził swoją pozycję. Nie było jednak wątpliwości. Tam, na niebie, sto pięćdziesiąt lat wcześniej, wznosiło się wspaniałe miasto. Nie pozostało po nim śladu.

Popatrzył w dół, w kierunku żlebu wytworzonego trzema zbiegającymi się dolinami, o zalesionych zboczach i dnie porośniętym trawą. Było tam jezioro. Aby lepiej widzieć, Corson przymrużył oczy. Na środku ostry grzbiet przebijał wodę jeziora. Gdzie indziej krótkie fale rozбивały się na zatopionych przeszkodach leżących kilka centymetrów pod powierzchnią wody. Pod roślinnością porastającą brzeg rozpoznał inne ruiny o geometrycznych kształtach.

Miasto rozpadło się, a pionowa rzeka dała początek jezioru. Nadal zasilały je podziemne wodociągi, a nadmiar wypływał w postaci małego strumienia biegnącego dnem najniższej położonej z dolin. Dyoto zostało zniszczone. Zniknęła siła podtrzymująca bloki na wysokości prawie jednego kilometra nad ziemią. Nastąpiło to zapewne dosyć dawno, może sto lat temu, szacując na podstawie warstwy roślinności.

Corson wspominał ze smutkiem ożywienie pionowych i Poziomych ulic, roje wehikułów wynurzające się z niego jak pszczoły z ula, magazyn, który okradł, aby mieć co jeść, a nawet głos upominający go z kurtuazją. Pamiętał kobiety z Dyoto.

Dyoto było martwe, jak tyle innych miast, nawiedzonych przez huragan wojny. W głębinach jeziora spoczywały może zwłoki Florii Van Nelle, która mimo woli wprowadziła go w niezwykłości tego świata.

Stary Urianin kłamał. Jego uśmiech był tylko ironiczny. Wojnę stoczono, a przegrali ją ludzie. Z ich miast pozostały tylko ruiny.

Miał nadzieję, że Floria Van Nelle zginęła w nieświadomości. Do tej wojny nie była przygotowana. Zresztą do żadnej wojny. Jeżeli przeżyła jakiś czas, to tylko po to, by stać się zabawką najemników Verana albo jeszcze gorzej, zdobyczą bezlitosnych następców Ngal R'ndy.

A on, Corson, przegrał.

Zmusił się do wysiłku, aby oprzeć się chęci cofnięcia się w przeszłość. Przypomnił sobie sen o zniszczonym na jego oczach mieście i krzyku ludzi, którzy zbyt późno przewidzieli swoje przeznaczenie. Pot wystąpił mu na czoło. Nie wróci tam, przynajmniej nie teraz. Miał spotkanie w przyszłości, od którego nie mógł się wykręcić. Tam, wraz z Radą, jeżeli przetrwała, trzeba będzie pomyśleć i zobaczyć, czy możliwe jest jeszcze pchnięcie ciężkiego wozu historii na inne tory. A wtedy będzie czas wrócić i odkryć, co źle wyszło.

A nawet, jeżeli nic więcej nie będzie mógł zrobić, zabije Verana. Głucho zadzwonił w jego głowie pęknięty dzwon. Jeżeli zabije Verana, umrze. Naszyjnik wbije w jego żyły zatrute żądła. Nie powinien nawet myśleć o pokonaniu Verana. W przeciwnym razie zabije samego siebie. A teraz nie mógł sobie na to pozwolić.

Zepchnął w podświadomość żądzę zemsty. Wyczerpany dosiadł hipprona i ruszył przed siebie.

Poruszali się jakby opieszale i po raz pierwszy zauważył, że czas jest siwy. W nieprzeniknionej mgle wieków, zmieszanych dni i nocy czuł, że traci panowanie nad hippronem. Palcami grał na witkach grywy, ale na próżno. Zwierzę, może znużone albo też kierowane obcą wolą, groziło synchronizacją. Straciwszy odwagę, pozwolił mu na to.

Odgłos morza. Powolny i regularny rytm. Znajdował się ' na długiej plaży, złoconej przez zachodzące słońce. Uderzyła go ta okoliczność. Hipprony synchronizowały się spontanicznie

w pełni dnia. Przyczyną tego był ich energetyczny apetyt. Tym razem jednak Archiego przyciągnął zmierzch.

Corson szeroko otworzył oczy. Przed nim, na piasku, leżały bez ruchu trzy nagie ciała. Zdjął hełm i poczuł ciepłe powietrze.

Trzy nagie ciała, może nieżywe, tyle zostało z Rady Urii. Jeden mężczyzna i dwie kobiety na brzegu morza, jak wyrzucone przyplływem ofiary strasznej katastrofy.

33.

Gdy Corson podszedł bliżej, mężczyzna poruszył się. Oparłszy się na łokciu, przyglądał się przybyszowi. Uśmiechał się i nie wyglądało na to, by wiele ucierpiał.

– Aa – powiedział. – Pan jest człowiekiem z Aergistalu.

Czekałem na pana.

Corson odezwał się wreszcie:

– A Rada...

– Jest tutaj – powiedział mężczyzna. – Rada Urii na tysiąc lat.

Corson pochylił się nad nim.

– Potrzebuje pan pomocy?

– Nie sędzę. Niech pan siada.

– Te kobiety... – powiedział Corson opadając na piasek.

– One są w kontakcie. Niech pan im nie przeszkadza.

– W kontakcie?

– Mamy dużo czasu. Tego wieczora jest naprawdę ładnie, podoba się panu?

Zaczął kopać w piasku i odgrzebał kryształowy flakon, który odkorkował i podał Corsonowi.

– Wypij łyk, staruszku, masz dziwną minę.

Corson otworzył usta, po czym rozmyślił się. Jeżeli rozbitek uważał, że mieli czas, po co protestować. Pociągnął łyk. Wino było chłodne. Zaskoczony zakrztusił się i o mało nie udusił.

– Nie smakuje panu? – zapytał rozbitek.

– To najlepsze wino, jakie kiedykolwiek piłem.

– No to opróżnij butelkę, mój drogi. Są jeszcze inne.

Corson zdjął rękawice, żeby mu było wygodniej pić. Drugie pociągnięcie rozgrzało go. Potem przypomniał sobie, gdzie jest i jakie były tego okoliczności.

– Czy jest pan głodny? – zapytał. – Mam przy sobie kilka racji żywnościowych.

– Dziękuję panu – odrzekł mężczyzna. – Wolę kurczaka albo kawior czy też pieczoną cielęcinę. To głupio z mojej strony, że nie zaproponowałem panu tego wcześniej. Po takiej podróży pewnie jest pan głodny.

Uklęknął, z energią odrzucił kilka łopat piasku i odsłonił wielki pojemnik z cyzelowanego srebra. Podniósł pokrywę i z zadowoleniem powąchał całość.

– Proszę się częstować i jeść palcami. My jesteśmy za prostotą.

– Widziałem Dyoto – zaczął Corson.

– Piękne miasto – powiedział mężczyzna. – Trochę przestarzałe.

– Znajduje się na dnie jeziora. Wojna zniszczyła je całkowicie. .

Mężczyzna, zdziwiony, podniósł się na łokciach i usiadł.

– Jaka wojna?

Zaczął się śmiać, cicho i dyskretnie.

– To prawda, pan przybywa z niespokojnej sekwencji.

Musiał pan przeżyć szok. Pan nie wiedział.

– Co miałem wiedzieć? – agresywnie zapytał Corson.

– Dyoto zostało opuszczone. Zwyczajnie opuszczone. Nie zniszczone. Nie odpowiadało już naszemu stylowi życia.

Corson próbował jakoś to przełknąć.

– A jak życie?

– Jak pan widzi. Zwyczajnie. Potrzebujemy medytacji.

Przygotowujemy się do...

Tu zawahał się.

– Do przyszłości.

– Jest pan pewien, że nie potrzebujecie pomocy? – powiedział Corson wycierając sobie rękę piaskiem, by zetrzeć ślady tłuszczu pozostawione przez soczystą połówkę kurczaka.

– Potrzebujemy pana, Corson. Ale nie tutaj, nie teraz.

– Jest pan pewien, że niczego wam nie brakuje? – zapytał z niedowierzaniem Corson.

– Czy wyglądam na takiego, któremu czegoś brakuje?

Może ubrania? W ogóle ich nie nosimy.

– Żywności, leków. Nie wydaje mi się, aby cała plaża nadziana była butelkami wina i blaszankami. Co pan zrobi, gdy wyczerpie się ta rezerwa?

Mężczyzna ze skupieniem przyglądał się morzu.

– Rzeczywiście – powiedział – nigdy mi to nie przyszło do głowy. Myślę, że...

Corson przerwał mu gwałtownie.

– Niech pan się ruszy, może pan zwariował albo jest pan chory? Musi być jakiś sposób, żeby łowić w tym morzu i polować w lasach. Nie chce pan chyba umrzeć z głodu.

– Nie sądzę – odparł mężczyzna. – Popatrzył wprost na Corsona, po czym podniósł się jednym ruchem. Był dobrze zbudowany, muskularny, wyższy od Corsona. Długie włosy okalały mu twarz.

– A jak pan sądzi, skąd pochodzi ten flakon?

Teraz Corson wstał i zaambarasowany rysował coś w piasku czubkiem buta.

– Nie wiem.

– Kiedy nie mamy już wina, prosimy o następne.

– Aha – powiedział Corson, któremu twarz rozchmurzyła się. – Mieszkacie na wydmach i na kolację przybyliście na plażę. A tam macie służbę albo roboty.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Na wydmach nie znajdzie pan ani pałacu, ani rudery, ani służby, ani robotów. Nie sądzę, aby w promieniu czterdziestu kilometrów była jakaś żywa dusza. Widzę, że nie zrozumiał pan naszego sposobu życia. Nie mamy innego dachu nad głową niż firmament, innego

posłania niż piasek ani innej pościeli niż zefirek. Czy jest panu za gorąco, czy za zimno? Mogę to załatwić.

– Ale skąd to pochodzi? – powiedział zirytowany Corson, odpychając nogą pustą butelkę.

– Z innej epoki. Z przyszłego lub ubiegłego wieku, nie mam pojęcia. Postanowiliśmy kilka dziesięcioleci zostawić odłogiem. Jest to bardzo przyjemne miejsce odpoczynku i refleksji. Oczywiście kontrolujemy klimat. Ale w tej epoce na tej planecie nie znajdzie pan ani jednej maszyny. Wszystko, czego potrzebujemy, znajduje się za kulisami czasu. Kiedy czegoś potrzebujemy, jedno z nas wchodzi w kontakt i prosi o to. I przedmiot jest tu wysyłany.

– A Dyoto?

– Jakiś czas temu zauważyliśmy, że kroczyliśmy fałszywą drogą. Postanowiliśmy spróbować czego innego.

– Właśnie tego – powiedział Corson.

– Właśnie – odrzekł mężczyzna.

Corson kontemlował morze. Widział klasyczny zachód słońca, lecz coś się w nim poruszyło, coś, co szukało ujścia. Kilka kroków od brzegu morze pluskało o skałę, jak wreszcie oswojone zwierzę. Niewidoczne słońce zapalało chmury. Instynktownie poszukał na niebie księżycy, lecz go nie było. Gwiazdy, których konstelacje już znał, były wystarczająco liczne, aby rzucać na tę planetę bladą jasność.

– Czy to nie jest piękne? – powiedział mężczyzna.

– Tak, to piękne – przyznał Corson.

Z wahaniem rzucił okiem w kierunku pogrążonych w śpiączce kobiet, choć może też po prostu śpiących. W ich postawie było coś z rezygnacji. Wydawało mu się, że rozpoznaje brązowe włosy, linię pleców. Uczynił krok w kierunku tej, którą wziął za Antonellę.. Mężczyzna powstrzymał go gestem.

– Niech pan im nie przeszkadza. One mają teraz konferencję. W pańskiej sprawie. Są w kontakcie z tymi z Aergistalu.

– Antonella – powiedział Corson.

Mężczyzna odwrócił głowę.

– Antonelli tu nie ma. Zobacz ją pan później.

– Ona mnie jeszcze nie zna – powiedział Corson.

– Wiem. – (Głos był łagodny i niski, jakby mężczyzna żałował, że poruszono ten temat). – Musi nauczyć się pana rozpoznawać.

Zapadła cisza.

– Nie trzeba mieć nam tego za złe.

Potem podjął szybko:

– Czy chce pan spać, czy też woli pan, żebyśmy teraz porozmawiali o naszych sprawach?

– Nie chce mi się spać – odrzekł Corson – ale chciałbym trochę pomyśleć.

– Jak pan sobie życzy – powiedział mężczyzna. .

Corson długo milczał, siedząc na piasku z łokciami opartymi na kolanach. Słońce całkiem zniknęło. Nad morzem poruszały się gwiazdy. Powietrze miało temperaturę skóry. Po jakimś czasie zdjął skafander i boty. Nie odważył się jeszcze obnażyć całkowicie, ale coraz bardziej

tęgo pragnął, chciał także zanurkować w fale i popłynąć, zapomnieć o bogach wojny. Tutaj przyływy były pewnie niewielkie. Brak księżyca. Rozbijać morze mogło tylko dalekie słońce. Potem otrząsnął się i przerwał ciszę. Mówił, początkowo niepewnym głosem, tak jakby był sam, jakby lękał się naruszyć delikatną równowagę nocy lub obudzić wroga. Po chwili jego głos nabrał pewności.

– Jestem ambasadorem – powiedział – szczególnego rodzaju. Byłem żołnierzem. Przeżyłem czas. Słyszałem bogów Aergistalu. Wiedziałem, że trzy niebezpieczeństwa zagrażały pokojowi Urii. Pierwszym było zwierzę, takie jak to, które mnie tutaj przyniosło, ale w stanie dzikim, drapieżne. Drugie polegało na spisku uknutym przez pierwszych mieszkańców tej planety przeciw ludziom. Trzecie nosiło imię starego wojaka, przybywającego znikąd i którego, zgodnie z tym, co mówi, sam sprowadzę na tę planetę. Obecnie go reprezentuję. A wreszcie jestem swoim własnym ambasadorem, chcę oczyścić Urię z tych wszystkich niebezpieczeństw, brakuje mi jednak środków. Miałem nadzieję znaleźć tutaj pomoc, chociaż ci z Aergistalu mówili, abym liczył tylko na siebie. Za cenę sukcesu, według nich, zdobędę wolność, a może i coś więcej. Ale widzę, że jest to zadanie niemożliwe do wykonania.

– Wiem o tym wszystkim – powiedział mężczyzna. – Zadanie jest w połowie wykonane. Niezłe pan sobie radzi, Corson, jak na człowieka z dawnych czasów.

– Bestia jest w klatce – rzekł Corson – a spisek został rozbity. Nie wiem, czy potrafię zrobić więcej. Pozostaje Veran, pan wojny, którego jestem tutaj, na nieszczęście, emisariuszem.

– Tenże Veran chce podbić Wszecchświat – podjął Corson pociągnawszy z butelki. – Żąda broni i żołnierzy albo robotów. W zamian obiecuje zostawić tę planetę w spokoju. Ale ja mu nie ufam. Co więcej, jeśli urząd bezpieczeństwa spróbuje go powstrzymać, wojna gotowa. Potoczy się ona na tej planecie, ponieważ Veran nie pozwoli się tak łatwo wyeksmitować.

– Pan jest urzędem bezpieczeństwa – powiedział łagodnie mężczyzna – a w naszej przeszłości nie było wojny.

– Uważa pan, że ja... – wymamrotał Corson.

– Jest pan przedstawicielem urzędu w tym rejonie. Do pana należy powstrzymanie tej wojny.

– Wojny nie było – powiedział powoli Corson – ponieważ pan jest tutaj. To znaczy, że udało mi się. I jest to sprzeczne z prawem nieregresywnej informacji.

Mężczyzna przesypywał piasek z ręki do ręki.

– Tak i nie. To nie takie proste. Prawo nieregresywnej informacji jest tylko przypadkiem szczególnym.

– A więc – powiedział Corson – przyszłość może ingerować w przeszłość?

– Niektóre interwencje wywołują tylko nieznaczące skutki, inne są niebezpieczne, a niektóre z nich korzystne, przynajmniej z punktu widzenia uprzywilejowanego obserwatora. Pana, mnie albo Verana." Kontrola czasu przypomina nieco ekologię. Proszę sobie wyobrazić planetę zamieszkaną przez owady, ptaki i zwierzęta trawożerne. Owady spalniają ziemię i sprzyjają wzrostowi trawy. Ptaki zjadają owady i zapylają roślinność. Zwierzęta trawożerne pasą się trawą. Ich wydaliny i zwłoki służą owadom za pożywienie i użyźniają glebę. Tak

wygląda najprostsza pętla ekologiczna. Może pan usunąć bez obawy jednego owada albo i tuzin, i tak nic się nie stanie. Może pan wystrzelać ptasią rodzinę albo spożywać mięso trawożerców, a nie nastąpi zachwianie równowagi. Jeżeli jednak zniszczy pan wszystkie owady na wystarczająco dużym obszarze, ptaki opuszczą go albo zginą z głodu. Trawa zniknie w ciągu kilku sezonów. Z kolei znikną zwierzęta trawożerne. Powstanie pustynia. To samo stanie się, jeżeli osłabi pan poważnie jakiekolwiek ogniwo łańcucha. Dla każdego punktu istnieje próg, który może wydawać się bardzo wysoki. Załóżmy, że wpuścimy na tę planetę kilka hord mięsożerców na tyle szybkich i mocnych, by mogły atakować trawożerców. Na początku będą one zagubione w ogromie planety. Całymi latami mógłby pan przeszukiwać równiny i nie natrafić na ich ślad. Ale na dłuższą metę, nie napotykając na żadnego przeciwnika, rozmnożą się one do tego stopnia, że zredukują liczbę trawożerców. Stracą na tym owady, następnie ptaki, potem roślinność.

Zwierzęta trawożerne zagrożone zostaną z dwóch kierunków naraz. Nawet zwierzęta mięsożerne zaczną zdychać z głodu. Przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się nowa równowaga, bardzo różna od istniejącej na początku, może niestała. Dla jednego i dla drugiego gatunku będą istniały okresy głodu i obfitości. Próg krytyczny będzie o wiele niższy niż w pierwszej hipotezie. Może nawet wystarczyłoby wprowadzenie jednej pary mięsożerców, aby pociągnęło to za sobą nieprzewidziane konsekwencje. W ekologii dynamicznej istota znacząca nigdy nie jest jednym z elementów łańcucha, lecz zespołem jego elementów. A procesu nie można spontanicznie odwrócić. Powoduje on niewielkie, ale decydujące zmiany. Zagrożone przez mięsożerne, zwierzęta trawożerne rozwiną szybkość. Dłuższe łapy ułatwią przeżycie.

Z zachowaniem tych wszystkich proporcji to samo odbywa się w czasie. Problemy ekologiczne są jednak śmiesznie proste w porównaniu do problemów czasu. Może pan zetrzeć górę z powierzchni jakiejś planety czy nawet zgasić gwiazdę na firmamencie i w pańskiej przyszłości nic poważnego w związku z tym się nie wydarzy. Możliwe, że może pan też, tu i ówdzie, zniszczyć całą cywilizację, bez zgubnych skutków z pańskiego punktu widzenia. Ale gdzie indziej wystarczy, że nadeptnie pan człowiekowi na nogę, aby pańskie niebo i ziemia zostały tym poruszone. Każdy punkt Wszechświata posiada swój własny Wszechświat ekologiczny. Nie ma historii absolutnej.

– To jak można przewidywać? – zapytał Corson.

– Dokonuje się obliczeń. Jest w tym cząstka intuicji i cząstka doświadczenia. I najlepiej jest patrzeć na rzeczy z góry, z możliwie najdalszej przyszłości. Zawsze łatwiej jest rozpatrywać różne skrzyżowania, które mogły doprowadzić do teraźniejszości, niż tworzyć tych, co zrobią przyszłość. Dlatego ci z Aergistalu nawiązują z nami kontakt.

Wskazał na dwie kobiety.

– Ale wszystkiego nie mogą nam powiedzieć. Nie mogą wprowadzić do historii perturbacji, które by im przeczyły. Oni są u schyłku czasu. Wszystkie drogi biegną w ich kierunku. Dla nich historia jest niemal absolutna, jest prawie skończona. I dlatego powinniśmy sami spełniać swoje przeznaczenia, nawet jeżeli muszą one znaleźć się w szerszej perspektywie.

– Rozumiem – powiedział Corson. – Ja także odnoszę wrażenie, że jestem pionkiem na szachownicy. Na początku wierzyłem, że poruszam się swobodnie. Ale w miarę, jak coraz lepiej widziałem grę, rozumiałem, że jestem przestawiany z jednego pola na drugie.

Na sekundę zawahał się:

– Myślałem nawet, że to pan prowadzi tę grę. Że to pański plan.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie miał pan racji. Nie jesteśmy autorami tego planu.

– Ale wiecie, co się wydarzyło.

– W pewnej mierze. Dla nas jest pan niewiadomą. Pojawił się pan w określonym punkcie, aby rozwiązać kryzys. Zawsze myśleliśmy, że to pan jest autorem tego planu.

– Ja? – powiedział Corson.

– Pan. I nikt inny.

– Jeszcze nawet nie skończyłem obmyślać mojego planu – powiedział Corson.

– Ma pan przed sobą dużo czasu – odpowiedział mężczyzna.

– Ale jego wykonywanie już się rozpoczęło.

– To oznacza, że plan powstanie.

– A jeżeli mi się nie uda? – zapytał Corson.

– Nic nie będzie pan o tym wiedział, my też nie.

Obok jedna z kobiet poruszyła się. Odwróciła się, podniosła, spojrzała na Corsona i uśmiechnęła się. Miała może trzydzieści lat. Corson nie znał jej rysów. Jej spojrzenie jakby błędziło jeszcze gdzieś, daleko, od zbyt długiego patrzenia we własne wnętrze.

– Ledwo mogę uwierzyć – powiedziała. – Sławny Corson jest wśród nas.

– Nie mam jeszcze żadnego powodu do sławy – powiedział sucho Corson. Aż do ostatniej chwili miał nadzieję, że będzie to Antonella.

– Nie tak gwałtownie, Selma – wtrącił się mężczyzna. – Przed sobą ma jeszcze kawałek drogi i jest trochę zbulwersowany.

– Nie zjem go – odparła Selma.

– I wszyscy go potrzebujemy – dodał mężczyzna.

– W którym momencie pan się, znajduje? – zapytała Selma Corsona.

– Przybyłem jako ambasador – rozpoczął z ociąganiem Corson, lecz przerwała mu.

– To wiem. Słyszałam, jak rozmawiał pan z Cydem. Ale w którym miejscu jest pan ze swoimi refleksjami?

– Mogą zneutralizować Verana nie przesyłając mu tej wiadomości, ponieważ wszyscy uważają, że to ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Ale prawdę mówiąc, nawet nie umiałbym jej zredagować, a tym bardziej przesłać.

– Przy pomocy kreodów, to prosta sprawa – powiedziała Selma. – Załatwię to panu w dowolnej chwili. I wydaje mi się, że Aergistal zgodzi się na przekazanie tej wiadomości.

– Załóżmy, że pan jej nie wyśle – powiedział mężczyzna, którego Selma nazwała Cydem.

– Kto zajmie się Bestią i Księciem Urii? Rozwiązanie leży gdzie indziej. Veran stanowi część planu. Nie może go pan tak beztrąsko wyeliminować.

– Tego się obawiam – powiedział Corson. – I przypuszczam, że pomysł, by skorzystać z jego pomocy, przyszedł mi do głowy, gdy spotkałem go na Aergistalu. Ale nie jestem jeszcze tego pewny. To jest pomysł, na który naprawdę wpadnę później.

– Jak na taki prymityw, posuwa się szybko do przodu – stwierdziła Selma.

Cyd zmarszczył brwi.

– Corson nie jest prymitywem. I był na Aergistalu. Nie wystarczył mu kontakt.

– To prawda – powiedziała Selma – zapomniałam.

Pognębiona, wstała i pobiegła w fale.

Corson pomyślał na głos:

– Ale kto zajmie się Veranem?

– Pan – odrzekł Cyd.

– Ja nie mogę go zaatakować. Nawet nie mogę przygotować żadnej kampanii przeciw niemu.

– Naszyjnik!

W umyśle Corsona zrodziła się krucha nadzieja.

– Czy możecie pomóc mi się go pozbyć?

– Nie – powiedział Cyd. – My nie możemy. Veran narodził się w naszej przyszłości. Jego technologia przewyższa naszą.

– Zatem – powiedział Corson – nie ma wyjścia.

– Jest wyjście. Inaczej pana by tam nie było. Istnieje przynajmniej jedna linia prawdopodobieństwa – kreoda – według której przeprowadził pan plan do końca. Nie wiem, czy pojmuje pan wszystkie implikacje sytuacji, ale pańska przyszłość zależy od pana, Corson, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

– Mam raczej wrażenie, że to ja od niej zależę.

– To inny sposób wyrażenia tego samego. Otóż przez długi czas ludzie zastanawiali się nad problemem ciągłości istnienia. Czy budząc się, człowiek jest tym samym człowiekiem, który zasypiał? Czy sen nie jest absolutnym przerwaniem ciągłości istnienia? I dlaczego pewne pomysły, pewne wspomnienia, znikają całkowicie ze świadomości, aby pojawić się kiedy indziej? Czy mamy do czynienia z jednością, czy nakładaniem się istnień? Któregoś dnia ktoś odkrył prawdę. Od chwili swego powstania człowiek nie wiedział niemal nic o samym sobie. Dzisiaj, w tych samych słowach, stawiamy sobie prawie te same pytania. Ile możliwości nałożyło się na siebie? Co łączy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość każdej istoty? Czy dzieciństwo rodzi dojrzałość, czy dojrzałość wykuwa dzieciństwo? Nie znamy istoty naszej egzystencji, Corson, i długo jeszcze nie będziemy jej znali, ale musimy żyć z tym, co wiemy.

Wróciła Selma, cała pokryta kropelkami wody.

– Powinien pan spać, Corson – powiedział Cyd. – Jest pan zmęczony. Oby przyśniła się panu pańska przyszłość.

– Spróbuję – odrzekł Corson. – Obiecuję wam, że spróbuję.

I ułożył się na piasku.

34.

Uświadomił sobie czyjaś obecność obok siebie. Otworzył oczy i zamknął je natychmiast, oślepiiony wysoko stojącym słońcem. Obrócił się na bok próbując ponownie zasnąć. Lecz przeszkadzały mu w tym dwa natarczywe dźwięki, długie westchnienie morza i szmer lekkiego oddechu. Ponownie otworzył oczy i na wysokości swego policzka zobaczył piasek, wszędzie dookoła piasek, z którego wiatr usypywał malutkie wydmy i znowu je rozwiewał. Rozbudził się całkowicie i usiadł. Obok niego klęczała młoda kobieta.

– Antonella – powiedział.

Ubrana była w króciutką czerwoną tunikę.

– Georges Corson – powiedziała głosem, w którym słychać było niedowierzanie.

Omiótł spojrzeniem plażę. Cyd, Selma i druga kobieta zniknęli. Młoda kobieta imieniem Antonella podniosła się i odeszła kilka kroków, jak gdyby zażenowana faktem, że przyłapał ją na podpatrywaniu.

– Pani mnie zna? – zapytał.

– Nigdy pana nie widziałam. Ale słyszałam o panu. To pan ma uratować Urię.

Przyjrzał się jej z większą uwagą. Była ubrana, podczas gdy tamci chodzili nago. Niewątpliwie przybyła z innej epoki, gdzie obyczaje dotyczące ubioru nie osiągnęły poziomu prostoty obyczajów członków Rady. Była młodsza niż Antonella ze wspomnień, o wiele młodsza, prawie dziecko. Nie wiedział, ile lat upłynęło między ich dwoma spotkaniami. Dla niego te lata skróciły się do kilku miesięcy. Doskonale przypominał sobie tamtą Antonellę. Dziwnie jest spotkać kogoś, z kim przeżyło się tyle różnych przygód, gdy ten ktoś jeszcze cię nie zna. Wydawało mu się, że znalazł się przed osobą cierpiącą na zanik pamięci.

– Czy pan walczył? – zapytała z nutką potępienia i jednocześnie zainteresowania.

– Tak – odrzekł Corson. – To było nieprzyjemne.

Zastanawiała się.

– Chciałabym pana zapytać... nie wiem, czy mogę.

– Może pani.

Zarumieniała się.

– Czy pan już kogoś zabił, panie Corson?

Co za dziecinada? Głupia dziewczucha.

– Nie – odpowiedział. – Byłem czymś w rodzaju inżyniera. Nigdy nikogo nie udusiłem, nikomu nie poderznąłem gardła własnoręcznie, jeśli to pani chciała wiedzieć.

– Byłam tego pewna.

Wydawała się zadowolona.

– Ale naciskałem guziki – powiedział okrutnie Corson.

Nie zrozumiała.

– Chce pan papierosa? – zapytała wyciągając etui z tuniki. Rozpoznał je.

– Nie, dziękuję – powiedział, chociaż Czuł napływającą ślinę. – Od dawna nie palę.

Nalegała.

– To tytoń, a nie jakiś syntetyczny produkt.

– Naprawdę nie – powiedział. – Przestałem palić.

– Tak jak wszyscy tutaj. Zostałam sama ze swym nałogiem.

Ale odłożyła etui na bok.

Jak mogłem ją kochać? – zastanawiał się Corson. *Wydaje mi się taka powierzchowna, taka pusta. Sprawa wieku, może okoliczności. Kiedy zacząłem ją kochać?* Poszperał w pamięci i wydarzenia ich wspólnej przygody wypłynęły na powierzchnię jak pęcherzyki gazu uciekające z bagiennych głębin. Balon, próba werbunku, planeta–mauzoleum, ucieczka, krótki pobyt w obozie Verana.

To było przedtem, dużo wcześniej. Zrobił wysiłek. To było w chwili, gdy ją pocałował. Nie, na chwilę, zanim ją pocałował. Pomyślał wtedy, że jest jedną z najbardziej uwodzicielskich kobiet, jakie spotkał w życiu. A tego wrażenia nie zrobiła na nim na pierwszy rzut oka.

Zaczął ją kochać w chwili, gdy z zapalniczki błysnął promień. Wywąchał hipnotyczną pułapkę i pomyślał, że chce go nakłonić do mówienia. A ona tymczasem chciała tylko, żeby ją kochał. To się jej udało. Nie należy teraz dziwić się filuternej odpowiedzi, której mu udzieliła, gdy zapytał, dlaczego nie przewidziała, że jej manewr się nie powiedzie. Czy był to zwyczaj mieszkanki Dyoto? Poczul narastający gniew. Po chwili uspokoił się. We wszystkich czasach kobiety zastawiały pułapki na mężczyzn. Było to jedno z praw gatunku i kobiety nie mogły być za to odpowiedzialne. Mógłby ją zostawić w obozie Verana, żeby nauczyć ją, że mężczyźni też mają swoje metody, pomyślał. Ale nie zrobi tego. To tam za czat ją naprawdę kochać. Kiedy okazała zimną krew. Następnie na planecie—mauzoleum, kiedy była jednocześnie taka ludzka i przerażona.

A poza tym nie miał wyboru. Będzie wyciągał ją – I samego siebie – ze szponów Verana. Na planecie–mauzoleum podrzuci dla nich worek z żywnością. Aż do tego momentu jego rola była nakreślona. Lecz dalej? Czy po wysianiu wiadomości będzie jeszcze musiał dostarczyć Veranowi rekrutów i sprzętu, którego żądał zbieg z Aerglistalu?

To wszystko było bezsensowne. Dlaczego inny Corson, po ich ucieczce, zaprowadził ich na planetę–mauzoleum? Czy jest to obowiązkowy punkt kontaktowy, miejsce istnienia węzła czasowego? Ale Corson zaczynał już dobrze znać drogi czasu i był niemal pewny, że nic takiego nie wchodziło w rachubę. Kiedy przeprowadzał tę ratowniczą akcję, równie dobrze mógłby przywieść uciekinierów tutaj, na tę plażę, gdzie zasiadała Rada Urii, gotowy wrócić sam na Aergistal, jeżeli jego pobyt tam okazałby się niezbędny. Wiedział, że tam był. Zmienił się na Aergistalu. I nauczył się wiele rzeczy koniecznych do przeprowadzenia planu.

Przypomniał sobie metalową tabliczkę, położoną w dobrze widocznym miejscu na worku z żywnością, przed drzwiami mauzoleum. W tamtej chwili wiadomość wydawała mu się niejasna. Przeszukał kieszenie skafandra. Chociaż wielokrotnie zmieniał ubranie, znalazł w nim plakietkę. Chyba automatycznie przekładał zawartość z kieszeni do kieszeni.

Pewna część tekstu zatarła się. Niemniej jednak litery były głęboko wyryte w metalu.

NAWET PUSTE OPAKOWANIA MOGĄ SIĘ JESZCZE PRZYDAĆ,
ISTNIEJE WIĘCEJ NIŻ JEDEN SPOSÓB PROWADZENIA WOJNY.
ZAPAMIĘTAJ TO SOBIE.

Cicho zagwizdał przez zęby. Puste opakowania, puste powłoki? Oznaczały oczywiście wpół-żywe z mauzoleum. Pomyślał sobie, że powinno się wyposażać je w sztuczną

osobowość i używać jako robotów. Sądził nawet, że chodzi o androidy. Ale obecność pępka na brzuchu każdej z nich nie pozostawiała złudzeń. One żyły. One były nieżywe, chociaż zwolniona aktywność ich ciał mogła stwarzać pozory życia. Naliczył ich ponad milion i nie dotarł do końca mauzoleum. Nawet go nie zobaczył. To była wspaniała, –potencjalna armia. Spełniłaby najbardziej szalone ambicje Verana. Ale były to kobiety. Gdy Antonella weszła do obozu, pułkownik uznał, że dobrze będzie wzmocnić dyscyplinę. Był pewny swoich ludzi tylko częściowo. Nie obawiał się zdrady przez ambicję lub dla pieniędzy. Ale fizjologia ma swoje prawa, których nie chciał łamać.

Corson podniósł ręce do szyi. Ciągłe znajdował się na niej naszyjnik, tak lekki, że zdarzało mu się o nim zapomnieć. Mocny i zimny. Martwy i groźniejszy od grzechotnika. Żmija jednak spała. Zamysł wykorzystania w półżywych jako rekrutów nie zawierał widocznie intencji o wrogim charakterze.

Pochylił się nad piaskiem, wstrząśnięty mdłościami, świadom spojrzenia Antonelli. Pomysł wykorzystania w półżywych ścisnął mu serce. Ale było w nim coś z metod bogów Aergistalu. Aby uniknąć większego bałaganu, należy wykorzystać pozostałości, przestępców wojennych albo ofiary jakiegoś konfliktu. Ci kazuiści wybierali mniejsze zło. Albo raczej byli absolutnymi realistami. Ponieważ te kobiety by ły nieżywe – definitywnie nieżywe. Puste opakowania. Nie potrafiły już myśleć, tworzyć, działać ani nawet cierpieć inaczej niż na płaszczyźnie czysto biologicznej. Może mogły jeszcze rodzić. Był to punkt, na który musi jeszcze zwrócić uwagę. Wyposażenie ich w sztuczną osobowość było zbrodnią nieskończenie mniejszą aniżeli zagłada przez naciśnięcie guzika jakiegoś miasta zamieszkanego przez istoty inteligentne. W gruncie rzeczy nie była to zbrodnia, tak jak nie było zbrodnią przeszczepianie organów. Ziemsy chirurg dawno rozwiązał ten deontologiczny problem: martwy służy żywemu.

Zagrzebał w piasku wymiociny, z trudem przełknął ślinę i wytarł kąciki ust.

– Już lepiej – powiedział do Antonelli, która patrzyła na niego przestraszona. – To nic, to był atak.

Nie zrobiła nic, by mu pomóc. Nie ruszyła się. Za młoda, pomyślał, wychowana w jedwabiach świata, który nie zna ani choroby, ani cierpienia. Jak piękny kwiat. Zmieni ją doświadczenia. A wtedy będę mógł ją kochać. O, bogowie, żeby ją znaleźć, rozmontuję Aergistal kamień po kamieniu. Nie mogą jej tam trzymać. Ona nie ubrudziła sobie rąk, nie popełniła żadnego przestępstwa.

I to usprawiedliwiało obecność Corsona. Antonella nie mogłaby zamiast niego zrobić tego, co zrobił on, ani tego, co jeszcze było do zrobienia. Ani Cyd, ani Selma, nikt z ich epoki. Nie mieli wystarczająco twardego karku. Należeli do innego świata I walczyli na innym froncie. Na nieszczęście dla nich, niebezpieczeństwo nie zostało całkowicie wykluczone. A jego zlikwidowanie było rolą ludzi takich jak Corson. Jesteśmy sprzątacami historii, jesteśmy jej śmieciarzami. Aby pod nogami naszych potomków bruk był czysty, brodzimy w posoce.

– Wykapie się pan? – zapytała.

Skinął głową, nie mając jeszcze odwagi mówić. Morze go obmyje. Lecz nie wystarczy całego morza.

35.

Kiedy wyszedł z wody, Cyd był już z powrotem. Corson oddalił Antonellę pod byle jakim pretekstem i przedstawił swój plan. Całość trzymała się kupy, chociaż szczegóły były nadal niejasne. Przeszkadzał Corsonowi na przykład naszyjnik. Nie wiedział, jak mógłby się go pozbyć. Może na Aergistalu albo podczas jednej z podróży w przyszłość. Chwilowo jednak była to niewielka niedogodność.

Ucieczka nie stanowiła żadnego problemu. Sam Veran, obok naszyjnika, wyposażył go w cały arsenał różnej broni. Przypuszczał, że nie musi się niczego obawiać, i Wychodził z założenia, że każdy wolny mężczyzna jest na wojnie niezbędny. Jeden z aparatów tworzył pole wygaszające światło. Modyfikując go, Corson zamierzał rozszerzyć pole działania, gotów wyładować swoją baterię w parę minut. Uzupełnieniem aparatu był generator ultradźwięków, pozwalający poruszać się w ciemnościach, który także posiadał. Worek z żywnością, pozostawiony na planecie–mauzoleum, stanowił część osprzętu hipprona. Pozostawały dwa skafandry, które musiał założyć tamten Corson i Antonella. Sądził, że w zawieszeniu, spowodowanym jego wtargnięciem, uda mu się porwać je bez większych kłopotów.

Wbrew oczekiwaniom, Cyd nie mrugnął nawet okiem, gdy dotarł do najdelikatniejszej partii swego wystąpienia: reanimacji wóływycych na planecie–mauzoleum. Albo był to człowiek niewrażliwy, albo miał charakter. Mniej prawdopodobne było pierwsze przypuszczenie.

– Mam niejaki pojęcie o technikach reanimacji – powiedział Corson – oraz implantacji syntetycznej osobowości, ale potrzebuję sprzętu i być może fachowej pomocy.

– Myślę że znajdzie pan wszystko, co potrzeba, na planecie–mauzoleum – powiedział Cyd. – Pańscy okrutni kolekcjonerzy na pewno wszystko przewidzieli. A jeśli potrzebuje pan rady, najlepiej byłoby zawiadomić Aergistal.

– Jak? Głośno krzyząc? Czy ich oczy ciągle są skierowane na mnie?

Cyd uśmiechnął się blado.

– Prawdopodobnie. Ale nie jest to metoda. Może pan porozumieć się z nimi za pośrednictwem hipprona. Odbył pan podróż na Aergistal. Droga ta na zawsze została wryta w pańskim systemie nerwowym. Poza tym jest to nie tyle droga, co raczej sposób patrzenia na rzeczy. Aergistal zajmuje powierzchnię Wszechświata, to znaczy, że jest wszędzie. Powierzchnia hiperprzestrzeni jest przestrzenią, której liczba wymiarów jest o Jednostkę niższa od wymiarów hiperprzestrzeni. Nie jest to całkiem dokładne, gdyż liczba wymiarów tego Wszechświata jest być może urojona albo nawet transcendentna. Jednak dla potrzeb praktycznych nie musi pan więcej wiedzieć.

– Ale jak ja to zrobię? – zapytał bezradnie Corson.

– Nie znam hippronów tak dobrze jak pan i nigdy nie byłem na Aergistalu, lecz przypuszczam, że wystarczy, jak pan nawiąże empatyczny kontakt, który pozwoli panu kierować nim i przypomnieć sobie swoją podróż. Hippron instynktownie wykona niezbędne

korekty i adaptacje. Niech pan nie zapomina, że ma on szeroki dostęp do pańskiej podświadomości.

Cyd potarł brodę.

– Proszę zauważyć – podjął – że wszystko zaczęło się od hippronów, przynajmniej na tej planecie. W tym ciągu prawdopodobieństw albo w innym, sąsiadującym (Cyd uśmiechnął się smutno), wprowadził pan pierwszego hipprona. Uczeni Urii zbadali jego potomstwo. Zdołali zrozumieć metodę czasowej translacji. Następnie udało im się wyposażyć w nią ludzi, początkowo na małą skalę. Powiedziałem panu, że jest to nie tyle sprawa zdolności, co raczej sposób widzenia rzeczy. Ludzki system nerwowy nie ma szczególnych właściwości. Ma za to tę jedną właściwość, że może nabywać inne, co jest może lepsze. Kilka wieków temu, na początku kontrolowanego przez nas okresu, ludzie z Urii mogli przewidzieć jedynie kilka sekund ze swej przyszłości. Z niewiadomych powodów starzy Urianie, ptaki, mieli z tym o wiele większe trudności.

– To dobrze – powiedział Corson przypominając sobie Ngal R'ndę. – Ale ludzie, których spotkałem po moim przybyciu, posiadali już tę zdolność. A badanie hippronów mogło odbyć się tylko później.

Cyd znowu się uśmiechnął, tym razem wesoło.

– Ile osób spotkał pan naprawdę?

Corson sięgnął pamięcią wstecz.

– Dwie – powiedział – tylko dwie. Florię Van Nelle i Antonellę.

– One przybywały z pańskiej przyszłości – powiedział Cyd. – A dalej, ci, którzy byli najlepsi lub najbardziej uzdolnieni, weszli w kontakt z Aergistalem. Wszystko stało się łatwiejsze. Jest to przynajmniej sposób mówienia.

Wyprostował się i wziął głęboki oddech.

– Zaczęliśmy poruszać się w czasie bez hippronów i bez maszyn, Corson. Jest nam jeszcze potrzebny mały aparacik, podręczna pamięć. Wkrótce jednak nie będziemy już niczego potrzebowali.

– Wkrótce?

– Jutro lub za sto lat. To nie jest najważniejsze. Dlatego, kto go opanował, czas się już nie liczy.

– Do tej chwili umrze wiele ludzi.

– Pan także już raz umarł, prawda, panie Corson? I nie przeszkadza to panu w wykonywaniu pańskiego zadania.

Corson zamilkł. Skupił się nad swoim planem. Wskazówki Cyda usuwały dwie trudności: trezurę hipprona, aby zabrał Antonellę i tamtego Corsona na Aergistał, i informacje co do drogi, jaką należało podążać na planetę-mauzoleum. Ponieważ był tam już raz, będzie umiał tam powrócić. Dla człowieka było oczywistą niemożliwością poznanie pozycji miliardów i miliardów ciał niebieskich, zapełniających ten rejon Wszechświata, nie biorąc nawet pod uwagę ich wzajemnego przemieszczania się względem siebie z upływem wieków. Ale zawsze będzie mógł odnaleźć drogę, którą już raz przebył. Tak samo jak nie trzeba przepytąć wszystkich ksiązek, aby umieć czytać kilka z nich.

– Moglibyśmy poddać pana pewnemu treningowi, Corson – powiedział Cyd grzebiąc w piasku – ale zabrałoby to dużo czasu, a ponadto ta linia prawdopodobieństwa jest dosyć delikatna. Lepiej, żeby użył pan hipprona. Jeśli chodzi o nas, staramy się radzić sobie bez niego.

Odsłonił pojemnik z cyzelowanego pozłacanego srebra.

– Na pewno pan zgłodniał – powiedział.

* * *

Corson spędził na plaży trzy dekady. W sumie całe wakacje. Ale większość czasu poświęcił na opracowanie planu. Z pamięci rysował szczegółowy schemat obozu Verana. Będzie miał bardzo mało czasu na zaprowadzenie dwojga uciekinierów do stajni hippronów i nie może być mowy o potknięciu się o namiot lub zgubieniu w labiryncie ścieżek. Wybrał także zasadnicze rysy sztucznej osobowości, w którą wyposaży współ-żywe. Nie wiedział jeszcze, jak przetransportuje je z planety–mauzoleum na Urię, ale gdy wykona poprzedzające fazy programu, będzie czas, by

O tym pomyśleć.

Poza tym kąpał się, rozmawiał lub bawił z Antonellą albo też brał udział w działalności Rady. Na pierwszy rzut oka nie wydawała się ona zbyt uciążliwa, ale powoli zdał sobie sprawę z odpowiedzialności spoczywającej na Cydzie, Selmie i drugiej kobiecie imieniem Ana. Zdarzało im się znikać na różne okresy czasu, od kilku godzin poczynając do wielu dni. Wielokrotnie widział ich zmordowanych, niezdolnych wymówić jednego słowa, jacyś nieznajomi wynurzali się czasami z niebytu, prosili o radę lub przynosili wiadomości. Przez długie godziny, niemal każdego dnia przynajmniej jeden z członków Rady nawiązywał kontakt z Aergistalem. Najczęściej czyniły to obie kobiety. Może wyprzedzały Cyda na drodze opanowania czasu? A może też ci z Aergistalu woleli mieć do czynienia z rozmówczyniami? Niektóre z tych seansów okazywały się szczególnie przerażające. Pewnego razu obudziło go wycie. To Ana zwiwała się na piasku, najwidoczniej w przystępie ataku epilepsji. Zanim miał czas coś przedsięwziąć, Cyd i Selma ułożyli się po obu jej bokach i weszli w kontakt. Jęki i podrygi Any ustały po kilku minutach. Nazajutrz Corson nie miał odwagi stawiać pytań.

Ponieważ miał czas na rozmyślenia, zastanawiał się, jaka była historia tych sześciu tysięcy lat, które przeskoczył. Ale otrzymane odpowiedzi niezbyt go zadowolily. Sześć tysięcy lat to olbrzymi kawał czasu, prawie niemożliwy do wyobrażenia. Tyle lat nie upłynęło nawet od chwili, gdy człowiek po raz pierwszy opuścił swą rodzinną planetę, do jego narodzin. Nauka dokonała zapewne olbrzymiego postępu. Mocarstwo człowieka powiększyło się o całą encyklopedię nowych planet. A czy odkrywcy nie nawiązali kontaktu z bardzo starymi rasami z legend, miliony razy bardziej rozwiniętymi od ludzi? Odpowiedź na to pytanie była widocznie negatywna. Corson wątpił, by rodzaj ludzki zniósł ten szok. Niewątpliwie tak rozwinięte gatunki wstąpiły na poziom Aergistalu, lub, według słów boga, "nie było już różnicy". Jeśli gatunki wpływały na ewolucję ludzkości, to nie były to naiwne formy agresji lub "pokojoyej wymiany". Oddziaływanie mogło następować we wszystkich miejscach rzeki

czasu. To, co najbardziej dziwiło Corsona, to "prowincjonalny" charakter odpowiedzi Cyda, Selmy czy Any. Zнали trochę historię Urii i kilkudziesięciu najbliższych gwiazd. Nie wiedzieli jednak niczego spójnego na temat dziejów na szczeblu całej Galaktyki. Nawet samo pojęcie Historii galaktycznej było im niemal całkowicie obce. Corson sądził najpierw, że było tak daleko, że chodziło o sprawy zbyt szerokie, aby jeden ludzki umysł mógł je ogarnąć. Potem zrozumiał, że to ich pojęcie historii jest inne. Pojmowali ją jako nakładanie się sytuacji i kryzysów, z których żaden nie był nieunikniony, a bieg dziejów podlegał złożonym prawom. Katalog wszystkich możliwych kryzysów interesował ich w takim samym stopniu, w jakim katalog wszystkich możliwych rozwiązań technicznych interesował inżyniera z czasów Corsona albo lista możliwych zmian komórki wywołanych wirusem interesowała lekarza, a tablica zaćmień – astronoma. Istniały zasady opisujące większą część konkretnych sytuacji. Pojawienie się sytuacji niesprowadzalnych do istniejących zasad prędzej czy później prowadziło do utworzenia nowego systemu zasad. Jedyną uznawaną przez nich historią była Historia następujących po sobie nauk o Historii. A żadne z nich nie specjalizowało się w tej dziedzinie. I różnorodność ludzkich i obcych światów – w danej chwili, na ile to wyrażenie ma jeszcze sens – stanowiła prawie całą gamę możliwych sytuacji. Cywilizacja galaktyczna była cywilizacją wysp. Każda wyspa miała swoją własną historię, swoje własne reguły życia społecznego, a interferencje były stosunkowo mało liczne. Corson zrozumiał, że wojna była zasadniczym spoiwem planet, które nazwały się Mocarstwem Słonecznym, i tych, które tworzyły Imperium UriI, oraz wszystkich późniejszych konfederacji.

Pozostawała jednak sprawa Urii. Corson chciał wiedzieć, czy Uria była kluczową, strategiczną planetą, która dzięki temu przyciągnęła uwagę bogów Aergistalu. Dla Cyda kwestia ta pozbawiona była sensu. Ana uważała, że Urianie powołani zostali do odegrania szczególnej roli we Wszechświecie z racji ich odkrycia panowania nad czasem. Według Selmy wszystkie planety były równie ważne, a panowanie nad czasem umożliwiono gatunkom wystarczająco rozwiniętym, za sprawą bogów Aergistalu, sposobami i w momencie, które uznali za właściwe. Po tym wszystkim Corson czuł, że nie posunął się naprzód.

Zdarzało mu się wątpić. Patrząc na nich, żyjących obok niego, zastanawiał się czasami, czy są przy zdrowych zmysłach. Czy ich zaufanie do własnych zdolności wynikało z czego innego niż z przywidzeń? Nie miał innego dowodu ich możliwości pokonywania czasu, niż ich nieobecność. Mogli oszukiwać go, świadomie lub nieświadomie. Ale wiedzieli zbyt wiele rzeczy o nim, o jego przeszłości, o Aergistalu. A także potrafili przechwycić hippro–na, tego był pewien. Z jego punktu widzenia, w normalnym czasie, w wolnych chwilach nie objawiali żadnych oznak wyalienowania. Zachowywali się jak zwyczajni ludzie, nawet bardziej zrównoważeni niż przeciętni ludzie znani Corsonowi w czasach wojny. To także go dziwiło. Ludzie należący do społeczeństwa starszego o sześć tysięcy lat od jego społeczeństwa POWINNI się różnić. Potem przypomniał sobie Tourego, wyrwanego z mitycznych czasów Ziemi, ze starodawnego kraju, gdzie ludzie zaledwie wykraczali poza granice swej planety. Wtedy też nie dostrzegł różnicy. A Toure zadziwiająco dobrze przystosował się do życia na Aergistalu. Na Aergistalu, który stworzony zostanie milion albo miliard lat później. Pomyślał, że nawet miliard jest bardziej prawdopodobny. W tej chwili refleksji Corson odkrył, że jednak

jego sprzymierzeńcy BYLI różni. Byli ściśle zjednoczeni, podczas gdy jego społeczeństwo znało tylko jednostkę i grupę zadaniową. Szczególnie potężne więzy łączyły Cyda i Selmę, ale nie tak, że Ana była wykluczona, przeciwnie. Wszyscy troje czynili aluzje, przy różnych okazjach, na temat liczniejszych grup. I starali się go nie szokować. Życie na plaży miało może aspekty idylliczne, lecz jednocześnie do pewnego stopnia wykluczało intymność.

Ciekawe, że Antonella zdawała się pozostawać na uboczu. Jeszcze bardziej niż Corson, grała ona rolę zaproszonego gościa. Cała trójka nie wykluczała jej z grupy, a nawet utrzymywała z nią ostentacyjnie afektowane stosunki, ona jednak nie była w ich stylu. Nie miała ani pikantnej spontaniczności Selmy, ani trochę nonszalanckiej zmysłowości Any. Była, na pozór, małą dziewczynką krążącą wokół Corsona, jak pszczoła wokół kromki chleba z konfiturami. Przebywała z nimi rzadziej niż dwie pozostałe kobiety, ale – Corson musiał oddać jej sprawiedliwość – nie okazywała z tego powodu zazdrości. Niemal nieuchwytny, lecz realny dystans między nią a pozostałą trójką Corson przypisywał jej mniejszemu życiowemu doświadczeniu, bardziej ograniczonemu wykształceniu i faktowi jej przybycia z innej epoki. Z jakiej – o to nigdy nie zapytał, z braku punktu odniesienia odpowiedź byłaby dla niego nieczytelna. Za każdym razem, gdy wypytywał ją, co robiła wcześniej, odpowiadała tylko ogólnikami. Wydawało się, że nie ma wspomnień, które warte byłyby wzmianki. Przez chwilę zastanawiał się też, dlaczego w przyszłości, gdy spotka go po raz drugi, nie powie mu nic, albo nie powiedziała mu nic z jej punktu widzenia – o Cydzie, Selmie i Anie, i o tym spokojnym okresie egzystencji na plaży. Odpowiedź była trudna. Może obawiała się temporalnego zwarcia. Albo, po prostu, nie miała żadnych powodów, by to zrobić. W tym czasie Cyd, Selma i Ana byli dla niego tylko imionami bez znaczenia.

Ale teraz byli to prawdziwi przyjaciele. Nie przypominał sobie, aby w przeszłości odczuwał wobec istot ludzkich taką sympatię. Szczególnie lubił wieczory, podczas których Pijąc wino wymieniali poglądy. Wydawało mu się wtedy, że wszystkie trudności są pokonane i poruszają razem tylko stare wspomnienia.

– Nie zapomnij wysłać tej wiadomości, Selma.

– Tak jakby już była wysłana – mówiła Selma.

– I podpiszesz ją moim nazwiskiem, Georges Corson. Ten stary lis Veran znał je, zanim miałem zaszczyt zostać mu przedstawiony. I powiesz mu, że na Urii znajdzie broń, rekrutów i hipprony.

– Sądząc po twoim niepokojeniu, Corson, można by pomyśleć, że chodzi o list miłosny.

– Po raz ostatni widziałem go na skraju wielkiego oceanu Aergistalu, tam, gdzie morze ustępuje miejsca przestworzom. Mam nadzieję, że ten adres wystarczy. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że Veran był w opałach.

Przypuszczam, że uciekał.

– Wyślemy mu wiadomość na poste restante, Aergistał.

Pewnego razu wyjaśnił Selmie wojskowy system sektorów pocztowych, będący w użyciu w jego czasach, i składy przesyłek poste restante oczekujące na eskadry przez rok, dwa albo dziesięć lat, a czasami przez pozostałą część wieczności. Były to automatyczne statki, kierujące się samodzielnie na wcześniej ustalony punkt. W tym punkcie pozostawały na czas niezbędny do podjęcia korespondencji. Selma uznała ten pomysł za absurdalny i komiczny

jednocześnie. Niemal się rozzłościła. Potem pomyślał sobie, że oczekiwanie na wiadomość musiało być dla niej pojęciem zupełnie niesamowitym. Co dzień otrzymywała wiadomości wysłane z epoki, w której ona sama już od dawna nie istniała.

Potem zwrócił się do Cyda:

– Jesteś pewny, że dezorganizacja wywołana w obozie Verana wystarczy? Czy jesteś pewny, że obywatele Urii poradzą sobie z żołnierzami i hippronami?

– Całkowicie – mówił Cyd. – Z wyjątkiem Verana żaden z tych żołnierzy nie ma stopnia kapitana. Gdy tylko on zostanie unieszkodliwiony, reszta nie będzie stawiała większego oporu.

– Może zbiorowo. Ale pojedynczo, wątpię. Oni umieją się bić w najgorszych warunkach.

– Nie będą mieli na to ochoty, z tym, co wepchniesz im w łapy. I nie doceniasz obywateli Urii. Nie są to może weterani, ale nie jestem pewny, czy Veran wygrałby, nawet bez twojego planu. Byłaby przerażająca liczba zabitych, czego chcemy uniknąć, lecz nie wątpię, że Veran by się ugiął. Ale to nasza sprawa.

Myśl o tym napelniała Corsona lękiem. Wiedział, że ludzie Verana będą zdeorientowani przez prawdopodobny zanik bojowej dyscypliny, do której byli przyzwyczajeni. Posiadali jednak groźną broń i umieli się nią posługiwać.

– Chciałbym przy tym być – kończył Corson.

– Nie, będziesz miał inne zadania. Mógłbyś zostać zraniony czy nawet zabity. Doprowadziłoby to do poważnej perturbacji.

Cyd od początku nalegał, aby Corson trzymał się na uboczu prawdopodobnego pola walki. Corson zgodził się, nie rozumiejąc. Nie mógł przyzwyczaić się do myśli, że ta bitwa się odbyła i w pewnym sensie została już wygrana.

Pewnego wieczoru Cyd nie rozwijał zwykłej argumentacji, lecz powiedział po prostu:

– Mam nadzieję, że zakończyłeś już przygotowania, przyjacielu. Czas płynie. Musisz jutro wyruszyć.

Corson w zamyśleniu, skinął głową.

W ten sam wieczór zabrał Antonellę na koniec plaży. Była bierna. Corson zachował inne wspomnienie. Nie była ani przestraszona, ani namiętna, tylko uległa, podczas gdy na tej samej plaży, trzysta lat wcześniej, udowodniła, że ma temperament. Jednego był pewny: nie była dziewicą. Dla niego było to obojętne. Lecz zastanawiał się, ilu jeszcze mężczyzn spotka, zanim on ją odnajdzie. Potem zasnął, przytulając ją do siebie.

Nazajutrz rano założył uprząż hippronowi. Rzadko znajdował czas, aby się nim zajmować, ale zwierzę nie potrzebowało opieki. Dużo myślał o przetestowaniu możliwości wejścia w kontakt z Aergistalem, nigdy jednak tego projektu nie zrealizował. Zapytał Aergistał, jeżeli będzie do tego zmuszony. Na wspomnienie krystalicznego głosu, który słyszał pod purpurowymi sklepieniami, robiło mu się niedobrze.

Cyd był sam na plaży. Podszedł do Corsona w chwili, gdy ten przygotowywał się do wejścia na siodło.

– Powodzenia, przyjacielu – powiedział.

Corson zawahał się. Nie zamierzał wygłaszać przemowy, lecz nie chciał odchodzić bez słowa. Rano, kiedy się obudził, Antonelli już nie było. Może chciała mu oszczędzić sceny pożegnania.

– Dziękuję – powiedział.

Wydawało mu się to wyjątkowo niewystarczające.

– Obyście mogli tutaj żyć aż do końca wieczności.

Zwilżył wyschnięte wargi. Tyle rzeczy do powiedzenia tyle pytań bez odpowiedzi. Czas płynął. Wybrał jedno.

– W wieczór mojego przybycia powiedziałaś, że potrzebujecie medytacji. Czy jedynie po to, aby zarządzać wiekami?

– Nie – powiedział Cyd. – Podróż w czasie jest tylko mniej ważnym aspektem tej sprawy. Próbujemy przyzwyczaić się do koncepcji innego życia. Nazywamy to nadistnieniem. To... jakby to powiedzieć... żyć jednocześnie wieloma możliwościami, może nawet wszystkimi możliwościami. To istnieć jednocześnie na wielu liniach prawdopodobieństwa. Być wieloma naraz, pozostając jednostką. Wielowymiarowe Pomyśl o tym, co się stanie, kiedy każda Istota wprowadzi swoje własne modyfikacje do historii. Modyfikacje te oddziałują na inne, tworzą interferencje, jedne korzystne, inne nie. Żadna istota ludzka nie może samotnie i o zdrowych zmysłach osiągnąć nadistnienia, Corson! Każdy jest możliwością innego. Lecz aby podjąć ryzyko i wpłynąć na jego i swoje przeznaczenie, powinno się tego kogoś wyjątkowo dobrze znać. Do tego się przygotowujemy, Selma, Ana i ja. Przed nami daleka droga...daleka droga do przebycia.

– Staniecie się tacy sami jak ci z Aergistalu – powiedział Corson.

Cyd potrząsnął głową.

– Oni będą inni, Corson, naprawdę przemienieni, przemienieni przez ewolucję, nie, to pojęcie jest fałszywe - żadna z naszych koncepcji nie może tego oddać. Oni nie będą już ludźmi ani ptakami, ani jaszczurami, ani potomkami istniejących gatunków. Będą tym wszystkim naraz albo raczej byli tym wszystkim. Corson, my nic nie wiemy o Aergistalu. Wiemy tylko to, co możemy ujrzeć. Nie dlatego, że pozwalają nam tylko tyle oglądać, lecz tyle jesteśmy w stanie zobaczyć. Prawie nic. Ubieramy Aergistal w kolory. Sami się tam widzimy, Corson. Oni panują nad czymś, czego się obawiamy.

– Śmierci? – zapytał Corson.

– O, nie – odparł Cyd. – Śmierć nie przeraża tych, którzy ujrzeli nadistnienie. Nie straszne jest raz umrzeć, gdy pozostaje nieskończoność równoległych egzystencji. Ale jest coś takiego, co nazywamy nadśmiercią. Polega ona na przeniesieniu istnienia na płaszczyznę teoretycznej możliwości, na wyeliminowaniu przez perturbację z wszystkich linii prawdopodobieństwa. Trzeba kontrolować wszystkie kreody Wszechświata, by mieć pewność, że się tego uniknie. Trzeba wymieszać swe własne możliwości z możliwościami całego continuum. Powiedzie się to tym z Aergistalu.

– Aha – powiedział Corson – to dlatego boją się tego, co jest na Zewnątrz, to dlatego opasali swoje włości murem wojen.

– Możliwe – odrzekł Cyd. – Nigdy tam nie byłem. Ale moje słowa nie powinny tobą wstrząsnąć. Wracaj tutaj, jak tylko skończysz.

– Wróć – powiedział Corson. – Mam nadzieję, że znowu was zobaczę.

Cyd uśmiechnął się. dwuznacznie.

– Corson, przyjacielu, nie miej za wielkiej nadziei. Ale wracaj jak najszybciej. Masz miejsce w Radzie Urii. Powodzenia.

– Żegnaj! – zawołał Corson.

I poderwał hipprona.

36.

Aby zaopatrzyć się w dwa kosmiczne skafandry, wykonał pierwszy skok. Lepiej było przeprowadzić ucieczkę na dwa tempa. Postanowił działać na minutę przed wyznaczoną chwilą ucieczki. Dzięki temu mógł wyczuć obronę i spowodować zamieszanie niezbędne do przeprowadzenia drugiej fazy. Z wśliznięciem się do jednego z namiotów intendentury nie miał większego kłopotu. Jak się tego spodziewał, noc nie osłabiła czujności w obozie Verana. Zaledwie porwał oba skafandry i wrócił do swego wierzchowca, gdy na ścieżkach zabrzmiał sygnał alarmu. Namiot, który przed chwilą ograbił, znajdował się niemal po przeciwnej stronie sektora, w którym stał namiot z Antonellą i tamtym Corsonem. Pierwszym odruchem wartowników będzie udanie się na miejsce kradzieży. Nie będą mieli czasu, żeby wrócić.

Skoczył kilka dni w przeszłość, wybrał całkiem opustoszałe miejsce i dokładnie zbadał skafandry. Usatysfakcjonowany, postanowił przystąpić do drugiej fazy. Zsynchronizował się w wybranym momencie i postawił hipprona w zagrodzie przeznaczonej dla wierzchowców. W zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jego ubiór był regulaminowy, mógł wracać z jakiegoś patrolu. Zaraz też włączył tłumik światła i zaczął biec ścieżkami obozu tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to zmałowany obraz otoczenia odsłanianego przez projektor ultradźwięków. Oceniał, że upłynie przynajmniej dziesięć sekund, aby najprzebieglejsi z wartowników wpadli na ten pomysł. Na niewiele by się im to zdało, gdyż nie wiedzieli, skąd nastąpił atak. Zasięg projektorów był ograniczony, a różne związki tworzyłyby interferencje zniekształcające obraz. Oficerowie straciliby przynajmniej minutę na przekonanie swoich ludzi, aby wygasili niepotrzebne projektory. To wystarczało, byle tylko Antonella korzystając z daru jasnowidzenia przekonała Corsona o konieczności współpracy. A wiedział, że jej się to udało.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidział. Postarał się też przyciemnić swój hełm, aby tamten Corson nie mógł go rozpoznać. Posługiwał się tylko znakami. Nie była to chwila, by wprowadzać w umysł tamtego Corsona dodatkowy, mąjący wszystko czynnik.

Teraz pędzili w przestrzeni, potem skoczyli w czasie. Corson kazał swemu wierzchowcowi kilka szybkich manewrów, aby zmylić pogoń. Drugi hippron podążał za nim jak anioł.. Żołnierze Verana nie znali ich celu i mogli w nieskończoność błądzić po continuum nie odnajdując planety–mauzoleum. Ponadto Veran zaprzestanie pogoni, jak tylko patrol zawiadomi go, że Corson wrócił.

Planeta–mauzoleum. Zastanawiam się – myślał Corson – kiedy odkryłem ją po raz pierwszy.

Sam sobie pokazał drogę. Wydawało się, że dokonał tu wyłomu w prawie nieregresywnej informacji. Informacja krążyła w kółko. Wszystko ma swój początek. Może było to tylko złudzenie? Może o wiele później odkryje planetę—mauzoleum po raz pierwszy i postara się wprowadzić informację w ruch kołowy? Może też głęboka droga, obecnie nieuświadomiana, łączy wszystkie możliwości Corsona.

Chwilowo nie mógł rozwiązać tej zagadki. Nie posiadał danych do jej rozwiązania.

Ponad odpowiednim punktem planety, przekazawszy mu instrukcje, opuścił hipprona unoszącego Antonellę i tamtego Corsona. Sam wykonał nowy skok w czasie, w kierunku przyszłości. Nie odkrył żadnego śladu swego wcześniejszego pobytu. Był to dobry znak. Przez chwilę bał się, że znajdzie się twarzą w twarz z samym sobą albo napotka dwa zbiegłe szkielety.

Zszedł z hipprona i wkroczył, nie bez obawy, do grobowego hangaru. Nic się tu nie zmieniło. Powoli zabrał się do pracy. Czas nie był mu już odliczany.

Przypuszczenia Cyda były słuszne. Sprzęt niezbędny do reanimacji i implantacji sztucznych osobowości znajdował się w podziemnym uzupełnieniu wielkiej sali. Ale dopiero sondując fundamenty budynku z pomocą hipprona odkrył wejście. Operacje były prostsze, niż sądził. W większej części wykonywały je zautomatyzowane aparaty. Bogowie wojny, którzy zebrali tę gigantyczną kolekcję, lubili szybką robotę. Niewątpliwie jeszcze mniej niż Corson znali się na podstawowych zasadach reanimacji ciał.

Jednak trzęsły mu się ręce, gdy przystąpił do pierwszej próby. Zaprojektował sztuczną osobowość z pięciosekundowym okresem trwania. Kobieta zamrugała powiekami, otworzyła oczy, wydała jakiś dźwięk i znieruchomiała.

Wynik pierwszej poważnej próby był bardzo nieprzyjemny. Ogromna blondynka o posągowych kształtach, niemal o głowę od niego wyższa, zerwała się ze stołu, wydała niezrozumiały okrzyk, rzuciła się na niego i zamknęła w uścisku tak mocno, że zaczął się dusić. Musiał ją ogłuszyć. Wstrząśnięty postawił diagnozę: za dużo folikuliny.

Aby przyjść do siebie, postanowił tymczasem podłożyć worek z żywnością i plakietką przed drzwi mauzoleum. Mała metalowa płytką wydawała się teraz niemal całkiem gładka. Kilka doświadczeń przekonało Corsona, że tworzące ją kryształy były czułe na upływ czasu. Zdeformowane, miały tendencję do przyjmowania początkowej konfiguracji pod wpływem przemieszczania w czasie. Problem polegał zatem na odpowiednio głębokim wyryciu centralnej części wiadomości, jeżeli miała ona przetrwać

wiele podróży. Zrobił kilka obliczeń i zaczął wypisywać wiadomość. Zastanawiał się, co się stanie, jeżeli zmieni jedno słowo. Prawdopodobnie nic. Próg perturbacji nie zostanie osiągnięty. Postanowił jednak pozostać przy informacji wyrytej w swojej pamięci. Gra szła o zbyt dużą stawkę.

Do rozwiązania pozostał problem przeszkolenia hipprona, który zabierze Antonellę i tamtego Corsona na Aergistal. Tutaj postanowił wykorzystać podstawienie. W tym celu podjął możliwie najpełniejszą wymianę informacji ze swoim zwierzęciem. Upewnił się, że zawiedzie ono pasażerów nie tylko na pola bitewne Aergistalu, lecz także dokładnie w to miejsce, gdzie sam został wysadzony. Dalej nie był już w stanie kontrolować ruchów hipprona. Przypuszczał jednak, że znajdując się w tych samych warunkach zwierzę

spontanicznie zareaguje w ten sam sposób. Możliwość jakiegoś poślizgu była niewielka. A poza tym mógł zaufać tym z Aergistalu, jeżeli chodzi o tego rodzaju szczegóły. Poinstruował hipprona, by zareagował na samą nazwę Aergistal, wymówioną mocnym głosem.

W zamian otrzymał mnóstwo informacji na temat obyczajów, wspomnień i motywacji hipprona. Pamięć gatunkowa zwierzęcia, chociaż osłabiona wskutek niewoli, była wystarczająco dobra, by Corson wytworzył sobie obraz jego rodzinnego świata. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył, że hippron, którego nauczył się obawiać, przynajmniej w jego dzikiej odmianie, był strachliwy jak królik. Choć zachowany obraz jego pierwszych władców, niewątpliwie od dawna nie istniejących, nie był wcale jasny, było oczywiste, że podziwiał ich i bał się jednocześnie.

Podstawienie odbyło się bez kłopotów. Corson zadał sobie trud wymiany uprzęży. Nie chciał, żeby uwaga tamtego Corsona została rozbudzona jakimś zadraśnięciem pasów. Worek z żywnością postawił na widocznym miejscu przed drzwiami, tuż przy drodze.

Potem wrócił do chwili, w której przedsięwziął witalizację trofeów bogów wojny. Nie wiedział, co by się zdarzyło, gdyby popełnił kilkugodzinny błąd i znalazł się twarzą w twarz z samym sobą. Ale jeżeli o to chodzi, instynkt hipprona pozbawił go tych zmartwień. Zwierzę odmawiało podążania tymi samymi drogami w continuum, którymi już się poruszało. Widocznie wyczuwało własną obecność poprzez kilkusekundowy ekran czasu i przesuwało się w inne miejsce. W pewnym sensie było ślepo posłuszne prawu nieregresywnej informacji. Corson wolał nie działać wbrew jego naturze.

Zabrał się ponownie do przygotowania rekrutów dla Verana. Pracował teraz gorączkowo, chcąc szybko z tym skończyć. Bał się też, że zostanie zaskoczony przez bogów wojny i będzie musiał się z nimi rozliczać. Lecz kilka wypadów w przyszłość i bliska przeszłość nieco go uspokoiło.

Stworzył trzy zasadnicze odmiany sztucznej osobowości. W istocie zbyt wielka jednolitość zachowania kobiet groziła przedwczesnym odkryciem oszustwa. W podobnym celu dokonał wyboru wielu różnych typów, unikając animacji zbyt podobnych typów somatycznych. W wyniku pierwszego doświadczenia zamierzał obdarzyć reanimowane kobiety obojętnością seksualną. Widząc jednak rezultaty, mimo odrazy, wprowadził do matrycy kilka kobiecych cech. Inną przysparzającą mu zmartwienia kwestią była stabilność sztucznych osobowości. Zbyt krótkie życie matryc mogło zawalić plan. Nie chciał jednak przyznawać wespół-żywym zbyt długiej sztucznej egzystencji. Chociaż uważał je tylko za maszyny, na myśl o traktowaniu, jakiemu mogli je poddać ludzie Verana, odczuwał mdłości. W końcu postanowił wyposażyć je w matryce o prawdopodobnej trwałości rzędu czterdziestu ośmiu godzin, z dziesięcioprocentowym marginesem błędu. Pod koniec tego okresu czasu rekruci Verana stracą ostatecznie pozór życia i z braku niezbędnego wyposażenia zginą nieodwracalnie. Jeżeli sytuacja będzie się rozwijała tak, jak przypuszczał, stanie się to w ciągu kilku godzin, a może nawet kilku minut. W innym przypadku plan upadnie. Veran będzie miał czas na wzięcie w garść swoich ludzi i bezlitosne zniszczenie nowych rekrutów.

W tym stadium swego planu Corson zastanawiał się, ile ciał ożywić. Liczba zbyt ograniczona grozi wywołaniem sporów między żołnierzami, którzy prawdopodobnie

odwołają się do wyroku swego wodza. Z kolei zbyt masowa inwazja, poza tym że stworzy problem transportu, którego Corson jeszcze nie rozwiązał, wywołałaby nieufność małej armii Verana. Corson ocenił jej liczebność na około sześciuset ludzi. Postanowił witalizować dwa tysiące kobiet. Nie wykonałby tego sam w jakimś rozsądnym okresie czasu, Bez entuzjazmu wyposażył dwadzieścia ciał w sztuczne osobowości, mogące mu asystować. Były to dokładne i niez mordowane instrumenty. Niemało trudu musiał włożyć w to, by po pewnym czasie nie obchodzić się z nimi po grubiańsku. Ich milczenie i wieczny uśmiech działały na nerwy. Posiadam potencjalnie – myślał – do dyspozycji gromadę niewolnic, oddział amazońskich, harem, największy i najbardziej oddany, o jakim tylko największy przemysłowiec, najpotężniejszy wódz i najbardziej zmysłowy sułtan mógł tylko marzyć. Ale nie było to w jego stylu.

Kiedy był już pewny, że może animować dwa tysiące rekrutów w kilka godzin, zaniepokoił się o ich strój i środek transportu. W mauzoleum nie było żadnych ubiorów. Nie ubiera się motyli! – pomyślał Corson z goryczą. Odbył wiele wycieczek na sąsiedni system planetarny i w końcu eksplorując czas wykrył magazyn wojskowy, który bezwstydnie ograbił. Miał nadzieję, że ten ubytek nie spowoduje większego zamieszania w historii planety. Wiedział także z doświadczenia, że mimo zautomatyzowanych systemów rachunkowych, znaczne ilości materiałów znikają czasami z intendencji we wszystkich armiach w całym Wszechświecie i nie powodowało to większych perturbacji. Jakiś urzędnik dla usprawiedliwienia bałaganu w rachunkach spędzi kilka bezsennych nocy na wymyślaniu mniej czy bardziej prawdopodobnej historii. W najgorszym wypadku zostanie zdymisjonowany. Nie są to ludzie, którzy tworzą historię.

Inną sprawą był transport. Mało brakowało, by wezwał Aergista. Ale myśl tę odrzucił jako rozwiązanie ostateczne. Prośbienie o radę bogów Aergistalu wydało mu się nie do przyjęcia. Zachował zbyt wyraźne wspomnienie przebijającej z Głosu pogardy. Wolał być pionkiem, ale na wszystkie siedem kręgów piekieł, nie zgodzi się być robotem! Może to infantylny punkt widzenia, ale jego własny. W końcu wymyślił rozwiązanie, które, choć brakowało mu elegancji, było jednak konkretne. Z pomocą swych asystentek zdemontował kilka wewnętrznych struktur mauzoleum i w ten sposób wszedł w posiadanie wielkich metalowych płyt, z których podjął budowę względnie szczelnej kabiny. W końcu między Aergistalem a Urią podróżował w czymś na kształt trumny. Jeden hippron mógł zabrać z sobą w przestrzeń i czas znaczny ładunek, o ile etap nie był zbyt długi. W ten sposób Veran transportował sprzęt. Kilka prób przekonało Corsona, że może tak przetransportować jednocześnie dwieście kobiet.

Kiedy dał sygnał do wymarszu, znajdował się na planecie–mauzoleum od ponad dwóch tygodni. Od dawna wyczerpał swoje racje żywnościowe, lecz zaopatrzył się obficie w składach pobliskiej planety. Swoje asystentki karmił, z braku czego innego, przy pomocy serum i glukozy pobranych z doprowadzeń odżywiających w pół-żywe. Czuł się u kresu sił. Mógł przeznaczyć trochę czasu na odpoczynek, ale nie miał ochoty pozostać sekundę dłużej niż potrzeba na tym ponurym świecie.

Z uwagą czuwał nad reanimacją pierwszego kontyngentu i implantacją sztucznych osobowości. Znużony uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy zobaczył, jak dwieście

kobiet opuszcza swe gniazda i rozrywa aseptyczną mgiełkę służącą im za całun, kierując się jedna po drugiej ku centralnej alei i formując orszak. Potem przyszły nudności nicujące go jak rękawiczkę.

Jedna z asystentek, zdziwiona, odwróciła się do niego. Wykonał bezsilny gest.

– Nie – powiedział – nic. Nic mi nie jest.

Jakby zwracał się do istoty ludzkiej.

Lecz w wycelowanych w niego wspaniałych fiołkowych oczach nie dostrzegł nic, ani zrozumienia, ani litości, dwa delikatne kamienie i w miejscu zdziwienia – odbicie. One mogły rozumieć, były posłuszne jego głosowi, posiadały nawet ograniczony zasób słów, starannie przez niego dobrany i wprowadzony do matryc, ale nie mogły go słyszeć. One nie istniały. Za każdym razem, kiedy usiłował zapomnieć o ich pochodzeniu, przypominały mu o nim ich oczy, a także ich zbyt wymierzone ruchy. Były tylko topornym, zmaconym odbiciem jego własnego umysłu. Za ich oczyma nie było nikogo, nikogo, kogo mógłby spotkać.

Drzwi hangaru nie pomyliły się. Nie otworzyły się przed orszakiem. Corson przez cały czas musiał stać w progu, Podczas gdy one defilowały i ruchem trawy podnosiły ubiory rzucone na ziemię i zakładały je. Posłuszne jego głosowi założyły kaptury i wstąpiły do przygotowanej przez niego obskurnej kabiny. Jeszcze raz na dźwięk jego głosu pograżyły się w hipnotycznym transie, podczas gdy on dopasowywał drzwi kabiny, ustawiał hipprona, zakładał uprząż siadał w siodle i nurkował w czas, obładowany upiorami

Ładunek wylądował na Urii w pobliżu obozu Verana w osłoniętym miejscu, krótko po tym, jak opuścił go, by podjąć się rokowań w przyszłości. Pozostanie nieobecny przez kilka sekund, chociaż jego powrót, reanimacja drugiego kontyngentu i druga podróż zabiorą wiele godzin. Odbył dziesięć podróży, które rozkładały się na całe dnie jego własnego czasu. Trzeciego dnia płacząc, zwałił się z nóg i zasnął. Piątego dnia hippron zaczął okazywać objawy wyczerpania i Corson musiał czekać, z pustym i suchym umysłem, aż zwierzę złapie oddech. Opuszczając po raz ostatni planetę–mauzoleum zwolnił asystentki. Wypowiedział słowo. Padły w ciszy, jeszcze się uśmiechając.

Rozbudził wszystkich rekrutów i wymaszerowali w długiej kolumnie. Gdy zbliżali się do obozu, ustawił ich na widocznym miejscu, w dużej odległości od protekcyjnego pasa. Zawołał wartowników. Chwilę później pokazał się Veran.

– Wyglądasz na zmęczonego., Corson – powiedział. – Co też tu nam prowadzisz?

– Przeprowadziłem rekrutów – odrzekł Corson.

Veran dał znak. Artylerzyści puścili w ruch zawołowane kształty, poruszające się po wycinku łuku. Inni nakierowali detektory.

– Mam nadzieję, że to nie jest pułapka, Corson. Chociaż twój klejnot...

– Nikt nie jest uzbrojony – powiedział ostrożnie Corson. – Z wyjątkiem mnie...

– Bez broni – powiedział technik.

– Dobrze – rzekł Veran. – Umiałeś ich przekonać w przyszłości. Lubię skuteczność, Corson. Może nawet oni poczuli przyływ ambicji. Każ zbliżyć się pierwszemu szeregowi. I powiedz im, aby zdjęli te kaptury, żebym mógł sobie obejrzeć ich miny.

Z wyjątkiem rozstawionej warty cały obóz zgromadził się za Veranem. Corson z satysfakcją zauważył, że mężczyźni wydawali się mniej napięci, mniej sztywno

zorganizowani niż wtedy, kiedy zobaczył ich po raz pierwszy. Kilka tygodni odpoczynku na Urii zrobiło swoje. Dyscyplina nie uległa rozluźnieniu, ale niemal niedostrzegalne szczegóły pozwalały wyćwiczonemu oku Corsona dostrzec zmianę atmosfery. Jeden z żołnierzy włożył kciuk w kieszenie spodni, drugi spokojnie ssał małą metalową tubkę. Corson usiłował rozpoznać członków straży przybocznej Verana po naszyjnikach. Naliczył ich prawie dwunastu.

Wymówił jedno słowo. Bez znaczenia. Pierwszy szereg ruszył do przodu. Veran dał znak. Pas protekcyjny zgasł. Dwaj żołnierze zwinęli część przewodu. Najwidoczniej Veran pozbył się resztek nieufności. Ale Corson znał przebiegłość wojennego wodza. Nie upewniwszy się całkowicie, nikomu nie pozwoli wejść do obozu. A miał zamiar zrobić to osobiście.

Pierwszy szereg maszerował, za nim z pewnym opóźnieniem podążał drugi. I trzeci, i czwarty, miękkie fale szeleszczących nakryć. Corson krzyknął. Był pewny, że nikt w obozie Verana nie odgadł prawdy. Dziewczyny były duże i "wojskowe", obszerne stroje ukrywały ich kształty. Na jego głos jednym ruchem pierwszy szereg odrzucił głowy do tyłu i kaptury opadły.

Teraz nic już nie było słyhać, ani dźwięku kroków, ani szelestu materiałów, tylko w oddali pogwizdywanie i chrapanie śpiącego hipprona.

W obozie ktoś stłumił kichnięcie. Albo śmiech. Potem ktoś zaczął krzyczeć:

– Kobiety! Same kobiety!

– Jest ich dwa tysiące – powoli powiedział Corson. – Są mocne i potulne.

Veran nie drgnął. Ani o ułamek stopnia nie odwrócił głowy. Tylko oczy mu biegały. Przyglądał się badawczo twarzom kobiet. Następnie przeniósł wzrok na Corsona.

– Mocne i potulne – powtórzył jak echo.

Od strony obozu zaczął się ruch. Tułowia pochylały się naprzód. Wyciągały szyje. Zdawało się, że oczy zamierzają wypaść z orbit.

– Dobrze – powiedział Veran nie podnosząc głosu. – A teraz zabieraj je z powrotem.

Jakiś żołnierz bez broni – nie był na służbie – przeskoczy pas, który po jego stronie nie był zwinięty, i zaczął biec ku kobietom. Jeden z osobistych strażników Verana wziął go na cel, Veran jednak kazał opuścić broń. Corson zrozumiał i poczuł podziw. Veran bał się, ale nie okazywał tego. Miał nadzieję, że jest w tym jakaś pułapka, że żołnierz wpadnie w nią i będzie to lekcja dla pozostałych.

Lecz pułapki nie było, przynajmniej takiej, jakiej się spodziewał. Kiedy biegnący pokonał już połowę odległości dzielącej go od kobiet, Corson wymówił słowo–klucz, cicho, ale wyraźnie. Nie chciał, by ci z obozu wzięli jego rozkaz za sygnał do ataku.

Pierwszy szereg odpiął swój ubiór i zrobił pół kroku do przodu. Płaszczki spływały na ziemię. Kobiety nie nosiły nic innego. Stały wyprostowane w wysokich, zdeptanych trawach, otoczone słoneczną aureolą. Włosy przykrywały im ramiona i czasami piersi. Prawie się nie poruszały, oddychały powoli, głęboko, a ich ręce były puste i otwarte, dłońmi zwrócone do przodu.

Z obozu Verana dał się słyszeć jakby pomruk, ni to krzyk, ni zawołanie, tylko jakieś głuche i gigantyczne chrapnięcie, jak dźwięk miecha w kuźni, dyszenie setek opróżniających się płuc.

Dwudziestu żołnierzy rzuciło się do przodu. Inni kładli broń i biegli za nimi, niepewni swego zachowania, nie wiedząc jeszcze, czy biegną za tymi pierwszymi, by ich zawrócić, czy też biegną dlatego, żeby nie być ostatni. Jeden ze strażników Verana chciał otworzyć ogień, lecz potrafił go sąsiad. Dla ostrożności żołnierze poodłączali swe baterie, zanim sami pospieszili w kierunku kobiet.

Pierwsi, niezdecydowani, szli od jednej do drugiej, nie mając odwagi ich dotknąć. W końcu jeden z nich wziął za rękę wspaniałą blondynkę. Ona uśmiechnęła się i poszła za nim. Corson zamierzał powiedzieć kilka słów, chciał zaryzykować zwrócenie się do żołnierzy z pominięciem Verana. Ale nie było to już potrzebne. Obóz opustoszał. Veran walczył. Padały ciała. Ktoś próbował włączyć pas protekcyjny, nie bez trudności, gdyż migotał. Najwidoczniej Veran próbował jeszcze uniknąć zbyt wielkiego rozlewu krwi. Miał jeszcze nadzieję, że uda mu się wziąć ludzi w garść. Lecz wokół siebie miał tylko straż przyboczną. Już wielu z nich, zdemoralizowanych, walczyło bez przekonania.

W końcu Veran zrezygnował, gdyż Corson ujrzał, jak podniósł rękę. Strzały ucichły. Potem zapadła noc.

Zatopila obóz, kobiety, żołnierzy. Corson niezdecydowanie cofnął się o krok. Potem położył się na ziemi. Veran postawił na swoją najlepszą kartę – tłumik światła. Być może na ślepo otworzy ogień ze swych baterii, mierząc w przedpole obozu. Corson próbował zagrzebać się w ziemi i wycofać czołgając. W głuszonym przez noc tłumie usłyszał odgłos kroków. Przetoczył się na bok, zwinął w kłębek i skoczył jak sprężyna, chwiejnie próbując utrzymać równowagę, bijąc rozpostartymi rękami zgęstniałe powietrze. Jakaś dłoń pochwyliła go i obróciła. Od tyłu oplotło mu szyję czyjeś ramię i podniosło brodę. Posłyszał dyszący głos Verana, tuż nad uchem:

– Dostałeś mnie, Corson. Jesteś mocny. Mocniejszy niż myślałem. Mógłbym cię zabić. Ale nie lubię chaosu. Zostawiam ci klucz... klucz od naszyjnika. Pomyśl o innych.

Coś upadło u stóp Corsona. Duszenie ustało. Wydało mu się, że czaszka pęcznieje ponad miarę. Upadł na czworaka, w ciemności usiłując odzyskać oddech. Gdzieś tam w nocy, za nim, Veran biegł w kierunku hipprona, którego Corson nie zadał sobie trudu ukryć. Usłyszał, jak woła grzmącym i śmiesznym zarazem głosem, głuszonym przez noc: "Odplacę ci się, Corson. Zobaczysz, że się odplacę!"

Agresywny syk wiązki termicznego promieniowania, który noc sprowadzała do brzęczenia osy. Corson schował głowę. Czekał. Zamknął oczy. Do jego nozdrzy dotarł zapach dymu, palonego drzewa, spalenizny. Pod jego zamkniętymi powiekami zagorzał Wszechświat.

Otworzył je. Był dzień. Nie podnosząc się, popatrzył wokół siebie. Ponad sto kobiet zostało zabitych. I około dwudziestu żołnierzy. Dwunastu innych nie było w lepszym stanie. Część obozu płonęła.

Wyprostował się i odwrócił. Spojrzał w kierunku lasu i zobaczył, co zostało z Verana. Hippron zniknął. Veran zagrał swoją ostatnią kartą i przegrał. Udało mu się zostać zabitym na dwa różne sposoby. Wiązka termiczna, może skierowana przeciw niemu, trafiła go w chwili, gdy był już przy hippronie. Ułamek sekundy wcześniej ten, uświadomiwszy sobie

niebezpieczeństwo, przesunął się w czasie, nie zważając na pobliskie otoczenie. Zabrał ze sobą połowę Verana. A także tłumik światła.

Gdzieś we Wszechświecie – pomyślał Corson – nocą i ciszą promieniuje hippron i miota się w nieprzeniknionym mroku, w głębi studni, gdzie nie może przeniknąć, dotrzeć żadna energia, aż do chwili, kiedy wyczerpią się baterie tłumika albo gdy zgubi aparat w jednym z przerażonych skoków. Dlaczego jednak Veran wybrał tego hipprona? – zastanawiał się Corson. W obozie było ich pełno. Potem zrozumiał. Pchnęła go do tego ciekawość. Umiał wnikać w pamięć hipprona, a chciał wiedzieć, przez kogo i jak został pobity.

Corson na coś nadepnął. Nachylił się i podniósł mały, płaski kawałek szerniałego metalu, na którego jednym końcu wyżłobiony był kwadratowy rowek. Podniósł go do szyi, przyłożył wyżłobienie do naszyjnika. Bez rezultatu. Powoli obrócił naszyjnik. Ręce mu się trzęsły, omal nie wypuścił klucza z rąk. W brzuchu eksplodował mu lodowy blok. Pot zalał oczy. Kapilary skafandra nie nadążały z osuszaniem pleców i pach. Nagle poczuł pragnienie.

Gdy wykonał już całkowity obrót naszyjnika, ten otworzył się, rozpadając na dwie części. Chwycił je, trzymał przez chwilę w ręku, oglądał – brzegi były gładkie, jakby przez cały czas były tylko przyłożone – i lekkim gestem odrzucił je daleko od siebie.

Nie mógł zrozumieć sensu postępu Verana. Czy miał nadzieję uciec tak daleko, by Corson nie mógł mu już nigdy zagrozić? Czy odczuwał wobec niego coś w rodzaju; solidarności? Pewna myśl zaświtała mu w głowie. Veran. chciał dosiąść hipprona, aby powrócić na Aergistal. Tam było jego prawdziwe miejsce. A jeżeli Aergistal był piekłem, udało mu się.

Corson skierował się do obozu, gdzie spodziewał się znaleźć jakiegoś hipprona. Walki ustały. Najwyżej w ciągu kilku godzin obywatele Urii wezmą sprawy w swoje ręce. Nie napotkają na żaden opór. Umierający zostali dobici. Kilku lekko rannych próbowało się obandażować. Tu i tam leżała broń. Ale to, czego Corson najbardziej się obawiał nie nastąpiło. Żołnierze nie maltretowali kobiet. Niektórzy przechadzali się, dosyć nieśmiało, eskortowani przez trzy lub cztery piękności. Inni, siedząc na trawie, próbował rozmawiać. Wydawało się, że są zdziwieni, a nawet przestraszeni tak niewielkim oporem. Może byli zawiedzeni. Będą jeszcze bardziej, pomyślał Corson, za czterdzieści osiem godzin. Na lawecie działa zauważył siedzącego żołnierza w naszyjniku, z głową w dłoniach i przygnębią miną. Dotknął jego ramienia.

– Klucz – powiedział. – Klucz do naszyjnika.

Mężczyzna podniósł głowę. W jego spojrzeniu Corson wyczytał ogromne osłupienie, niezrozumienie i nagły niepokój. Powtórzył:

– To jest klucz do naszyjnika.

Pochylił się i otworzył mu naszyjnik. Podał jego dwie części żołnierzowi, na którego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

– Weź klucz – powiedział Corson. – Naszyjniki noszą także inni. Zajmij się nimi.

Żołnierz przytaknął skinieniem głowy. Ale jego twarz pozostała tępa. Naszyjnik upadł koło jego nóg. Żaden klucz nie mógł pozbawić go wspomnienia Verana, widma wodza, który zginął.

Nie napotykając na sprzeciw, Corson wybrał sobie hipprona. Z największą starannością, aż do przesady, siodłał go i zakładał pasy. Spełnił swe zadanie, zamknął pierścień. Do wykonania pozostał mu skok na plażę, gdzie może czekała na niego Antonella.

A także Rada Urii. Cyd, Selma i Ana. Jego przyjaciele.

37.

Na plaży leżała na brzuchu naga kobieta, blondynka. Spała albo też była w kontakcie. Na piasku nie było innych śladów stóp. Corson usiadł przy niej i czekał, aż się obudzi. Miał czas. Miał przed sobą część wieczności wspierającej Aergistal.

Rozluźnił się. Dotarł do końca drogi. Mógł kontemplować morze i przesiewać piasek między palcami. Później on także nauczy się panować nad czasem. Pomyślał, że zdobył już niejaki doświadczenie praktyczne.

Kobieta poruszyła się. Przeciągnęła się, obróciła na plecy i siadając przetarła oczy. Corson rozpoznał ją.

– Floria Van Nelle – powiedział.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Lecz był to uśmiech wymuszony, niemal smutny.

– Gdzie oni są? – zapytał Corson. A ponieważ kobieta zdawała się nie rozumieć, dorzucił:
– Cyd, Selma i Ana. Muszę złożyć raport przed Radą Urii tego tysiąclecia.

– Nastąpił poślizg – powiedziała cicho Floria. – Dzięki tobie nie miał on dużych rozmiarów. Ale w tej linii prawdopodobieństwa oni nie istnieją.

– Nie żyją – powiedział Corson.

– Nigdy nie istnieli.

– Pomyliłem się – powiedział. – Pomyliłem miejsce czas, a może i Wszechświat.

– Starłeś ich. Oni zajmowali nawias historii. Twoja interwencja wymazała ich.

Corson czuł, że błędnie. Konwulsyjnie zacisnął pięści.

– To byli moi przyjaciele, a ja ich zabiłem.

Floria pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Należeli do innej możliwości, a ty spowodowałeś, że wyłoniła się ta, lepsza możliwość.

Wiedzieli, co się z nimi stanie, jeżeli ci się powiedzie.

I mieli nadzieję, że ci się powiedzie.

Corson westchnął. Miał przyjaciół, a oni zniknęli, cienie, bledsze od cieni tych, po których sięgnęła śmierć. Nie zostawili po sobie nic, ani śladu kroków, ani rysy na kamieniu, ani nawet imienia w tym Wszechświecie, który był dla nich zamknięty. Nie narodzili się. Byli tylko wspomnieniem; przechowywanym w umyśle Corsona i abstrakcjami w widmowych rejestrach Aergistalu. "Czego dotknę, znika, jestem gumką bogów" – myślał. Przypomniawszy sobie Tourego, dobrego kompana, który niewątpliwie trafił na Aergistal w wyniku bezsensownych walk. Przypomniawszy sobie Ngal R'ndę, ostatniego Księcia Urii, rozszarpanego przez własnych wiernych, i Verana, przebiegłego najemnika zabitego przez własnych

towarzyszy. Z przerażeniem przypomniał sobie Antonellę. Chciał zadać pytanie, ale brakowało mu słów.

– Ja nie istniałam na tamtej kreodzie – powiedziała Floria. – I musiałam cię przyjąć po twoim przybyciu na Urię. Czy myślisz, że byłam tam przez przypadek? Tutaj jestem z twojej winy. Nie musisz mnie przeproszać.

– W ten sposób – z goryczą powiedział Corson – istoty są zmarszczkami na powierzchni rzeczy, które podmuch zmienia lub rozprasza zgodnie z wolą bogów. Dla tych z Aergistalu byłem zabawką. Bogowie–marionetki, poprawiający historię.

– To nie są bogowie, nawet jeśli są czymś więcej niż my. Nie postępują tak, jak im się podoba.

– Wiem – przerwał brutalnie Corson. – Pracują dla dobra. Zmazują wojnę. Układają historię w taki sposób, aby do nich prowadziła. To wszystko słyszałem na Aergistalu. Wykorzenić wojnę, poznać wojnę, ocalić wojnę. Przykucnęli jak szczury na dnie czasu, w obawie przed Tym, co na Zewnątrz.

– To tylko połowa historii – wyjaśniła Floria cierpliwie. – Oni są nami.

– Są naszymi potomkami. Pogardzają nami z wysokości swego miliarda lat.

– Oni są nami, Corson – powtórzyła Floria. – My jesteśmy tymi z Aergistalu. Ale nie wiemy o tym, a musimy to odkryć i zrozumieć. Oni są wszystkimi możliwościami naszej rasy i wszystkich innych ras, i nawet tych, których nie potrafisz sobie wyobrazić, jak i oni ciebie. Oni są wszystkimi częstkami Wszechświata i wszystkimi spojrzeniami Wszechświata. Nie jesteśmy ani przodkami bogów, ani oni nie są naszymi, potomkami, lecz jesteśmy ich częścią, odciętą od swych początków albo raczej od całości. Każdy z nas jest jedną z ich możliwości, szczególnie, kreodą, która niepewnie dąży do jedności i która walczy w mroku, by panować, by istnieć oddzielnie. Stało się gdzieś i kiedyś coś, Corson, czego sama nie rozumiem. Lecz ani na początku, ani na końcu czasów. Nie ma ani przedtem, ani potem. Dla nich, i trochę już dla nas, czas jest odległością, na której wydarzenia współistnieją jak obiekty posiadające ciągłość. Jesteśmy chwilą długiego marszu, który prowadzi ku Aergistalowi, ku zjednoczeniu świadomości tych możliwych wydarzeń, a ci z Aergistalu są tymi, którzy maszerują.

– Bogowie–schizofrenicy – powiedział Corson.

– Tak, jeżeli pomoże ci to zrozumieć. Czasami myślę, że wyruszyli na poszukiwanie wszystkich możliwości, zagubili się i stali się nami, i to jest powodem wojny, tego rozdarcia, tego przełamania, tego zgniecenia historii, które teraz starannie wyrównują. A przełamanie to uniemożliwia im mimo ich olbrzymiej władzy, natychmiastowe i całkowite zarządzenie temu. Ponieważ są także tym, czym my jesteśmy. Wojna jest częstką ich samych. I po omacku musimy odkryć długą, bardzo długą drogę, która prowadzi ku nim, to znaczy ku nam samym. Oni narodzili się z wojny, Corson, z tego przerażającego zamieszania wstrząsającego naszymi egzystencjami i istnieć będą tylko wtedy, gdy ją zlikwidują. Tu i tam naprawiają wyłom, wiążą ogniwa My to robimy, czasem z ich pomocą. Ty też robiłeś. Czy żałujesz tego?

– Nie – odrzekł Corson.

– Aby zetrzeć wojnę, ci z Aergistalu posługują się tymi którzy wojowali – podjęła Floria.

– Ci z kolei mają doświadczenie wojenne i z czasem zaczynają nienawidzą wojny z wystarczającą siłą, by chcieć ją zlikwidować. Chcieć naprawdę, bez względu na cenę. Ci,

którzy nie dochodzą do tego etapu od razu, spędzają pewien czas na Aergistalu. I w końcu przychodzi zrozumienie. A rozumieją wszyscy, do ostatniego.

– Nawet taki Veran? – sceptycznie zapytał Corson.

– Nawet Veran. W tej chwili tłumi pożogę w gwiazdozbiorze Liry.

– On nie żyje – powiedział Corson.

– Nikt nie umiera – odparła Floria. – Życie jest jajo strona książki. Tuż obok jest inna. Nie mówię zaraz potem, lecz obok.

Corson wstał i zrobił kilka kroków ku morzu. Na granicy piany znieruchomiał.

– To dłuższa historia. Kto mi udowodni, że jest prawdziwa?

– Nikt. Po trochu sam do tego dojdiesz. Może historia, którą odkryjesz, będzie nieco inna. Nikt nie ma przywileju poznania absolutnej prawdy.

Nie odwracając się Corson powiedział z siłą, niemal gwałtownie:

– Powróciłem, by nauczyć się panowania nad czasem i kontaktu z tymi z Aergistalu. I z po...

– Nauczysz się. Wszystkiego, czego będziesz mógł. Potrzebujemy takich ludzi jak ty. Wiele jest pożóg.

– Miałem nadzieję znaleźć pokój – powiedział Corson. – Wróciłem także dla Antonelli.

Floria zbliżyła się i położyła ręce na ramionach Corsona.

– Błagam cię – powiedziała.

– Kocham ją albo kochałem ją. Ona także zniknęła, prawda?

– Ona nie istniała. Od dawna była martwa. Wydobyliśmy ją z planety–mauzoleum, z kolekcji pewnego boga wojny i wyposażyliśmy w syntetyczną osobowość, tak jak ty to zrobiłeś z rekrutami Verana. Tak musiało być, Corson. Bez niej nie postąpiłbyś tak, jak postąpiłeś. A prawdziwa istota ludzka nie mogłaby przeniknąć na Aergistal.

– Chyba że będąc przestępcą wojennym – powiedział Corson.

– Ona była tylko maszyną.

– Przynętą – rzekł Corson.

– Bardzo mi przykro. Zrobię wszystko, co zechcesz. Będę cię kochała, Corson, jeżeli tego pragniesz.

– To nie takie proste.

Przypomniał sobie, co powiedział Cyd: "Nie trzeba nam mieć tego za złe".

I zniknął. Wiedział, że zostanie starty, i współczuł Corsonowi.

– Nikt nie umiera – powiedział Corson. – Może odnajdę ją w innej egzystencji.

– Może – szeptem odpowiedziała Floria.

Corson uczynił krok ku morzu.

– Nic mi nie pozostało. Ani przyjaciele, ani miłość. Mój

Wszechświat zniknął sześć tysięcy lat temu. Zostałem oszukany.

– Jeszcze możesz wybierać. Możesz wszystko zmasać, wrócić do zera. Przypomnij sobie, miałeś umrzeć na "Archimedesie".

– Mogę wybierać – powtórzył z niedowierzaniem Corson.

Usłyszał, jak się oddala, odwrócił głowę i zobaczył ją rozgrzebującą piasek w miejscu, gdzie na plaży pozostały siady jej ciała. A kiedy wróciła, trzymała w wyciągniętej ręce opalizującą ampulkę wielkości gołębiego jaja.

– Aby zostać całkowicie z nami, masz tylko jedną rzecz

do zrobienia. Dzikie hipprony nie umieją podróżować w czasie, tak jak człowiek pierwotny nie umie operować macierzą. Co najwyżej udaje im się przemieścić o kilka sekund. Ampulka ta zawiera akcelerator, który miliardy razy pomnaża tę embrionalną zdolność. W odpowiednim momencie, Corson, musisz podać mu ją sam. Dawka została starannie wyliczona. Z twojego punktu widzenia jej wprowadzenie w przeszłość nie spowoduje większej perturbacji. Jeżeli chodzi o chwilę wynurzenia się, margines błędu jest niewielki i bierzemy go pod uwagę. Hippron w momencie skoku w czasie przenosi z sobą pewną część przestrzeni. Wiesz wszystko, co potrzeba. Georges Corson, decyzja należy do ciebie.

Zrozumiał.

Ostatnia rzecz do zrobienia. Umieścić stempel pod sklepieniem. Podać sobie rękę ponad przepaścią sześciu tysięcy lat.

– Dziękuję – powiedział. – Jeszcze nie wiem.

Wziął ampulkę i ruszył w kierunku hipprona.

38.

Corson wykonał ponad sześciotysięczny skok wstecz, trochę posondował i naniósł poprawki przestrzenne.

Hippron zsynchronizował się. Jakąś chwilę planeta kręciła się wokół niego, aż udało mu się ustabilizować. Zajął miejsce na bardzo wydłużonej orbicie, takiej samej, jaką przyjąłby okręt wojenny chcący tylko musnąć planetę, pozostać jak najkrócej w jej sąsiedztwie i wylądować jakiś przedmiot w możliwie najbardziej sprzyjających warunkach, mając słońce za plecami.

Corson czekał w zamyśleniu. Przed jego oczyma rozciągał się Wszechświat i nie widział z niego prawie nic. Wszechświat był jak studnia i każde ludzkie spojrzenie (i nie tylko ludzkie) przebijało inną studnię o ciasnej cembrowinie, a wszystkie te rury przeplatały się nie mieszając się, podążały ku skórze Wszechświata, ku jego ostatecznej powierzchni, gdzie wreszcie łączyły się wszystkie. Aergistal. Każdy punkt Wszechświata, powiadał Cyd, posiada SWÓJ własny Wszechświat ekologiczny. Dla danego obserwatora. Dla danego aktora. Każdy próbuje czytać osnowę swego przeznaczenia na ścianie studni. I każdy, jeżeli tylko może, stara się ulepszyć zarys swego życia. Jak kret, nie wiedząc o tym, że deformuje mieszkanie sąsiada. Lecz nie na Aergistalu. Nie na powierzchni Wszechświata. Dla bogów Aergistalu wszechświat ekologiczny mieszał się z kosmosem. Nie mogli niczego przeoczyć. Nikogo nie mogli przeoczyć.

Pod Corsonem detektory Urian przeczesywały niebo. Opowiadały o lękach innego fragmentu splątanej historii. Lecz wspólna masa hipprona i jego jeźdźca była zbyt mała, by z tej odległości spowodować reakcję baterii.

Corson wahał się. Mógł się oddalić i wtedy niewątpliwie zostanie zabity w eksplozji statku. Lub też opadnie na ziemię w towarzystwie Bestii i umrze trochę później lub wpadnie w ręce Urian. Niewielu wziętych do niewoli powróciło z Urii. Żaden nie był cały. Corson mógł zostawić porucznika Georges'a Corsona, przypadkowego żołnierza, specjalistę od Bestii, niemal nic o nich nie wiedzącego, na pastwę zwyczajnego losu. Wtedy on, Corson, podróżnik w czasie, przestanie istnieć. Czy warto było trudzić się skazywaniem tamtego Corsona na znane doświadczenia, po to tylko, by pod sam koniec poznać gorycz porażki i piołun samotności? Zastanawiał się, co postanowiłby tamten Corson u kresu swej podróży. Potem przypomniał sobie, że on był tym Corsonem.

Czy to wszystko warte było zachodu?

Noc i strach w dżungli u boku zawodzącej Bestii. Floria Van Nelle. Wiedziała, że ją zaatakuje. Czy też naprawdę nie wiedziała, co się wydarzy, poza tym kilkusekundowym marginesem, w którym przyszłość była pewnością? Dyoto, miasto skazane i krotochwilna przechadzka pionowymi ulicami. Zdająca się wynurzać z nicości Antonella, która rzeczywiście z nicości pochodziła. Veran i niewola. Dom umarłych na trawiastej planecie. Aergistal, wojenna kipiela, gdzie śmierć była tylko zawieszeniem. I ta siatka intryg, te idiotyczne zabiegi fanatyków i militarystów, gdy czas rozdzierał się sam.

A jeżeli nic nie uczyni. Jeżeli odejdzie. Bestia dotrze do miejsca przeznaczenia. Udowodniła swoją odporność. Wyda na świat potomstwo. Po pewnym czasie Ziemia wygra wojnę. Opatrzy swe rany. Rozszerzy imperium. Siłą lub fortelem kontrolować będzie rodzącą się Konfederacja Powstania, nowe wojny.

Lecz dostrzegł jedną rzecz. Była to stara historia. Od grzana, stara historia sprzed sześciu tysięcy lat. W przyszłości, w której istniał, wojna między Mocarstwem Słonecznym a Książętami Urii była sprawą zakończoną. Nikt jej nie wygrał, a w istocie oba obozy przegrały. Tak będzie niezależnie od tego, co zrobi. Dla niego to już nie było ważne. Nie był już porucznikiem Corsonem na pokładzie "Archimedes", troszczącym się o przyszłość konfliktu i o własną skórę.

Stał się kimś innym.

Długi proces. Patrzył na gwiazdy, złote ziarenka przyczepione do ścianek studni, liczniejsze niż te, które świeciły na ziemskim niebie. Za sześć tysięcy lat będą zajmowały niemal te same pozycje. Każda z nich była jakąś gadką, obietnicą, kawałkiem Historii. Dla porucznika Corsona były one tylko abstrakcyjnymi błyskotkami i zębami strachu. Corsonowi wydawały się szczeblami jakiejś drabiny przystawionej do ściany czasu.

Mógł pozwolić porucznikowi Corsonowi przeżyć jeszcze ten krótki okres czasu, jaki mu pozostał, i zetrzeć się, zlikwidować gorycz, dokonać najdoskonalszego samobójstwa w całej wieczności. Lecz tamten Corson w czarnym kadłubie "Archimedes" nie miał ochoty umierać.

Czy mogę się od niego oddzielić? – zastanawiał się Corson. I przyszło mu na myśl, że Floria powiedziała mu tylko połowę prawdy. Może wojna była wynikiem rozerwania jedności wszystkich możliwości tych z Aergistalu. Ale dlaczego ONI... Dlaczego miałyby być ich wielu? Czy nie istniał punkt, w którym ci z Aergistalu odnajdywali się jako możliwości jednego? I czy tego jednego nie nasza nuda i nie zapragnął świadomie pogrążyć w

zapomnieniu swoje cienie, czy nie zechciał być każdym człowiekiem i wszystkimi ludźmi, każdą istotą i wszystkimi istotami? Skalą i robakiem, gwiazdą i falą, czasem i przestrzenią.

Czy ja śnię – zastanawiał się Corson – czy też są to tylko wspomnienia?

Jeżeli tamten Corson umrze, nigdy nie będzie tego wiedział. Straci życie i pamięć o tym, że żył.

Poza życiem było nadistnienie. Kartki książki, powiedziała Floria Van Nelle. Hipersześcian zawiera nieskończoną ilość sześciątów, a jednak jego objętość jest ograniczona w czterowymiarowej przestrzeni. Nasze życia nie są nieskończone, lecz są nieograniczone, powiedział głos na Aergistalu. Nauczysz się panowania nad czasem. Staniesz się jako my.

Istniały przynajmniej trzy poziomy egzystencji. Poziom egzystencji wirtualnej, takiej jak Cyda i Selmy, gdzie było się tylko prawdopodobieństwem wpisanym do widmowych rejestrów Aergistalu. Poziom życia liniowego, życia tamtego Corsona, gdzie pozostawało się uwięzionym między urodzinami a śmiercią. A wreszcie poziom nadistnienia, które symbolicznie rozwijało się w przestrzeni prostopadłej do osi czasu, które uwalniało się z czasu.

Przypominało to poziomy pobudzenia cząstek elementarnych w prymitywnej fizyce, tak jakby uczeni w początkach historii ludzkości przeczuwali wielką prawdę. Cząsteczka: atom, nukleon, mezon czy też kwark, raz wzbudzona, przenosi się na wyższy poziom energetyczny. Staje się czymś innym, nie przestając być całkowicie sobą. Spontanicznie może powrócić do stanu początkowego, emitując cząsteczki niższego rzędu, jak fotony, elektrony, neutrina, miony i kilka innych.

Corson osiągnął próg nadistnienia. Mógł powrócić na poziom egzystencji liniowej, wydzielając jakiś rodzaj neutrina, jego życie w ostatnich tygodniach stałoby się wirtualne, prawie bez konsekwencji. Nie zniknie całkowicie, ale będzie niemal pozbawione realności. Ani masy, ani ładunku, jak neutrina. Ktoś w laboratorium Aergistalu stwierdzi pojawienie się pęku iskier. Komora pęcherzyka zarejestruje zniknięcie jednego nadistnienia.

Nie mogą wszystkie kartki książki być pogrążone w goryczy.

Corson podjął decyzję.

Nad nim czarny kadłub "Archimedes" przysłał grupę gwiazd. Corson zdefazował hipprona, zbliżył się, bez trudności pokonał systemy obronne i pancierz statku. Odszukał ładownie, nie obawiając się, że zostanie dostrzeżony. W oczach obserwatora, znajdującego się na pokładzie "Archimedes", zdefazowanie czasowe niemal całkowicie pozbawiło go realności.

Poczuł wahanie swego wierzchowca. Wzdragał się przed zbliżeniem do dzikiego brata. Corson uspokoił hipprona, wsunął ampułkę w zwój witek grzywy. Zauważył samego siebie, obróconego tyłem. Postać zniekształcona była przez zdefazowanie i właściwości zmysłów hipprona. Witka, niosąca ampułkę, wniknęła w osłonę energetyczną wiążącą Bestię. Kiedy ampułka znalazła się ponad pyskiem Bestii, Corson zsynchronizował hipprona z okrętem na miliardową część sekundy. Błysk, suche plaśnięcie. Ekran energetyczny obciął witek hipprona, który już odskoczył w czasie i przestrzeni.

Odskok o kilka kilometrów i kilka sekund.

Corson czekał w przestworzach, wpatrując się w niemal niewidoczny, malutki kadłub okrętu. Wróciło mu stare wspomnienie. Tuż przed katastrofą widział niesamowity błysk, ale tak krótki, że zwątpił w jego realność. Nie miał dosyć czasu, aby nad tym pomyśleć.

Na ten nikły ślad nałożyła się nowa błyskawica. "Archimedes" eksplodował. A baterie Urii pozostały milczące. Orbita wybrana przez kapitana "Archimedes" spełniła swoje zadanie: zbliżenie się okrętu pozostało nie zauważone.

Awaria generatorów – pomyślał. Lecz było to nieprawdopodobne. Sam wywołał katastrofę. Akcelerator znakomicie pomnożył możliwości Bestii. Nie wykorzystwała ich od razu chcąc uciec w czasie. Z zaciekłością zabrała się do swej klatki. I generatory nie wytrzymały.

Rozdarty kadłub "Archimedes" nurkował w kierunku dżungli Urii. Corsonowi wydało się, że coś się z niego wydostało. Złudzenie. Nie miał jeszcze umiejętności przenikania czasu spojrzeniem.

Ale to przyjdzie, zamarzył myśląc o swych martwych towarzyszach. Nic dla nich nie mógł zrobić. Nie mógł wrócić wstecz, zabierając się do walki z samym sobą, by powstrzymać się od podania ampułki. Dużo później kadłub dotarł do atmosfery Urii i płonął. Wreszcie na ziemi otworzył ogień baterie. Przestrzeń zarojła się od czujników. Corson próbował sobie wmówić, że okręt i tak został zniszczony

Kolejne złudzenie.

Okręt kończył całopalenie wśród obojętnych gwiazd.

Gdzieś na Urii, za sześć tysięcy lat, tamten Corson będzie próbował przeżyć. Nie wiedział jeszcze, że pod zimnym spojrzeniem wieków zlikwiduje jakiś konflikt, że będzie słyszał na Aergistalu głos rzeczywistych bogów i może osiągnie nadistnienie.

– Dlaczego ja? – zastanawiał się Corson wkraczając na drogę ku przyszłości.

– Ja – odpowiedziały echa Corsona rozmieszczone na całej długości życia Corsona i obok, wzdłuż innych jego istnień. I wydało mu się, że słyszy, jak świadomość wypełnia mu się szeptem w miejscu, gdzie rodzą się słowa, będące kipiela ich świadomości, i poczuł, że zaczyna nawiązywać z nimi kontakt, z niezliczonymi Corsonami rozbiegającymi się w przyszłości, i wydało mu się, że będzie wiedział, co oni przeżywali, i widział ich oczyma, i myślał razem z nimi. Lecz pozostał na progu, wahając się, chwiejny, ponieważ czas się jeszcze nie wypełnił ani nie dość było doświadczenia i ponieważ tamci Corsonowie dopiero zaczęli mieć cień szansy.